



gotyk w godce

JEDNOAKTÓWKI
PO ŚLĄSKU

gotyk w godce

gotyk w godce

JEDNOAKTÓWKI
PO ŚLĄSKU

iM!GO
PUBLIC RELATIONS



KATOWICE
Miasto Ogrodów

Instytucja Kultury
im. Krystyny Bochenek



Regionalny
Instytut
Kultury
w Katowicach

GAZETA
wyborcza

GOTYK W GODCE
Jednoaktówki po śląsku

Redakcja:
Waldemar Szymczyk

Korekta:
Grażyna Kwiek
Uwaga: w pisowni staraliśmy się zachować język i styl autorów

Projekt graficzny okładki i stron tytułowych:
Katarzyna Kępa (wykorzystano zdjęcie Fotolia.com)

Typografia i DTP:
Wojciech Grzegorzycza

Realizacja:
Stapis Katowice

ISBN: 978-83-63304-03-4

Wszelkie prawa zastrzeżone

© Copyright by Imago Public Relations oraz Katowice Miasto Ogrodów
– Instytucja Kultury im. Krystyny Bochenek
Katowice 2017

SPIS TREŚCI

KONKURS PRZYWIĄZUJE I PRZYCIĄGA	7
Rafał Czechowski	
KOLORY ŚLĄSKIEGO ŚWIATA	8
Ingmar Villqist	
KRUPNIOKI I MIĘSO ARMATNIE	9
Piotr Zaczkowski	
NAUCZYCIEL OD HANUSIKA	10
Waldemar Szymczyk	

JEDNOAKTÓWKI

RODZINA ADAMSKICH (ABO GOTYK W GODCE)	17
Marcin Melon	
STRACILI SIE	28
Irek Widera	
ŚWINIOWICI	38
Grzegorz Sztoler	
PIYRSZO WIECERZO	51
Izolda Czmok-Nowak	
ŁOSPROWKI SPOD STOŁA	58
Bożena Donnerstag	
COŁKI TEN ŚWIOT	64
Maciej Działczko	
ATLANTY	79
Krystian Gałuszka	
ERWIN I PŃNBÓCZEK	86
Aleksander Lubina	
RÓŻANIEC	105
Joanna Sodzawiczny	
TRZIDZIESTKA	115
Wojciech Szwiec	
JEDNOAKTOWKA CESTY	124
Anna Wojtkowska-Witala	

KONKURS PRZYWIĄZUJE I PRZYCIĄGA

Rafał Czechowski*

Mimo że jak mówi teoria, każde kolejne podobne doświadczenie powinno nieść ze sobą coraz większą łatwość odnajdywania się w analogicznych sytuacjach, napisanie tekstu wstępnego do antologii „Jednoaktówek po śląsku” staje się – zupełnie odwrotnie do teorii – z każdym rokiem trudniejsze (a to już szósty raz!). Nie pomaga bardzo fakt, że konkurs się rozwija: bo sztuki napisane z myślą o nim są coraz częściej wystawiane, bo dostępność najlepszych jednoaktówek stała się wręcz nieograniczona dzięki serwisowi www.jednoaktowka.pl, bo dramaturgów i literatów przybywa... To wszystko nas – inicjatorów i organizatorów „Jednoaktówek” – cieszy ogromnie. A jednak nie pomaga...

Zasadniczym utrudnieniem są... sami autorzy jednoaktówek i jakość ich dzieł. Jeśli bowiem przyjąć, że celem tego tutaj krótkiego wstępu jest przedstawić niniejszą książkę, wskazać na jej genezę i sens oraz zachęcić przyszłych autorów dramatów w jednym akcie (tudzież autorów przyszłych dramatów) do spróbowania swoich sił w konkursie, to przy w miarę stałym poziomie trudności pierwszego i drugiego celu trzeci staje się z roku na rok coraz mniej osiągalny. Teza ta może się wydać ryzykowna, zważywszy na popularność konkursu i stałą, niemalą liczbę nadsyłanych tekstów.

No dobrze – to ilość. Przyjrzyjmy się jednak jakości. Poziom literacki rośnie z roku na rok, grono autorów się powoli hermetyzuje, wśród laureatów regularnie powtarza się co najmniej jedno nazwisko, o niektórych można już mówić dumnie: Literat! 11 mocnych dowodów zawarliśmy na dalszych stronach tego tomu. To nas napawa wielką satysfakcją, ale zadania jednak nie ułatwia... No bo jak tu przekonać do uczestnictwa w zawodach, w których szanse na laury dla nowych zawodników, oględnie mówiąc, nie rosną...?

Podjmując jednak wyzwanie: ufnie oddajemy w Państwa ręce antologię najlepszych dramatów w jednym akcie napisanych w śląskiej gwarze i nadesłanych na konkurs „Jednoaktówka po śląsku” w 2016 r. To już szósty zbiór powstały jako pokłosie konkursu organizowanego od 2010 r. z przekonaniem, że gwara jako element śląskiej tożsamości jest wartością i zasługuje na traktowanie jej jako czegoś więcej niż tylko środka wyrazu służącego głównie podkreśleniu niskich kwalifikacji intelektualnych bohaterów żartów cokolwiek niewysublimowanych. Wśród tych 11 prawie połowa to teksty debiutantów w konkursie, na który nadeszło 31 prac. Konkurs – jak widać – przywiązuje, ale też niezmiennie przyciąga. I oby tak było dalej!

* Założyciel i prezes Imago Public Relations

KOLORY ŚLĄSKIEGO ŚWIATA

Ingmar Villqist*

Dokładnie wczoraj, myśląc intensywnie o napisaniu wstępu do kolejnego, szóstego już tomu nagrodzonych jednoaktówek po śląsku, uczestniczyłem w zebraniu Rady Redakcyjnej „Fabryki Silesia”; debatując nader ekspresyjnie nad kolejnym numerem z Waldkiem Szymczykiem, Zbyszkiem Kadłubkiem i Krzysztofem Karwatem, wyszukiwaliśmy autorów, których warto do pisania w „Fabryce” zaprosić.

Padają różne nazwiska; znanych nam już autorów i tych obserwowanych, podejrzewanych o talent; w pewnym momencie, słuchając kolejnych propozycji, zorientowałem się, że część tych nazwisk kojarzę – ale skąd? Rozjaśniły się nasze oblicza – Waldka i moje, bo okazało się, że to przecież autorzy (nagradzani) naszego konkursu na jednoaktówki po śląsku; historycy, dziennikarze, animatorzy, prozaicy, poeci; silnie zakorzenieni

w swych naukowych, artystycznych środowiskach. I teraz ponownie „odkrywamy” ich, ale zupełnie z innej, twórczej strony.

Autorzy naszych śląskich jednoaktówek to znacząca część środowiska piszących nie tylko po śląsku i o Śląsku; po prostu piszą, i to świetnie; w naszej prasie, w ogólnopolskich tygodnikach, wydają książki w różnych dyscyplinach naukowych; słowem, pięknie współtworzą przestrzeń dyskusji o wspólnym, skomplikowanym świecie – nie tylko naszym – śląskim.

Kto by pomyślał siedem lat temu, kiedy inicjowaliśmy nasz konkurs, że to się tak rozwinie... Trzymamy kciuki za nasz konkurs, wenę autorów jednoaktówek; dziś już jestem pewien, że znów odkryję w tych teatralnych drobinach nowe kolory naszego śląskiego świata – zawsze najbliższego i najważniejszego.

* Juror konkursu „Jednoaktówka po śląsku”, dramaturg, wykładowca akademicki, reżyser teatralny i filmowy

KRUPNIOKI I MIĘSO ARMATNIE

Piotr Zaczkowski*

„Rodzinę Adamskich” ulokował Marcin Melon w domostwie obok cmentarza, stojącym nie wiadomo jak długo, chyba od panowania cesarza Wilhelma. Rzecz jest pastiszem komedii grozy o rodzinie Adamsów – ale pastiszem pomysłowym, przekornym i brawurowym. Dowcip językowy („gotyk w godce”) dorównuje sytuacyjnemu, a zręcznie naszkicowane postaci – bardziej z krwi niż z kości – oryginalnie sobie radzą z konwencjonalnymi w farsie zadaniami. Zabawa żywi się osobami, którym los wskazał siedzibę rodu Adamskich jako miejsce odnalezione w poszukiwaniu telefonu, ładowarki lub noclegu. Ta szczególnie tradycyjna śląska rodzina sama też żywi się osobami, każdego pielgrzyma przerabiając na rolady lub krupnioki. U kresu akcji nie uda się, bowiem nawet w domu grozy nie sposób przetrwać „godki” polityka, całkowicie niestrawnego i bardziej potwornego niż potwory mieszkające tylko w literaturze.

Mięsivo odgrywa znaczną rolę również w wypowiedzi sceniczej Grzegorza Sztolera. Podobieństw z Melonem jest więcej, gdyż na pierwszym planie osobowym jednoaktówki „Świniobici” najważniejsza jest – jak

w przygodach Adamskich – wielopokoleniowa, zobaczona jak na makatce lub obrazie naiwnego malarza, rodzina. Gra sceniczna to prolog konsumpcyjnego świętowania, szukanie sposobów na uбиcie dorodnego świniaka. Najważniejsze będą „wuszty, preswuszty, leberwuszty, krupnioki i zymloki albo galert”, ale wcześniej jest nie tylko śmiesznie, bo wieprzek ucieka od posługi na stole długo i na swój sposób po ludzku.

Słowo „wspomnienia” brzmi niekiedy bardziej gorzko niż słowo „pamięć”. „Wspominki” w śląskich domach bliskie są często „zaleckom” – modlitwom w intencji zmarłych. Lub w intencji nieobecnych, zmarłych inaczej, tak samo strasznie i głupio. W „Stracili się” Irka Widery najważniejszym bohaterem jest rodzinna fotografia – utrwalająca czas miniony, czas sprzed wojny światowej, a może sprzed katastrofy. Kameralny dialog szesnastoletniego Kryśka z Omą („po sześćdziesiątce”) jest trochę odnajdywaniem imion, a trochę nad tymi imionami lamieniem. Na niejednej śląskiej fotografii widzieliśmy to samo, jeszcze uśmiechające się do obiektywu, mięso armatnie i niezawinione pragnienie, by było inaczej.

* Juror konkursu „Jednoaktówka po śląsku”, dyrektor Katowice Miasto Ogrodów – Instytucji Kultury im. Krystyny Bochenek

NAUCZYCIEL OD HANUSIKA

Waldemar Szymczyk*

Skoro prof. Jan Miodek twierdzi, że nie można tworzyć literatury po śląsku, to Marcin Melon postanowił udowodnić, że jednak można. Co więcej, okazało się, że pewnych śląskich zjawisk nie da się opisać... po polsku.

Zaledwie cztery lata temu napisał swój pierwszy dramat na konkurs „Jednoaktówka po śląsku”. Dziś sprzedaje książki w tysiącach egzemplarzy, pisze sztuki dla teatrów, cyklicznie publikuje felietony po śląsku w Silesion.pl. Zdaniem prof. Zbigniewa Kadłubka jest najbardziej uzdolnionym autorem Śląskiej Nowej Fali. Przede wszystkim jednak Marcin Melon to nauczyciel, także nauczania regionalnego. I na tym polu również odnosi sukcesy.

Zaczęło się od jednoaktówki

O czwartej rano pobudka. Pociąg z Bielska-Białej (mieszka w nieśląskiej części – Białej) do Tychów, gdzie pracuje w szkole. A to jest najlepszy czas na pisanie: dworce, pociągi. – Chyba że nie ma wolnych miejsc siedzących – żartuje. – Pierwszy tekst po śląsku napisałem z ciekawości. Chciałem zobaczyć, czy uda mi się napisać coś więcej niż SMS-a. Wysły dwie–trzy strony. W 2013 roku postanowiłem napisać sztukę na konkurs. Musiało być 10 stron i ciekawa historia rozpisana na dialogi. To była moja pierwsza praca literacka. Okazało się, że *Komisorz Hanusik i warszawiok*, kryminał pokazujący w zabawny sposób różnice w mentalności między Ślązakami i gorolami, spodobał się jurorom, zdobył drugie miejsce. Sztuka

została też świetnie przyjęta przez publiczność, tysiące osób obejrzało ją na YouTube. – Jako licealista chodziłem do teatru Korez, Mirosław Neinert był moim idolem. Dłatego to było niesamowite przeżycie, kiedy zobaczyłem aktorów czytających moją sztukę w Korezie – wspomina. I wtedy wpadł na pomysł, żeby z tej jednoaktówki zrobić coś więcej, żeby napisać powieść. Pejter Długosz z wydawnictwa Silesia Progress zdecydował się zainwestować w ten projekt. Powstał *Komisorz Hanusik*, kryminał z elementami *fantasy*, rodem z górnośląskich legend. Wydawca nie wiedział, jak książka zostanie przyjęta na niszowym przecieży rynku. Okazało się, że trzeba było zrobić dodruk. Potem kolejny, i jeszcze jeden... W sumie – pięć.

Recenzent Damian Matyszczak z kawiarenkakryminalna.pl pisał: „Przez ponad 200 stron nie nudziłem się ani przez sekundę. Dobrego humoru tu pod dostatkiem. I nie jest to humor rodem z serialowej *Świętej wojny*, która tyle szkody wyrządziła wizerunkowi Śląska i Ślązaków. Owszem, opowiadania Melona są łatwe w odbiorze, ale bynajmniej nie przyglupawe”. Podobnie oceniał książkę Ingmar Villqist: „Już jak czytałem tekst Marcina Melona pierwszy raz, to myślałem, że ze śmiechu spadnę z krzesła. Wyobraźcie sobie: oto buszuje po Śląsku bandzior Ryszawy Erwin, który posiadał umiejętność przybierania postaci każdego napotkanego człowieka (...). Ale teraz powiało prawdziwą grozą na Śląsku, bowiem okazało się, że do Katowic ma przyjechać premier RP i tutejsze tajne

* Juror konkursu „Jednoaktówka po śląsku”, dyrektor wydawniczy Imago Public Relations, członek Rady Programowej kwartalnika „Fabryka Silesia”

służby obawiają się, że Ryszawy Erwin przemieni się w premiera RP i ogłosi na Śląsku autonomię (Nawet teraz, jak to piszę, to boli mnie wątroba ze śmiechu)”. Sukces spowodował, że autor i wydawca zdecydowali się na kolejne tomy powieści. Drugi jest takim trochę politycznym thrillerem. W trzecim jest sporo odniesień do historii. To eksperymentalna książka, ponieważ została napisana i po śląsku, i po polsku. – Mieliliśmy pozytywny odzew czytelników z innych regionów, więc chcieliśmy ułatwić im czytanie. Ale okazało się, że popyt nie był większy niż przy wersjach tylko śląskich – wyjaśnia Długosz. Najnowszy – czwarty tom, który ukazał się w roku 2016, porusza m.in. problem aspiracji samorozwojowych Ślązaków w kontekście regionalnych stereotypów i narzucanych przez nie ograniczeń. – Od kilku lat myślę o napisaniu czegoś „na poważnie”, opartego na historiach osobistych: dziecięcych, wojennych, nieraz tragicznych. Zaczęłam nawet spisywać historie mojej babci, ale wychodziło mi coś, co było gorszą kopią *Cholonka*. Nie chcę robić imitacji Janoscha, więc postanowiłem, że jeszcze z tym zaciekam – mówi Melon.

Śląski jak angielski

Pisanie po śląsku traktuje jak wyzwanie. Nie zgadza się z prof. Janem Miodkiem, że nie można tworzyć literatury po śląsku. – Nie znam spokoju, dopóki się nie przekonam, że jednak można – twierdzi. Jest też wątek osobisty: – W dzieciństwie ciągle prosiłem moją *omę*, żeby opowiadała mi o dawnych czasach. Kiedy umarła, bałem się, że te jej historie odejdą wraz z nią, że zostaną zapomniane. Zaczęłam je więc spisywać po polsku. Okazało się, że polszczyzna nie jest w stanie opisać wielu śląskich zjawisk. Dlatego musiałem nauczyć się pisać po śląsku. Zapis, którego używa, jest uproszczony, niektórzy nazywają go *Ślabikorz Basic*. Stosuje

tylko dwa znaki diakrytyczne, niewystępujące w języku polskim: *o* z poziomą kreską, jak w wyrazie *wōngiel* (bo to nie jest ani *q*, ani *u*). Drugi: *o* z daszkiem (np. w słowach *ônaczyć, ôkno, ôn, ôna*). Uważa bowiem, że jeśli jest tych znaków w tekście zbyt wiele, może on odrzucać. – Daliśmy sobie wmówić przez ostatnie 50 lat, że śląski to język kabaretu, *wiców*. Owszem, jest to język dosadny, z dużym potencjałem komizmu, trochę jak czeski. I to stanowi pewne obciążenie, ale ostatnie lata pokazują, że można w nim tworzyć poezję, kryminały, dramaty.

– Pisanie po śląsku dramatów, powieści czy felietonów traktuje pan jako rodzaj edukacji regionalnej, jako misję? – pytam.

– „Misja” oznaczałaby, że musimy komuś coś udowodniać, że czujemy się gorsi, inni. Tymczasem ja chcę pokazać, że mamy emancypację śląszczyzny. Piszemy w niej, bo jest taki język, tak jak angielski czy hiszpański.

Twórczość Melona to nie tylko powieści o Komisorzu Hanusiku. Jako stały publicysta portalu *Silesion.pl* pisze po śląsku o aktualnych tematach: autonomii, stosunku Ślązaków do Powstania Warszawskiego czy edukacji regionalnej. Stał się także dramaturgiem. Największej liczby inscenizacji doczekała się pierwsza jednoaktówka *Komisorz Hanusik i warszawiok*. Trafiła na deski chorzowskiego teatru Reduta, gdzie reżyserią zajął się Mirosław Neinert, ale też teatrów amatorskich, takich jak Teatr dla Dorosłych z Bierunia. Specjalnie dla tego drugiego powstały sztuki *Ciopylta o utopcu* z bierunskiego rynku, który pewnego dnia schodzi z pomnika, robiąc spore zamieszanie, i *Afera Makbecioka*, rozwinięcie zwycięskiej pracy z kolejnego konkursu „Jednoaktówka po śląsku”. Dobre recenzje zbiera także inscenizacja siemianowickiego teatru Domino. – Mam wrażenie, że jeśli budujemy gmach pod tytułem „literatura śląska”, to jest tam w nim jakaś moja cegła – mówi Melon.

Wychował się na Manhattanie

Melon urodził się w Katowicach, połowa rodziny pochodzi z okolic Bierunia, druga połowa z Katowic. Od dziecka lubił słuchać swojej *omy*, *któro godała, jak to było downij*. – W dużym stopniu nauczyłem się *godki* od niej, ale mój śląski nie jest idealny. Mówię dwa razy gorzej niż moi rodzice, a oni z kolei dwa razy gorzej niż dziadkowie, ci z kolei dwa razy gorzej niż pradziadkowie. W dodatku moi rodzice uznali, że między sobą będą mówić po śląsku, a w kontaktach z dziećmi będą tego języka unikać, żebyśmy w szkole nie mieli problemów, żebyśmy nie złapali tej śląskiej melodyki.

Rodzice, urodzeni w latach 50., mieli problemy z powodu mówienia po śląsku. – Dostawali po łapach za *godanie*, ojciec wspominał, że kiedyś wyrzucili go za to z lekcji. Wszedł więc na drzewo i z niego słuchał, o czym była lekcja. A to wszystko działo się w arcyśląskich Kutzowych Szopienicach.

Ale już w podstawówce, w katowickich Piotrowicach na „Manhattanie”, rozpoczęło się odkrywanie swojej śląskości. – Zaczęło do mnie docierać, że różnimy się etnicznie od innych mieszkańców kraju. Brutalną lekcją tożsamości było chodzenie na mecze piłkarskie GKS-u Katowice, kiedy w Sosnowcu słyszało się od kibiców: „Polska bez Śląska” i wyzywanie od folksdojczów.

Bardziej świadome budowanie śląskiej tożsamości było już na studiach – politologii na Uniwersytecie Śląskim. Ale wtedy jeszcze nie wiedział, że edukacja regionalna będzie jego pasją. Zrobił kurs Certificate in Advanced English, następnie kurs metodyki języka angielskiego. Po studiach na pół roku wyjechał do Irlandii, a w końcu trafił do tyskiej podstawówki nr 37, gdzie uczy angielskiego i programów regionalnych.

Godka to nie folklor

– Ta szkoła jest modelowa, jeśli chodzi o edukację regionalną. Wynika to z tego, że znalazła się grupa nauczycieli, którzy czują ten temat. Dlatego jest inaczej niż w niektórych szkołach, gdzie dyrektor wzywa losowo wybranego nauczyciela i mówi: „Poprowadzi pani jakieś kółko regionalne, bo ktoś musi”.

Według Melona dobrze przyjmują lekcje regionalne dzieci z klas najmłodszych. Poznają folklor, stroje ludowe, uczą się tańczyć trojoka. Problem pojawia się w klasach IV–VI, i wtedy regionaliści tracą najwięcej uczniów.

– Wynika to z oczywistych przesłanek. Jeśli folklor czy warzenie żuru jest atrakcyjne dla dzieciaka, to nastolatek ma już inne potrzeby i zainteresowania, np. gry komputerowe, nowe technologie – uważa Melon. W tyskiej szkole przyciągają więc młodzież np. zajęciami teatralnymi. Grupa Bombon wystawia sztuki i po śląsku, i o Śląsku. Powstała np. sztuka o chłopcu, który jest szykanowany w swojej szkole, bo mówi po śląsku. Otrzymała nagrodę w konkursie wojewódzkim.

Uczniowie startują też w konkursach *godki*. – Wszystkie scenariusze piszemy samodzielnie. Nie uznajemy tego, że uczeń ściąga z internetu gotowy tekst i zaczyna: „*Jak jo zech była młodo...*”. Najpierw ustalamy, o czym chcemy mówić. Jeśli np. o Lidze Manchester United. Unikamy też występowania w strojach ludowych, bo rodzą skojarzenia z folklorem. Kiedyś, podczas konkursu, podeszli do nas nauczyciele i powiedzieli: „Nie przejmujcie się, że nie macie tradycyjnych strojów ludowych”. Na co odpowiedzieliśmy: „Mamy w szkole świetnie zrekonstruowane stroje, ale nie używamy ich, jeśli to nie jest konieczne”. Bez sensu gadać o meczu Manchesteru w stroju ludowym. Występujemy z sukcesami. Nasz uczeń już trzykrotnie był nagradzany w tych konkursach.

Melon prowadzi w szkole „Klub odkryw- ców tajemnic Śląska”. Uczy o historii, geo- grafii, ważnych postaciach, wydarzeniach, a przede wszystkim śląskiego. – Jakie dzie- ci przychodzą na zajęcia? *Kroczoki* albo na- pływowi. Na palcach jednej ręki można po- liczyć rodowitych Ślązaków, bo w Tychach jest ich niewielu. Uczestniczą w nich dobro- wolnie – czasami jest ich pięcioro, a czasami 20. Ale to niestety tylko kilka procent ogó- łu uczniów szkoły.

Jak uczniowie odbierają jego twórczość li- teracką? – Hanusiki nie są dla dzieci przed 16. rokiem życia, bo pojawiają się tam *diabły*, czarownice, *utopce*, *polednice*. Ale kiedy to mówię moim uczniom, to słyszę: „Panie, my oglądamy *Grę o tron*, a mamy się bać *utop- ców*?”. W zeszłym roku dostałem nową kla- sę jako wychowawca. Na pierwszej wywia- dówce matka jednego z uczniów została na koniec i spytała: „Czy pan jest tym Marci- nem Melonem od tego Hanusika?”

Melon wymyślił też konkurs „Silesia Inco- gnita”, który organizuje szkoła i od tego roku także Muzeum Miejskie w Tychach. Konkurs ma zasięg regionalny, w tym roku do pierw- szego etapu przystąpiło ponad 20 szkół. Wy- maga rozległej wiedzy o Śląsku: historycznej, geograficznej, znajomości obyczajów i kul- tury. – Jestem pod dużym wrażeniem wie- dzy uczestników. To będą gospodarze Ślą- ska za kilka lat, będą w stanie gościa z Polski albo z zagranicy ugościć, pokazać ciekawe miejsca. Badania z 2009 roku „Ja Ślązak, ja Polak, ja Europejczyk” pokazują zwią- zek deklarowanej tożsamości z gotowością do migracji. Okazało się, że dzieciaki, któ- re czują tożsamość śląską, rzadziej deklaro- wały chęć wyjazdu.

Melon jest założycielem i przewodniczą- cym Stowarzyszenia na rzecz Edukacji Regio- nalnej „Silesia Schola”. Powstało ono z myślą o tworzeniu programów nauczania o Śląsku oraz pomocy dydaktycznych dla nauczycieli.

Tak powstał np. cykl filmów *W regionie o re- gionie*, które można znaleźć na YouTube i za darmo wykorzystać.

Jak to robią w Szkocji

Melon z zazdrością spogląda na Półwysep Iberyjski, gdzie władze autonomicznych wspólnot współtworzą podstawy programo- we nauczania. Jako anglista uważnie śledzi też, jak wygląda stan wiedzy młodych Wa- lijczyków i Szkotów wychowywanych w ra- mach brytyjskiego systemu oświaty. Walia ma odrębną podstawę programową. Auto- nomiczne władze same ustalają, czego mają się dzieci uczyć, Londyn nie ma możliwo- ści ingerowania w treści nauczania. – Do- szło nawet niedawno do nietypowej sytuacji, kiedy rodzice zaprotestowali przeciwko zbyt dużej liczbie godzin nauczania walijskie- go. Boją się, że ze słabym angielskim dzieci będą mieć problemy ze zrobieniem kariery zawodowej – mówi Melon.

Szkocja dysponuje własnym systemem edu- kacji i jest jednym z niewielu krajów, któ- ry podstawy programowej nie ma w ogóle. Treści nauczania są ustalane na poziomie samorządu. – Mają dokument Curriculum of Excellence, będący zestawieniem wytycz- nych, ale luźnych – wyjaśnia Melon. – Bar- dziej chodzi w nim o to, na co należy poło- żyć nacisk w danym roku szkolnym, niż na wyliczeniu, ile i jakich przedmiotów uczy- my. Pojawiają się oczywiście kontrowersje, np. jak prezentować na lekcjach historii Im- perium Brytyjskie. Bo dla wyborców konser- watywnych to powód do dumy – mieliśmy imperium, nad którym słońce nigdy nie za- chodziło. Ale w niektórych szkołach mówi się o Imperium w kontekście handlu niewol- nikami, co konserwatyści odbierają jako ro- bienie czarnej propagandy. Badania pokazu- ją także spore braki w wiedzy. Na przykład okazało się, że 37 procent uczniów uważa, że Szkocja stała się częścią Wielkiej Brytanii

w wyniku podboju, a tylko 24 procent wiedziało, iż tak postanowił szkocki parlament. Najciekawsza jest jednak sprawa nauczania języka. – Podczas gdy my na Śląsku spieramy się o to, czy jest sens nauczania języka, gwary, etnolektu etc., Szkoci, oprócz angielskiego, uczą się tzw. celtyckiego szkockiego (*Scottish Gaelic*), który gramatycznie i leksykalnie nie ma nic wspólnego z językiem angielskim, oraz *Scots*, który jest po prostu rodzajem gwary angielskiej. I nikt nie kwestionuje sensowności ich nauczania. Traktują to jako element tożsamości, bogactwa kulturowego i historycznego. Pokazuje to, gdzie my jesteśmy na Śląsku, a gdzie Szkoci. My się spieramy, czy publiczne pieniądze powinny być przeznaczane na nauczanie śląskiego, a oni to robią od lat z doskonałym rezultatem. Coraz więcej dzieci chce się uczyć *Scottish Gaelic*. Edukacja regionalna to jedna z najważniejszych inwestycji dla naszego regionu – podkreśla Melon. – Niestety, niewielu polityków potrafi to zrozumieć – dodaje.

Tekst pochodzi z kwartalnika „Fabryka Silesia” nr 4/2017

JEDNOAKTÓWKI

RODZINA ADAMSKICH (ABO GOTYK W GODCE)

Marcin Melon

GRAJŌM:

HANEK ADAMSKI fater ôd Lojzika, chop ôd Trudy Adamskij
TRUDA ADAMSKO mamulka ôd Lojzika, baba ôd Hanka Adamskigo
LOJZIK bajtel ôd Adamskich
ZEFEL ŻYMŁA biznesmyn-informatyk, kery bez cufal prziszôł do jejich
chaupy
PYJTER NOWOK polityk

ZEFEL (*włazi na bina, szkrobie sie po gowie i godo do publiczności*):

Musza pedzieć, żech je trocha wylynkany. Boja sie, cobyście niy pedzieli, że jo to wszystko znokwił. Nale katać bych wos cyganił? Jo je uwożany biznesmyn. Mianuja sie Zefel Żymła. Na zicher każdy z wos słyszôł ô takij firmie, kero sie nazywo... (*buczenie z offu*) Co je louz? Co to je za larmo? Aha, richtich, kryptoreklama, niy śmia godać, ja? Dobre. Styknie ino, że powiem, że môm jedna z nojwiynkszych firm informatycznych na Ślōnsku. Terozki już wiecie, że jo niy ma żodno ipt a i niy byda wom wieszôł nudli. To môm wom ôsprawiać, ja? Łońskigo roku, jakoś tak na podzim, miôł żech prawie jechać na epno konferencjo do Katowic. Chcioł żech jechać autym, nale żech sie pomysłoł, że lepij bydzie jechać cugiem. Każdy wiy jak to je, można jakoś gorzołka w hotelu bydzie abo co? Dojechoł żech tym cugiem kajś do Żwakowa, kej ôroz mi sztopli. Pedzieli, że dalij niy pojedymy – złomiorze zahabili glajzy. Porachowôł żech sie, co to niy ma daleko, zadzwoniłbych po taxi, ino że mi baterio w mobilnioku prawie klynkła. No to zaczōn żech is piechty po ciymoku bez tyn las. Bôło już blank niyskoro, wele dziesiōntyj we wieczōr. Za lasym znod żech jakis smyntorz, a za tym smyntorzim stoła chaupa. Wele chaupy na placu zoboczył żech jakiegoś autoka, ino po ciymoku niy poradza pedzieć kero marka. Wyglōndało choby czorno wołga, ale fto dzisiej jeździ wołgami? Padom: zaklupia, na zicher bydōm mieć telefon, to szkyrtna ôd nich po ta taksa...

Na bina włazi Lojzik z mobilniokiem.

ZEFEL:

Dobry! Fater w doma? Abo mamulka twoja?

Lojzik filuje ino, a psinco godo.

ZEFEL:

Jo je Zefel, jechoł zech cugiem na Katowice, ale zahabili glajzy. Chciołbych ino ôd wos zadzwonić po taksa. Jakbyś mi doł na chwila twojigo mobilnioka...

Lojzik psinco godo, ino chowie mobilnioka.

ZEFEL:

Niy musisz sie mie boć, naprowdy! Jakbyś ino zawołał matki abo ôjca...

Na bina włazi Adamski.

ZEFEL:

O! To na zicher bydzie twój fater... Dobry! (*Adamski tyż stoi i psinco godo*) Dobry! Jo sie mianuja Zefel Żymła, musza dojechać do Katowic, jakbyście mi ino borgli na chwila mobilnioka, cobych zadzwonił po taksa...

ADAMSKI:

Szczynść Boże!

ZEFEL:

A, no ja. Przeboczczie. Tradycyjne ślōnskie wartości. Szczynść Boże. Jo je Zefel Żymła. Mie sie ino ô tyn mobilniok rozchodzi, jakbyście mi dali zadzwonić po ta taksa...

ADAMSKI:

Jo sie mianuja Adamski. A to je mój syn Lojzik. Lojzik, dej tymu chopu mobilnioka.

LOJZIK:

Ale jo niy moga! Jo prawie zech je zoboczył! Byda je chytoł zaroz! (*pokazuje palcym*) O, widzicie je?

ZEFEL (*lacho sie*):

Widza, że wasz synek tyż chyto pokemony. Moja cera cinyngiym ino loto z mobilniokiem i kuko za pokemonami. Terozki każdy bajtel mo ptoka na punkcie tego pierōństwa...

LOJZIK:

Co wy godocie? Jake pokemony? Jo godom ô tym umrziku, kery sie tam chowie za krzokiem!

ADAMSKI (*kōncek znerwowany na bajtla*):

Lojzik, dej chopu mobilnioka.

Lojzik dowo mobilniok Zeflowi, tyn wklupuje numer, nale po jakiymuś cosik mu niy funguje.

ZEFEL (*znerwowany*):

Pierōna! Niy ma zasiyngu.

ADAMSKI:

Chopie, jaki zasiyng? Sam niy siyngo cywilizacja. Niykiere godajōm, co sam i som Ponbōczek niy siyngo.

ZEFEL:

I co jo terozki zrobia?

ADAMSKI:

Nic sie niy starejcie. Zjycie z nami normalnie kolacja, narichtujemy wom spanie i rano pociśnienie dalij. Katać sie bydziecie po nocy smykać?

ZEFEL:

Naprowdy niy trzeba! Chocioż tak po prowdzie to już je blank niyskoro...

ADAMSKI:

Dyć do nos to żodno utropa. Trudaaa! Narichtuj jedyn talyrz wiyncyj! Bydymy mieć gościa!

ZEFEL:

Jezderkusie, panie Adamski, skiż takich ludzi jak wy człowiyk naprowdy rozumy, co to je ta tradycyjno ślōnsko gościnnosć! Dziynkuja wom!

Na bina włazi Adamsko, pcho stōł i smyczy sztyry stolki.

ZEFEL:

Prawie żech dziynkował waszemu chopu. Jo sie mianuja Zefel Żymła, jechoł żech cugiem do Katowic, ino że jakeś gizdy zahabili glajzy i terozki niy mōm jak dojechać...

ADAMSKO:

Nic sie niy starejcie. *(do swojigo chopa)*:

Hanek, weź z kuchnie talyrze i blumwaza.

ZEFEL:

Wom je Hanek? Jo żech miōł ujka Hanka. W auswajsie stoło Jan, nale koždy na niego godoł Johan, Hanys abo Hanek.

ADAMSKI:

Ale mie niy ma Johan. Ani Jan.

ZEFEL:

Niy? To po jakiyemu na vos Hanek godajōm?

ADAMSKI:

To je ôd Hanibal. Hanibal Adamski.

ZEFEL:

Hanibal? Gryfnie! Trocha maszki... To znaczy chcioł żech pedzieć, co fest oryginalnie. Na zicher po oupie?

ADAMSKI:

Po oupie to jo ino erbnoł borgi do abcalowanie. Siednijcie sie.

ZEFEL:

Fest żech je rod, żech trefił tako fajno tradycyjno ślōnsko familjo. Takich jak wy to już terozki niy ma za wiela. Tak sie tukej miyszkocie na ôdludziu we trzech ino?

ADAMSKO:

Mōmy jeszcze cera, ino że ji prawie niy ma w doma. No i Lojzik miōł bracka, keremu sie umarło. A na wyrchu trzimiemy starzyka, kere sōm niymocne.

ZEFEL:

Ale pyknie! Tradycyjno ślōnsko familjo wielopokolyniowo. Musza pedzieć, że jo tego niy znom, moje rodzice sie rozwiedli, jak żech miōł sztyrnoście lot. Jak tak na vos patrza, to zaś zaczynom wierzyć w tradycyjne wartości. Jake gryfne kwiotki, to bydōm... dōmbki, pra?

ADAMSKI:

Lojzik, skōnd mōmy te kwiotki?

LOJZIK:

Som zech je przismyczył dzisiej ze smyntorza.

ADAMSKI:

Godoł zech ci, że niy śmiesz brać kwiotkōw ze smyntorza. Potem sie niy ma co dziwować, że mōmy umrzikōw w ôgrōdku.

LOJZIK:

Rano zasmycza je nazod.

ADAMSKI:

Żodne rano! Terozki, jak ino zjysz, pōdziesz na kerchof i dosz je hań, skōnd żeś je wziōn.

LOJZIK:

Ja, fater, pōda.

ZEFEL:

Musza pedzieć, że macie usuchanego tego synka. Jak jo bych tak pedziol mo-
jij cerze, toby bōło:

„Niy, terozki niy mōm czasu, katać byda po ciymoku łązić?”

ADAMSKI:

Bajtel mo być usuchany. Lojzik je trocha nadpobudliwy i ôn mo te... jak to sie godo? ACDC?

ZEFEL:

ADHD?

ADAMSKI:

Niy, przeca godom, że ôn mo ACDC. Jak to dochtōr pedzieli? Tako energio ja-
koś maszketno w nim siedzi. Jak nom sie byrna przepoli, to dawomy Lojziko-
wi pocyckać i ôna wtynczos dalij świyci. O, Lojzik, pokoż ino. (*wyciōngo byrna
z kapsy*) Wrażuj ta byrna do gymby, na! (*Lojzik wrażuje*) A terozki pocyckej. No,
żuchlej, żuchlej ta byrna. (*Lojzik cycko*) Widzicie? Świyci sie!

ZEFEL:

Jezderkusie, richtich, czegoś takigo jeszcze zech niy widzio! Jakby my poradzi-
li spokopić ta technologio, toby bōła rewolucja na rynku baterii do laptopōw.
U mie we firmie...

ADAMSKI:

Niykerych rzeczy spokopić sie niy do. I niy bydzie żodnych eksperymentōw na
Lojziku. Lojzik, idź na wyrch nafutrować starzyka, umyj rynce i przidź nazod
na kolacjo.

Lojzik ciśnie weg.

ADAMSKO (*stawio na stole talyrz z krupniokiem*):

Na, macie krupnioka. Swojsko robota.

Napoczynajōm frygać.

ZEFEL:

Niy godejcie! Fto dzisiej jeszcze robi świniobicie?

ADAMSKI:

Jakoś ôńskiego tydnia taki chop sam do nos prziszol. A, taki mamlas. Pedzieli
my mu, co może u nos spać, a ôn zaczōn zolycić z mojōm babom, pra, Truda?

ADAMSKO:

Pierõński gizd. Jak sie go spomna, to aże mie tyrpie... Co za szwajn to bõł.

ZEFEL:

No, richtich, pierońsko świ... świnia... (*pomału zaczyno miarkować, wtynczos słychać jakeś wajanie na wyrchu*) Co je louz? Fto tak wajo?

ADAMSKI:

To ino starzyk. Na zicher Lojzik zaś go napasztuje. Jak zjycie, to Truda wom narichtuje spanie w izbie po naszymy cerze. O, Lojzik je nazod. Na, mosz krupnioka, frygej. Nafutrowoł żeś starzyka?

LOJZIK (*włazi nazod na bina*):

Ja, fater. Ino że sie chroboki nom pomału kończõm...

ADAMSKI:

Słyszysz, Truda? Trza bydzie iś i kupić wyncyj chrobokõw. (*Lojzik ciucio co-sik na ucho Adamskij*) Co tam ciuciosz, synek? Mõmy gościa, niy śmiysz przy nim ciuciać. Jak cosik mosz, to godej normalnie. W tradycyjnyj ślõnskij rodzi-nie niy ma ciuciano.

ADAMSKO:

Bajtłowi zaś sie rozchodzi ô tego beboka w szranku.

ZEFEL:

Lojzik, nic sie niy starej, jo zech je stary i moga ci pedzieć, że w twojim szranku niy ma żodnego beboka, niy mosz sie czego boć!

LOJZIK (*zaczyno ślimtać*):

To kaj õn zaś je?

ADAMSKO:

Jezderkusie, Lojzik, na zicher kaj indzij poszoł, nale przeca yntliś przidzie nazod. Panie Zefel, niy godejcie synkowi takich gupot. Lojzik, frygej krupnioka, ciś na kerchof z tymi kwiotkami, tak jak fater pedzieli, można za tyn czos twõj bebok przidzie nazod.

LOJZIK:

A moga pedzieć wierszyk?

ZEFEL:

Toć, Lojzik, godej.

LOJZIK:

Stoi w lesie chaupa blank staro, sam po kolyndzie niy przidzie ani farorz...

ADAMSKI:

Co to je za wierszyk?

LOJZIK:

Som zech napisoł. To je ô nos.

ADAMSKI:

Co ty za gupoty godosz? Katać do nos farorz po kolyndzie niy łażõm? Załoński-go roku byli u nos i tak nom byli rade, że õstali na õbiod.

Adamski, Adamsko i Lojzik napoczynajõm sie chichrać, choby im sie jakiś wic spomnioł.

ZEFEL (*sztanuje jakby pomiyniać tymat*):

A ta chaupa to bydzie richtich staro, pra?

ADAMSKO:

Toć, jo pamiyntom mojigo fatra stowiac ta chaupa. Kej to bōło? Jeszcze za kajzera Wilusia, tak mi sie zdowo...

ZEFEL:

Co wy godocie, katać wy pamiyntocie kajzera? Przeca take stare wyście niy sōm!
*Õroz robi sie fest szpana, Adamski, Adamsko i Lojzik psinco godajōm,
ino filujōm na Zefla. Wtynczos Adamski dźwigo sie ze stołka.*

ADAMSKI:

Eli mie sie zdowo, eli prawie żeście pedzieli mojjj babie, co je staro?

ZEFEL (*wylynkany*):

Niy! Dyc jo niy to chcioł pedzieć. Jo zech sie ino zdziwowoł jak tako modo i gryfno baba...

ADAMSKI:

Gryfno, ja? Przajecie mojjj babie?

ZEFEL:

Niy! To znaczy: ja, je gryfno, ale katać jo bych...

ADAMSKI (*chichro sie*):

Dyc jo wos ino za bozna robia! Ale żeście sie wylynkali. Cosik wom powiyam: tak po prowdzie to na świecie sie niy ma czego boć. Jakbyście miyszkalni cōłkie życie wele smyntorza, tobyście wiedzieli.

ADAMSKO:

Fajnie sie miyszko wele smyntorza. Jak yntliś starzyk sie kopyrtnōm, to bieremy go, kopiemy ducka i po ptokach. I wiela piyniyndzy idzie uszporować.

ZEFEL:

Wiyecie co... To jo bych sie možno poszoł już legnōnc... Ino jakbyście jeszcze mi pedzieli, kaj mocie hazieli...

ADAMSKI:

Schodami na wyrch i czworcie dźwyrze na prawo.
Zefel ciśnie weg z biny.

ADAMSKO:

I jak ci sie widzi tyn Zefel?

ADAMSKI:

Trocha chudy. Można trza go bydzie pofutrować?

ADAMSKO (*macho rynkōm w lufcie, choby szlachtowała miynso*):

Jedna kitka, drugo kitka... Jakby ino tyn Lojzik niy bōł taki przepadzity... A možno rolady zrobiemy?

ADAMSKI:

Toć, że zrobiemy rolady! Yntliś sōm my tradycyjno ślōnsko rodzina, pra?

ADAMSKO:

A kaj go bydymy trzymać? Dyc do chlywika je za wieli.

ADAMSKI:

Richtich, bydzie miōł z myjter ôziymdziesiōnt. Ino że chudy. Nale jak tak na niego filuja, to možno nawet ze dwa ôbiady bydōm, pra?

Zefel wlatuje nazod na bina, cōłki znerwowany.

ZEFEL (*dre sie*):

Niy! To niy ma normalne! To niy ma normalno chaupa! Takigo czegoś to jo zech jeszcze niy widzioł, jak dugo żyja! Właza do siyni, kukom, cosik leży na zolu. Patrza: gybis. Chcioł zech go dźwignōńć, coby ftoś na niego niy nadep, a tyn gybis zaczyno mi pitać. Choby na jakimś sznurku. Gybis, kery som loto po zolu! Co je louz z tōm chaupōm?! W normalnyj ślōnskiej chaupie gybisy niy lotajōm same!

ADAMSKO (*do swojigo chopa*):

Jo zech godała starzykowi, co majōm dować pozōr na tyn gybis.

ADAMSKI:

To skiż tego, że ōn przōdzij stracił ta wiychnio szczyinka i terozki ta dolnio szczyinka loto i szuko tyj wiychnij.

ZEFEL (*durś znerwowany*):

Ale co tam gybis, chciało mi sie iś do haźła, padom som do sia: do sie to jakoś wyerklerować z tym gybisym! Właza do haźła, dźwigom deska i co widza? Jakoś rynka siyngo do mie! Zielono! Jakbych sie niy pokapowoł, toby mie chycił za...

ADAMSKI:

No, ja. Dieter.

ADAMSKO:

Zapomnieli my wom pedzieć, że trzimiemy hań utopka.

ADAMSKI:

A co mo trzimać ślōnsko familjo w doma? Dyć niy bydymy hodować źmijōw.

ZEFEL:

Jakigo utopka zaś? Niy rōbcie mie ino za bozna!

ADAMSKI:

Trzimoł zech krōle, ale Lojzik wziōn i je zeżar. Miōł zech briwy – to samo.

ZEFEL:

I co? I terozki chowiecie utopka? I mianuje sie Dieter?!

ADAMSKI (*znerwowany*):

A co? Źgo vos to, że sie po niymiecku mianuje, ja? My sōm tradycyjno ślōnsko familjo, my sam miyszkalim za Nymca i durś miyszkomy i niy ma nom gańba ani skiż starzyka we Wehrmachcie, ani skiż utopka we haźlu! I żodyn nom, pierōnie, niy przegodo, co my som jakoś gorszo zorta Polokōw!

ADAMSKO (*blank spokojnie*):

A pamiyntosz, po tych briwach kupili my Lojzikowi chomika i tyż go zeżar.

LOJZIK:

Niyprawda! Jo zech Helmuta niy zeżar, som nom pitnoł!

ADAMSKI:

Niy cygoń! Chomiki niy pitajōm! Zeżar żeś go, chapolu pieroński! Co by ci człowiwyk niy doł, wszystko zeżresz! (*do Zefla, spokojnie*):

Łońskigo tydnia zeżar trzi psy.

ZEFEL (*trocha uholkany, a można ino rod, że yntliś idzie pogodać jak to fater do fatra*):

Ja, tukej mocie recht, moja cera tyż ino by te czipsy durś frygała...

ADAMSKI:

Ale macie wy pojyncie jako to je gańba? Trzi psy zeźrić! Sōmsiady przilyźli, koźdy sie pyto, eli źech niy widzioł ich psa. A tyn przepadzitek ino sie ôblizuje i chichro. (*do Lojzika*):

Ja, ô ciebie godōm! Co take afy szczyłysz? A z twoim bracikiem co sie podzioło?

ADAMSKO:

Niy godej tak, Hanek, niy wiymy eli richtich Lojzik zjod swojigo bracika...

ADAMSKI:

A fto jak niy ôn? Ino na godzina ôstawili my ich w doma, a jak my prziszli nazod, modego juź niy bōło. Tyn podciep wszysko zeźre, co ino widzi! Człowiyyk sie wypruwo żyły na grubie, coby bajtle głodu niy miały i co mōm z tego? Cera w hereszcie i przepadzitego synka!

ZEFEL:

Niy! To niy ma na moje nerwy! To je ciynźyj spokopić jak interfejs nowego Windowsa! Jo sie z tego lyjamtu wylogowuja! Jak dugo żyja, takij pitomyj rodziny jeszcze źech niy widzioł! Sto razy wola iś piechty do Katowic, jak ôstać tukej z wami. (*ôdmyko jedne dźwiryze, włazi, wyłazi, ôdmyko drugie, to samo, trzecie – tyź gynau to samo*) Co je louz z tymi dźwiryzami?! Wetna sie, że kereś z nich to bōły dźwiryze na plac!

ADAMSKI:

Te z prawyj.

Zefel włazi do dźwiryzy, Adamski zawiyro je za nim.

ZEFEL:

Panie Adamski! Jo je w szranku! Niy umia dźwiryzy ôdemknōńć! Niyh mie ftoś wpuści! Pierōna, wy sam jakeś kości macie!

Klupanie do dźwiryzy.

ADAMSKI (*blank spokojnie*):

Lojzik, idź, zobocz fto klupie. A jak żeś juź zjod, to bier ôd razu te kwiotki i ciś z nimi nazod na smyntorz.

Lojzik włazi do inkszych dźwiryzy.

LOJZIK:

Fater, jakiś chop! Z tego samego cugu, tyź pado, że sie stracił.

ADAMSKI (*filuje na Adamsko*):

Drugie danie?

ADAMSKO:

Hanek, ty pamiyntosz, jaki żeś miōł ôstatnio cholesterol? Ty niy śmiysz tela miynsa jeś.

ADAMSKI:

Dej pokōj, Truda, jak Ponbōczek dowo, to sie biere. Lojzik, dowej sam tego chopa.

Na bina włazi Nowok w galantnym ancugu.

NOWOK:

Szczynśc Boże.

ADAMSKI:

Szczynśc Boże.

NOWOK:

Niy gorszcie sie, że wos szteruja tak niyskoro, mianuja sie Pyjter Nowok, robia za posła do Syjmu. Prawie żech jechoł cugiem do Warszawy bez Katowice, ale jakeś boroki zahabili glajzy. Mie je tak żoł takich borokōw, co to niy majōm za co żyć. Polska w ruinie, godom wom!

ADAMSKI:

Jo sie mianuja Adamski, a to je moja baba, Truda. Lojzika żeście już trefili wele dźwiryzy. Jeszcze z nami miyszkajōm starzyk, bo starszo cera... no, idzie pedzieć, że sie wykludziła.

ADAMSKO:

No i modszy synek je kajś w ôgrōdku...

NOWOK:

O! I tymu to jo żech je rod! Rodzina wielodzietno, wielopokolyniowo. Tradycyjne wartości! To skiż takich familii moja partia narichtowała swoja polityka prodzinno! Roz, dwa, trzi, sztyry, sześć... Jak na mie zawelujecie, to jo wom dom sześć tysiyncy wiyncyj kożdego miysiōnca! Takim familjom jak waszo trza pomagac! Kożdyj polskij familji domy tela, wiela im trzeba!

ADAMSKI:

Richtich? A skōnd weźniecie na to piyniōndze?

NOWOK:

Widza, że macie krupnioka? Moga trocha? (*siado i napoczyno jeść*) Jerōna, nojlepszy krupniok, jakigo żech jod! Pytaliście sie ô piyniōndze, ja? Nic sie niy starjecie, piyniōndze sie znojdōm! Nojważniejszo je polsko familjo! Im wiyncyj bajtli, tym lepij! Jak tak na wos patrza, to byście mogli mieć jeszcze ze dwa abo trzi bajtle. Abo i wiyncyj. Panie Adamski, a można wy już niy poradzicie z waszōm babōm, co? No a jak poradzicie, to na co czekocie?! (*chichro sie*) Bo jak niy, to fto inkszy przidzie i poradzi! Potrzebujemy ludzi do roboty! Trza ôdbudowac cōłko Polska! Bydōm zmiany, panie Adamski! Ftoś musi robić na nasze penzyje. Co wom sie zdowo, że weznemy Arabōw i ône bydōm na wos robić? To sie chachniecicie! Jak niy chcecie sam Arabōw, to trza nom wiyncyj bajtli! Polskich, tradycyjnych bajtli! Aha, no i musicie na mie zawelowac. Wyecie jake to sōm pitome ludzie te Araby?

ADAMSKI:

Jo żech roz trefił jednego Araba.

NOWOK:

Richtich? Jo jeszcze żodnego żech niy widzioł. I co? Co ô nim powiyecie?

ADAMSKI:

Trocha niciaty bōł.

NOWOK:

To jo nojgorszo zaraza. My niy śmiymy ich sam puścić! Muszemy wachowac naszych tradycyjnych wartości. A ta chaupa to bydzie richtich staro, pra? Chyba jeszcze Niyemca bydzie pamiyntac! Niy, niy, jak to Niyemce postawili, to trza to bydzie zbulić. Pamiyntecicie, Niyemce to sōm wasze wrogi! Na wroga trza zawdy dowac pozōr, skiż tego bydymy dowac wiyncyj piyniyndzy wojokom. Jak

my zaczemy rzōndzić, to żodyn niy bydzie musioł miyszkać w takich starych chaupach. Wybudujemy dwa miliony nowych miyszkań. Ja, ja, jo już widza, że sie chcecie mie pytać, skōnd na to piyniōndze weznemy! (*chichro sie*) Malkontynt z wos, panie Adamski! Nic sie niy starejcie, na wszystko bydōm piyniōndze. My je znojdymy. Niy gorszcie sie, moga do haźła?

ADAMSKI (*po cichu*):

Schodami na wyrch, czworte dźwyrze na prawo.

Nowok idzie weg.

ADAMSKO:

Jezderkusie, co za maszketny chop. Jak godosz?

ADAMSKI:

Truda, ty wiysz! Ty wiysz wiela mōj żołodnek poradzi przetrowić! Nale tego chopa to ani jo bych niy przetrowi! Truda, jo... jo... Jo ani niy wiym, co mie sie robi... Jo tak jeszcze nigdy w życiu żech niy miōł... (*ciynżko dychu, choby luftu niy poradził chycić*) Wiysz, mōm taki maszketny gyfil...

ADAMSKO (*zeszterowano, biere go za rynka*):

Hanek, eli tyś je wylynkany?

ADAMSKI:

Co ty fandzolisz? Znosz mie tela lot, jo sie nigdy niczego ani żodnego niy boł. Ino że jak sie pomyśla, co take gizdy poradżōm zrobić z naszym hajmatym, to sie boja... Jerōna, Truda, ty mosz recht! To je tyn maszketny gyfil! Jo sie piyrszy roz w życiu czegoś boja!

ADAMSKO:

Niy godej! Richtich? Boisz sie tego chopa?

ADAMSKI:

Boja sie tego, co ōn godo... Chce dować kożdymu piyniōndze, chaupy stowiać, a niy chce pedzieć, skōnd na to piyniōndze weźnie. Boja sie, ku czymu u nos przidzie, kej ōne zacznōm rzōndzić. Przidzie do ciebie taki pierōn do chaupy, wejrzy ci do lyżo, ōstatnigo krupnioka ci zeżre i ani sie niy spyto.

NOWOK (*włazi nazod na bina*):

Jaki wy mocie fajny haziel! Jak żech tak siedzioł, to żech miōł taki gyfil, że co-sik mie halo po... no, wycie... Jo bych tak umioł siedzieć i siedzieć, ino że sie zrobiło trocha niyskoro. To co? Jo wom ino ōstawia moja wizyt-karta, cobyście wiedzieli, na kogo mocie welować. I... moga sie kajś legnōnc u wos, a rano pocisna dalej do Katowic, ja?

ADAMSKI (*po cichu*):

Izba po naszymy cerze. Musicie wlyć do tych dźwyrzy z lewyj strony.

Nowok włazi do dźwyrzy, Adamski zawiyro je za nim.

NOWOK:

Panie Adamski? Wyście sie chyba chachli? Dyc jo je w jakimś szranku. Weźcie ino ōdemknijcie te dźwyrze!

ADAMSKO:

To co robimy terazki?

ADAMSKI:

Lojzik! Pitomy samstõnd!

ADAMSKO:

Co ty godosz? I kaj pojadymy!

ADAMSKI:

Egal! Jo niy byda czekoł, co sie bydzie wyrobiać tukej, kej take pitome ludzie przidõm do rzõndzynio! Tela lot miyszkanie wele smyntorza i ani roz zech sie niy boł. Aże do dzisiej! Lojzik! Bier i wraźuj starzyka do rajzyntaszy! Cisnymy!

Adamskie pitajõm z biny. Za chwila jeszcze słychać, jak ryczõm kajś za binõm.

ADAMSKI:

Lojzik! A kaj starzyk majõm drugo rynku?

LOJZIK:

Starzyk dzisiej majõm ino jedna rynku.

ZEFEL (*durś w szranku*):

Jo zech siedziõł wtynczos durś zawarty w szranku i wylynkany eli keryś niy przydzie ku tymu, coby zebrać ze sobõm prowiant na droga. Na szczynście żodyn sie õ mie ani niy spomniõł. Za chwila słysoł zech tego drugigo chopa wylazić ze szranku. Tak po prowdzie to ani zech go z gymby niy widziõł, ale wetna sie, że pora tydni niyskorzyj słysoł zech jego fandzõlynie kajś w telewizji. Poczekoł zech jeszcze godzina, zaczyj zech wyloz z tego szranku. (*wylazi ze szranku*) W chaupie żodnego niy bõłõ. Wziõn zech i pocis piechty do Katowic. Ja, jo już widza, jak jakiś chop sie klupie po gowie. Padocie:

„Zefel, ty ipto, ale sam znokwiosz, na zicher żeś miõł ino taki śnik, a terozki nom nudle wiyszosz”. Ale jo godõm prowda! Przisiyngõm na... na procesory Intela! Na moja firma przisiyngõm! Za pora dni zech tam zaś pojechał, ale... jużzech tyj chaupy niy poradził znojść. Ino że õna richtich tam je! Kajś w lesie miyndzy Żwakowym a Kobiõrym je mały smyntorz, a wele niego stoi chaupa, w keryj miyszkała nojbardzij maszketno familjo na Ślõnsku! Dejcie sie pedzieć! O, widza, że hań jakeś ludzie z õstatnij raje już cisnõm weg do dom, coby tych gupot niy suchać... Jerõna! Dyc to sõm õne! Dejcie pozõr! (*kuko i pokazuje rynkõm ku õstatnij raji*) To sõm Adamskie! Chytejcie ich, niy dejcie im pitnõnc! Panie Adamski, poczkejcie! Musicie im pedzieć, co jo godõm prowda! Żodyn mi niy wierzy! Panie Adamski! Pani Adamsko!

Zefel ślatuje z biny.

STRACILI SIE

Irek Widera

PERSŌNY:

- KRYSIEK synek wele szesnastego roku Źycio (jakies stare, w niykierych miyjskach potargane galoty, czyrwono flanelnymda, czorny tressek)
- ŌMA baba wele szejŹŹdziesiynciu rokŵ (jasnomodry klajd, fest bŵnto zopaska, brŵnotno kecka)

Tela co po poledniu. Lekko cima. Srogo izba. Źŵlte Źciany z biołym walcym. Delŵwka posztrajchowano na brŵnotno. Stary szrank z trzymia dŹwiryzami. Na szranku wŵniajŵnce pŵnki. Dwojiste łŵzko ze pierzinami i srogimi zogłŵwkami przykryte Źŵltŵm kapŵm. Biole, lekko uchylŵne dŹwiryza. We rogu kachlok. Cicho muzyka: program „Trzeci” – wieŹci. Ōdglŵsy ze kuchnie. Wŵnio smaŹonymi ajerkuchami. Krysiek klynczy przed szrankiym. ŌtwarŹe jedne dŹwiryza. Przed nim pora kartŵngŵw ze albumami i skrzinkami po strzewikach. Krysiek przegłŵndo albŵma ŵprawiŵno w modro ŵbkłodka.

ŌMA (za dŹwiryzami):

FtoŹ sie zaŹ musioł stracić.

KRYSIEK (niz dŹwigo gowy):

GodalaŹ coŹ?

ŌMA:

Zwŵniom dzisiej dwa razy dłuŹyj. Hned zaŹ bydŵm kogoŹ chować. Sie boroki namynczŵm, jak tak dugo muszŵm te zwŵny belŵntać.

KRYSIEK:

Godŵlech ci juŹ, ŵma, co ŵd poru lot majŵm te dzwŵny pod sztrŵm podepniyn-te. Styknie jedyn knefel prziciŹ i sie samo ŵnaczy.

ŌMA (włazuje do izby, wyciyro rynce do zopaski):

Nale i tak ftoŹ musi tego wachować bez polednie... Patrzeć na zygor i rachować. (patrzy na porozkłŵdane skrzinki) Krysiek! CŵŹ ty sam za krŵm robisz? (zwyroto gowŵm) Wszyskie kartŵngi ŹeŹ powyraŵŵł ze szranku.

KRYSIEK (kejby niz slyszŵł, co ŵma godo):

Ōni tam majŵm jakiŹ taki zygor, co je narychtowany na puszczenie tych zwŵnŵw ŵ nasztalowanym czasie. Ani chopa do tego niz trza, ani rachowanie.

ŌMA (macho ramiyniami):

Tak co to potym schrŵniesz. Ōnskigo tydnia tam wszysko ukłŵdalaŹ.

KRYSIEK (ze Źmiychym):

Ōma... Przeca ty sam dycki mosz ŵrdnung.

ÖMA:

Ördnung mus zain, jak to godali za starego piyrwyj. Tak mie zowdy szkolili ôd małości. Spamiyntej... Koždy klamor mo mieć swōj plac. Wszysko mo leżeć na tym samym miyjscu, bo wtedy gibko to idzie znojs, jak sie tego bydzie potrzebować. Czasu sie niy traci na szukani i nerwōw... (*zwyрто sie do dźwyrzi, ciynżko stōmpie, wylazuje*) Mōm gyszpant, kogo to bydōm zaś chować... Sie ludzie tracōm jedyn po drugim...

KRYSIEK:

Öma! Szukōm jednyj fotografki...

ÖMA (*za chwila dziepiyro, już ôd kuchni*):

Musisz zetwać... Żeś se tyż znod czas na te sznupanie... Jak ôbiod na blasze...

Krysiek ôdkłodo jedyn albōm i biere drugi, w zielonej ôbktodce.

We radiu koniec wiadōmości. Głos Piotra Kaczkowskiego.

ÖMA:

Krysiek! Robia ajerkuchy. Chcesz z apfylmusym, posute pudrymcukrym eli ze marmeladōm?

Krysiek zasłuchany w głos redaktora nie ryaguje.

ÖMA (*za chwila*):

Krysiek! Ty mie słuchosz? Ze pōnkami czy marmeladōm? Te placki...

KRYSIEK:

Ja, ja. Jak bydzie to bydzie. Zjym co dosz.

ÖMA:

A potym bydziesz wynokwiōł. Jo wola wiedzieć zawczasu...

KRYSIEK:

Niech bydōm ze marmeladōm. Ale ino dwa, a potym zjym, kej mama przijdzie...

ÖMA:

Placki yno do nos robia. Kej mama przijdzie, to bydzie aintopf. Ale to dziepiyro ô trzi ćwierci na trzecio. Zgłodnियiesz za tyn czos.

Odgłosy ôd kuchni.

ÖMA (*za chwila*):

Zrobia ci piynć tych plackōw. Zjysz tela?

KRYSIEK (*ze leksza znerwowany*):

Ja! Zrōb tam wela chcesz. Mie je jedno.

ÖMA:

Co to za godka! Jo sie tu starom, a tymu je jedno... Na drugi roz bydziesz czekoł ô prōżnym żelōndku, aże mama przijdzie.

Krysiek ôdkłodo albōm i biere skrzinka ze powrożanymi luźnymi fotografkami. We radiu grajōm „Script for A Jester’s Tear” Marillion.

KRYSIEK:

Öma! Przijdziesz sam yno na chwila?

ÖMA:

Zetwej jeszcze abo pōdź sam, do kuchni. Niy byda ôdchodzić ôd blachy, jak mōm tam rozgrzōno ôliwa i ciasto zafyrlane.

KRYSIEK (*przekłodo fotografki*):

Rozchodzi sie ô jedna fotografka. Zdało mi sie, że je w tym modrym albõmie, nale tam ônyj niy znodłech...

ÕMA:

Jako zaś fotografka? Jo tam niczego niy wyciepowała. Kej była tam zowdy, to dycki tyż tam bydzie... (*za chwila*):

Przijdź sam za chwila, bo mõm już dwa placki narychtowane... Krauza ze marmeladõm trza ôdkryncić, bo jo mõm już gorści niyherski...

Krysiek nie ryaguje. Przekłodo fotografki coroz gibcij.

We radiu „When a Blind Man cries” Led Zeppelin.

ÕMA (*zniecierpliwiono*):

Krysiek! Jakiś ty jest niyusłuchliwy. Wela razy cie trza wołać, cobyś sam prziszol? (*za chwila*):

Słyszysz?! Zrobić, nastarać sie i pod sama gymba mu podać... I nawet dziynkuja sie za to niyrõz niy usłyszysz...

KRYSIEK:

Õma, przeca jo ci tego niy robia na bzdury... Zetwej jeszcze chwila. Przejrza yno pora bildõw.

Za chwila õma wlazuje do izby z talyrzym.

KRYSIEK:

Õma! (*Krysiek sie dźwigo*) Po co to sam nosisz!?! Przeca godołych ci, co jak skõńcza, to przijda.

ÕMA:

Ja! Ciebie to by było dobrze po śmiertka posłać, bo õna sama to sie zowdy uwijo. Ajerkuchy sie jy zanim ôchłodnõm. (*filuje po izbie*) Kaj ci to dać?

KRYSIEK (*tyż patrzy*):

Niy wiym... (*w końcu wyciõngo rynce*) Dej... na delõwce se to postawia.

ÕMA (*krynci gowõm*):

Bydziesz jodoł jak pies... Prziszelbyś do kuchni, siod i zjod jak czowiek.

KRYSIEK (*kosztuje*):

Tak je perfekt. Niy byda sie ôdrywoł od tego, co robia. I chca tyż słucać tego, co tam grajõm.

ÕMA:

Ja, ty te skrzypiynie nazywosz muzykõm i to je waźnijsze ôd jedzynio? Ech... Ty sie jeszcze synek musisz wiela w życiu nauczyć. (*krynci gowõm*) Tak suche to bydziesz jod? Choćby bez pudercukru? (*zaś krynci gowõm, terozki dużyj*) I komportu se nalyj... A jakie sõm te ajerkuchy? Mało wiela mi sie niy spoliły...

KRYSIEK (*gryzie*):

Õma... nojlepsze jakie zech jod.

ÕMA:

No ja, bele niy trza przy nich nic robić... (*zwyrtõ sie do dźwirzi*)

KRYSIEK:

Ōma... Pamiyntosz tako fotografka, na kieryj był ôpa, ujek Francek, ujek Tomek, ciotka Marta i ciotka Gustla? Tako zrobiono wele ratusza? Chyba jeszcze sprzed wojny?

ŌMA (*wylazuje z izby*):

Ja, ty mi godej. Jo mōm, myślisz, terozki gowa do takich gupot.

KRYSIEK:

To była tako trocha wiynkszo fotografka niż te inksze we tych albōmach. Ze postrzymiōnym krajym. Ujki i ôpa byli w ancugach i na ratuszu jeszcze rosło tedy wino. To musiało być chyba jeszcze przed wojnōm zrobione?

ŌMA:

A cōż ci sie tak ôroz rozchodzi gynał ô ta jedna fotografka?

KRYSIEK:

Bo byłech wczora u Kieckōw, schować na gōra koło na zima... I był tam ujek Francek...

ŌMA (*bardziej do sia*):

Downo tam niy byłach. Musiała bych zōńs tam kiedy do Hildy, bo ôna ze tymi bolawymi szłapami to niy do rady tu do mie przijś.

KRYSIEK:

...no i dali my sie do godki. I ujek zaczōn rozprowiać ô wojnie. I ô tym, jak sam Rusy wleźli...

ŌMA:

Ty tam ujkwowi za fest niy wyrz, bo ôn mo ôd tyj gorzoły, kiero durś ślepie, gowa lang zbamōncōno...

KRYSIEK:

Wczora akurat był mōnter. Jakeś stare cajtōngi sztaplowōł...

ŌMA:

Ja. Coby sprzedać i mieć na biyr. Hilda mo śnim skorani boskie. Cołki życie sie śnim użyro. A cōż mu sie tak zebrało na wspōminki?

KRYSIEK:

Tak my godali ô bele czym. A potym tak jakoś samo zeszło na ta wojna. I dowiedziolech sie takich gyszichtōw, kerych pryndzyj żech niy znoł. Choby to, co ôpa był u Rusa i jak tamstōnd prziszōł, to był sparaliżowany...

Ōma stowo na progū. Wyciuro palce do zopaski.

ŌMA:

Francek ci tak pedzioł? (*krynci gowōm z politowanym*) Przeca wiysz, co ôpa ślecioł ze dachu, jak papa kładli u Malchrōw...

KRYSIEK:

Wiysz ôma... jo ôpy lichu pamiyntōm. Ino to, co leżoł hań (*pokazuje na łōżko*), eli siedzioł we koszyku pod ôknym i coś tam czytoł. Ale za mały byłech tedy, coby śnim pogodać i jeszcze to spamiyntać.

ŌMA:

Godalał ci już ô tym pora razy... Mi sie zdo, co to bōło jakoś zarozki na poczōntku lata, jak ôn spod. Pamiyntōm, bo we czyrwcu dugo pogody niy bōło i ôroz prziszło

słońce i zrobiło się ciepło. I Malchry się dali do tego dachu. A że ôpa kedyś, jeszcze za staryj Polski, robił przy dachdekrach, to poszoł im pomôgać. I jakoś na drugi tydzień, kej już kładli nowo papa, to Malcherka przileciała mi pedzieć, że ôpa śleciół ze tego dachu...

KRYSIEK:

I ôd tego mioł tyn wylyw?

ÔMA:

Jaki wylyw? Coś mu tedy we krzizu szczeliło. I już niy wstoł. Gyry mioł niywładne...

KRYSIEK:

Mie wczora ujek godoł co innego... Że ôn już mioł nogi niywładne, jak ôd tego Rusa prziszło... Zarozki po wojnie... I beztoż mie tak to udziwiło, skônd sie tam wziôn, jak wiy, co ôn przeca niy był przy wojsku.

Ôma bez sowa zaś wylazuje do kuchnie.

KRYSIEK:

Ôma! Przeciyż ujek by mi głupot niy pociskoł. Pedziół mi, że jak tu Rus wloz, to pozbiyroł wszystkich modych synkôw i powiôz do sia. I co bez to ôpa tyż tam bôł. (*ôdkłodo albôm*) A potym ujek sie zaczôn żalić. Co niy poradzi ściyrpieć tego, jak se spomni, wela ich bôło kedyś w dôma, i co terazki to ôn sie ôstoł yno sôm... Że tak ôroz wszystko sie posuło... Z dnia na dziyń. Ôroz wele ciebie niy- ma już tych, kerych żeś znoł ôd bajtla, z kerymi żeś jodoł, rzykoł, lotoł po placu, rômplowoł i ze kerymi żeś sie wadził... Beztôż szukôm tyj fotografki, bo mi sie zdało, że na nij byli wszystkie Kiecki...

*Bez dugszo chwila ôdgłôsy ze kuchnie. We radiu Kaczkowski zapowiadô
„In Power We Entrust the Love” Dead can Dance.*

KRYSIEK:

Ôma! Czamu niy chcesz ô tym symnôm pogodać?

ÔMA:

A co ci sie tak terazki ôroz ô tym spômniało? (*cichoś*) To sôm taki gyszichta, ô kerych lepij gošno niy godać.

KRYSIEK:

Ôma, przeca my sôm we doma. Czamu jo sie musza dowiadywać czegoś ô mo- jij familiji ôd kogoś trzecigo? Czamu tyś mi ô tym niy godała? Ani mama? Côż sie takigo tu wynokwiało, co jo niy znôm połôwki prowdy ô moich włosnych ujkach i ciotkach? Powiydz, czego ty sie boisz? To już bôło tak downo, a i tyż czasy sie przeca zmiyniły.

Ôma wlawuje do izby. We rynekach trzimie nisko skrzinka po szekuladzie. Krysiek stowo.

ÔMA:

Krysiek... (*patrzy na synka; glosko skrzinka; rozwažo*) Niy dziwia sie Francko- wi, co tak padoł... We jednym prawie roku mu sie trefiło wszystko, co nojgor- sze może sie trefić jednemu czowiekowi... Cołko familijo. (*kładzie skrzinka na łôzku i ôtwiyro; wyciôngo pora fotografek*) Trzimia to schowane... Nawet twôj tata tego niy widziół...

KRYSIEK:

Niy rozumia. Po jakimu tak?

ŌMA (*przekłodo pora fotografek*):

Ludzie sie tracili. Za to kedyś poradzili rzić zawrzić. Im myni wiysz, tym bydziesz zdrowszy. Im myni rozprowiosz ô roztomaitych fizymatyntach, tym żyjesz dużyj i mosz lekszo gowa. Czy to wiysz fto słucho?

KRYSIEK:

Ale to już chyba niy terazki? Te czasy sie skōńczyły...

ŌMA:

Jo tam dalij niy wiym, czy komuś coś idzie pedzieć. Robota poradzi sie stracić, abo dzieci do szkoły niy weznōm. Choćby tukej wele nos, dwie chałpy dali, miyszko tyn milicjant, co niy tak downo proł ludzi na grubie we Katowicach... Abo synka ôd Szafarczyczki zawarli latoś, choć porzōndny bōł. Niy pił i do kōscioła kōzdo niydziała chodził. (*ciszj*) A i twōj ôjciec jest w tym... ŌRMO?

KRYSIEK:

Ōma. Dej pokōj. Wziyni ônego tam zapisali, bo bōł we partii, a tamstōnd wszystkich zapisywali jak leci. Niy pytali, czy chce. I do partie gynał tak samo.

ŌMA (*wzburzono*):

Terazki to już fanzolisz, wiysz? Kejby niy chcioł, to by sie niy doł nikaj zapisać!

KRYSIEK (*wpado jij w godka*):

Ja! I mieszkaliby my tu dali na kupie w tyj jednyj izbie. Miyszkanie we blokach dowali yno partyjnym...

ŌMA:

Ja! I gorolōm z ôhapu. Co tu przijyżdżali z jednōm skrzinkōm po margarinie zamiast kōferka.

Ōma wyciōngo ze skrzinki nastympne fotografki i dugo sie na nie dziwo.

ŌMA:

To je ta fotografka, keryj żeś tak szukoł. (*wyciōngo rynka s fotografkōm ku Kryśkowi*) Mosz prawie... Tam sōm wszystkie Kiecki. Ōpa, ujek Tomek, ujek Francek. I ciotki: Marta i Gustla. Jak stary Kiecka miōł gyburstag, to przijechoł ôd Rybnika na byzuch ze cołkōm swojōm familijom ônkel Erich. Ōn miōł taki mały knips-
aparat i porobił tedy pora bildōw... To bōło chyba we sztyrdziestym szwortym, tak na podzim. Tedy my sie ostatni roz śnim widzieli... (*przerywo, patrzy przed sia*)

KRYSIEK:

Z Erichym? Co sie śnim stało?

ŌMA:

Ja. Śnim. Uciykli jak ôni sam wleźli. Nojprzōd do Racibōrza, potym kajś dalij, a na koniec trefili do Drezna, bo tam miyszkoł ftoś ôd jego baby. I ôd tego czasu my już nic ô nich niy slyszeli... (*skazuje palcym na persōna na fotografce*) Tam ôd lewyj stoi bajtel ôd Ericha. Miōł ôsiym lot... jak nasz Milek...

KRYSIEK:

Milek?

Ōma doś dugo nic niy godo. We radiu Kaczkowski zapowiada „The Carpet Crawles” Genesis.

ÖMA:

Emil... Nojmłodszy ôd Kieckōw (*siado na kraju łōzka*) Niyskoro go mieli... Wydarził im sie we trzidziestym szōstym, jak już jego braty mieli po noście rokōw. Ōn ôd bajtla bōł jakiś taki niyrchtig. Słabowoł ôkropnie i sie zdało, co niy dożyje do piōntego roku. Mama Gela ze starkōm Barborōm co roku lotała na pōnc, to do Piekor, to na Anaberg. Nawet roz tam do tyj Kalwaryje pod Krakōw zajechała. No i jakoś sie borok spragdoł i zaczōn chodzić i godać. Niyskoro bo niyskoro i ciynżko mu to przichodziło, ale lepij tak, niź kejby miol blank zalyngnōńc. Ale jak sie zaczōna ta pierōńsko chaja, to te krympfy, co je miol za bajtla, zaś mu sie wrōciły. Po poru dniach tu u nos na Ślōnsku bōło już po wojnie. Ale Milek bōł durch wylynkany i już niy wydobrzōł. Kiecki go prawie wcale ze chałpy niy wypuszczali, nawet na plac, coby mu sie co niy przitrefiło, jak kole ônego żodnego niy bydzie.

KRYSIEK:

Jakoś żodyn mi nigdy nic ô nim niy spomniol.

ÖMA:

A fto niby miol ci ô nim co godać? Jo tam wolałach nic niy spominać, a mama była malutko i może go niy pamiyntać... Na tyj fotografce stoi wele ciotki Marty...

KRYSIEK (*patrzy pozornie*):

Rychtig. Wela tu miol? Dziewiyńc?

ÖMA:

Ōn bōł z sześć trzidziestego. To już miol tukej dziewiyńc. Ja...

KRYSIEK:

Jakiś niy wyrośniynty bōł jak na swoje lata. (*dowo fotografka ômie*) Co sie śnim potym stało?

ÖMA (*zamyślono*):

Ōn niy poradził za wela godać po polsku. Po naszymu eli po niymiecku szwargotał. Kej nastała Polska i skludzili sie tu roztomaite ludzie ze Polski, to ôni niy poradzili ônego rozumieć i brali go za Nymca. Niy roz skiż tego zebroł szmary na placu. (*zwyrto gowōm*) Tak do końca żodyn niy wiy, jak to tam rychtig bōło, nale jakoś tak na jor we sztyrdziestym szōstym bawił sie przy drodze do wsi. I wtedy sztuchło go te auto. Ludzie potym godali, co jechoł tym autym jakiś wysoki wojok eli milicjant. Nale tego żodyn niy widziol, żodyn sie tyż niy prziznoł, a szofera nie znodli. A Milek leżoł boroczek we rancie i ponoś jeszcze bez chwila dychoł. Ale umar zanim go prziniyśli do dōm. Staro Kieckowo dostała zarozki po tym na gowa, tym bardzij co tedy tyż już miała starani ze cerami, Francek jeszcze niy prziszol nazod ôd wojowanio, a ôpy i ujka Tomka wziyni tam...

KRYSIEK:

Kaj?

ÖMA:

Och synek... Coż tyż dzisiej zebrało ci sie na te wspōminanie...

ÖMA (*doś dugo sznupie w katōngu, a na kōniec wyciōngo inkszo fotografka*):

To je ujek Tomek we sztyrdziestym szōstym... Jak go już wypuścili...

KRYSIEK (*patrzy na bild*):

To je tyn, ô kierym żeś mi godała, co tak go sztyjc ta gowa bolała? I jodoł jedyn listek tabletek ze krzyżykiym na dziyń?

OMA:

Ja. Tedy wozył ze sto fõntõw i wyglõndoł jak śmiertka. I już sie niy spragdoł. Wszyskie zymby mu wypadły i wosy. Kulawy bõł już potym na ôbie nogi i szpacycrowoł ô berłach. Pożył jeszcze jakies dziesiynć lot i sie stracił...

KRYSIEK:

Godoł coś? Kaj bõł bez tyn rok?

OMA:

Ô tym sie u nos niy rozprawiało. Wela takich bõło, co już haństond niy trefiło nazod do dõm. A ci, co prziszli, przewoźnie nic niy chcieli godać. Tomek przetrwoł jakoś chaja i zarozki po tak go schacharzyli ci, co sam niby prziszli dać nõm pokõj...

KRYSIEK:

To co robił tyn Tomek, co go niy trefił pryndzyj do Wermachtu?

OMA:

Niy trefił do wojska, bo mu jeszcze za staryj Polski szłapa przitrzasło i lazowõł kulawy. Wtynczos robił u fesztra w lesie i potym za Nymca tyż... A czamu go w tym moju haresztowali, żodyn niy wiy. Ponoś komuś hań nosił jodło do lasa. (*zamyślono podlazuje i patrzy na fotografka, kero leży na wiyrchu*) Dziwej sie. Na tyj fotografce to je tyn ze krykõm. A kole õnego Francek. W tyn dziyń sebyłk wafynrok, nale na drugi dziyń już jechoł cugiyim kajś ku Francyji... Dziynka Bogu dugo niy powojowoł, bo chned trefił do amerykańskiego lagru. Puścili go do dõm, ale õnymu sie tu niy uwijało. I cołki szczyńści, bo by trefił tam kaj Tomek i õpa...

KRYSIEK:

Do Rusa?

Õma õdkłado fotografki i podlazuje do õkna. Dugo patrzy na niebo.

OMA:

Õpa za wiela tyż mi niy chcioł godać. Jak go prziwiyżli, we szłapach mioł takie czorne dziury. Ód mrozu. Ódbiyrało mu to dugo. Potym wydobrzyło, nale sztyjc źle mu sie chodziło. Stõmpoł choby mioł holzbainy.

KRYSIEK:

Tak go ze drõgi wziyni?

OMA (*durch wpatrzono we niebo*):

We styczni, kej Nymce sie stõnd brali, twõj õpa robił na grubie. Ôn ód zawsze tam robił. Nymcom brakowało fachmanõw do fedrowanio. To go niy wziyni do wojska, bo zdalny bõł, coby ciognõńc robota. Nale zarozki po Nowym Roku wziõni go do Folksszturmu. Mioł chronić ta swoja gruba, kej już õni sam wlezõm. Chodził tam na jakies prõby, ale nic mi ô nich nie godoł... Ôn w ogõle mało co rozpowioł. Zowdy prawił, co nojprzõd robota, a przy robocie mo być mało godki. Ale potym to wszysko sie tu tak gibko przekopyrtło, co niy zdõnył nawet handgranata jednego ciepnõńc i już my sam mieli dalszo õstuda...

KRYSIEK:

Wywiyźli ich?

*Ōma podlazuje do łōzka. Biere i dugo przekłōdo fotografki.
Na kōniec wyciōngo jedna i pokazuje Kryškowi.*

ŌMA:

Niy od razu... Wejrzi. Jake ône sōm gryfne. Jako sie tu chichrajōm. Jak im sie wosy miyniōm. To bōło jeszcze knipsniynte przed wojnōm. We sztyrdziestym piōntym ôbie bōły jeszcze frelkami, choć Marta bōła na wydaniu i po Godach miało być wesele. A Gustli pizło juź wtynczos dwadziścia trzi lata. To idzie pe-dzieć, co to bōła juź staro frela. Nale po tym, co sie ônyj niyskorzij przitrefiło... (*milknje, szukajęc słów*) Po tym wszystkim we gowie wszystko sie ônyj pozwy-rtało. Zmarła boroka we... piyndziesiōntym ôsmym? Dziewiōntym?

KRYSIEK:

Muter mi godali, co ôna miała synemozja? Synestezja?

ŌMA:

Ja. (*macha rękę*) Tak to jakoś doktōry mianowali. Po tym co te wojoki spochali śniōm, zrobiła sie niyrzchtig. Jo jōm od tego czasu widziła może z dziesiynć razy. Niy jeździli my za wiewa do tego Rybnika, bo trza sie było dycki Kieckami ôpiekować. Ale jak my tam juź bōli, to ôna nic sie niy ôdzywała. Dziwała sie yno przed sia, ale tak jakoś, kejby nos niy widziła. Ôna bodej nos wtynczos niy poznowała. (*wyciōngo ze skrzinki jeszcze jedna fotografka*) Marta miała wyincyj szczyńscio, bo juź tedy miała tego swojgo Paula ze Zobrze. Ōn bōł maszyniokiem na banie i bez cołko wojna rajzowoł bele kaj cugami. Jak sie Nymce zaczęli cofać, Marta zabrała sie śnimi jakimś ôstatnim cugiym do Wrocławio, a potym dalij na zachōd. Zanim to sie wszystko skōńczyło, znodła sie u jego ciotki w Bottrop. Tam ôstali i juź sie sam niy wrōcili, tym bardzij co ôd ônego familijo ze Zobrze tyż tam poszła. Paulek nōm napisoł, co kej urodziła Pyjtra, to dostała tego gizda i pōł roku po tym umarła.

KRYSIEK:

Rak?

Ōma zaś podlazuje do ôkna i ôtwiyro. Słyszec auta, kere jadōm drogōm.

ŌMA (*kiwie gowōm*):

Ponoś yno jōm ôtwarli i ôd razu zaszyli nazod. Poszła do ziyimi miesiōnc po tym. A Paulek nojprzōd pisoł piynć razy do roku, potym ino kartka jako na śwynta posłoł, aże na koniec blank przestoł szrajbować, jakeś dwajscia lot tymu nazod. Bodej na grobie my u nij niy byli.

KRYSIEK:

A ôpa? Jak to śnim bōło?

ŌMA:

Przisli po niego do dōm. Dwōch milicjantōw i taki jedyn, co bōł przy powstaniu, a po wojnie zrobili pierōna kimś hań na gminie. Ftoś ôpy podoł, bo przeciyni jakies drōty ôd telefonōw na grubie. Niy chcieli suchać żodnego tuplikowania, yno zebrali ich i jeszcze tego samego dnia zawiyźli do haresztu do Katowic. Ôpy i jeszcze dwōch ze tyj gruby. Tak to było w hańtym czasie. Stykło, co jedyn

drugimu coś bulknył i zaro brali chopa. (*dugo poprawio gardina*) Potym trefił do lagra do Knōrowa. Prōbowali my ônego hań znoleż, nale we chałpie dzioły sie te ôkropiczne rzeczy i boły my sie same po świecie rajzować. Wszyndzie bōło jeszcze fōl ônych... (*milczy*) Ôstatni roz widziałach ônego na banie we Katowicach, jak już siedzieli we cugu... We takich wagōnach do przewożynio go-wiedzi. Niyskorzij sie stracił prawie na dwa roki... Dobrze, co wtynczos Francek przijechoł i mieli my chopa w dōma, bo stary Kiecka bōł już do niczego. Durś ino patrzył kieliszka.

Ôma podlazuje ku łōżku i patrzy na pochylonego nad fotografkami wnuka. Bez chwilka nic niy godo, yno patrzy na fotografka, kero leży na sztebdece. W radiu „Somebody” Depeche Mode.

ÔMA:

Dziwej sie... Wszyscy tu sōm wygalantowani. Chopy stojōm sztram, wszyscy w zocy. Dziouchy sōm ôśmiōne. Bajtle rozradowane. Ôjce lekuško stropiōne, kej-by czuli, co we lufcie już wisi jakoś staroś. Jakeś stropiyni. (*wachluje fotografkōm zamyślono*) Już wiy... to niy bōł gyburstag Kiecki, yno ôdpust. Matki Boskij Rōżańcowyj... Ôktober... Ôstatnio ciepło niydziela. Ôstatni roz wszyscy pospołu. Potym to dyszcze prziszły i zima, a niyskorzij śniyg i mrōz... I ludzie sie na tym mrozie fest potracili... Jedyn po drugim. Wszyskie te, ze kerymi żeś jodoł, tyroł za bajtla po placu, rōmplowoł i ze kerymi żeś sie wadził. I ze kerymi żeś rzykoł... Francek mioł prowda... Wtynczos... familijo cołko sie potraciła...

Ôma przigarbiono cijnżko stōmpie.

Wylazuje.

Zawiyro za sobōm cichuško dźwiryra.

ŚWINIOBICI

Grzegorz Sztoler

NA BINA WYLEZOM:

Starzik, wnuczek Zeflik, pota Matka (na miano mo Marika), Łojciec (Richat mu kamraty godały), ujek Stanik, ujek Jorg, jeszcze cera Hilda, no i na som koniec Farorz. Bydzie tyż babuć, ale łon ino przeleci bez bina – bo go bydom gonić. Dyć je świniobici, pra. Włazi Starzik i siado na ryczka. Wyciongo faja, klupie niom, nabijo i zaczyno kurzyć... Sztigluje sie kapka na ryczce, dziwo sie, fto przyszeł, bo dźwiryzi do tejatra som do korzon łotwarte (i wito sie s tymi, kierych zno z biny), i zaczyno prawić.

STARZIK:

Dobrzy ludzie, wycie kie je nojwiynkszy fajer we familii? I w cołki wsi? No jak je zbijani. Łu Chroboków sie to rychtuje. Kôrmik łodfutrowany. Idzie ku świyn-tom – trza zbijać. Już sie somsiady zwiedziały i ino wachujom, kiejsikuj sie zacznie co rychtować. No ale to nima tak poleku wieprzka łubić. No toć sztro-mem łotompać to koždy masorz srobi. No łobuchem łot sikiery trefić w ta srogo łep – to trza poradzić. Poniykierymu świnią pitła z placu, jak sie borok za fest majtnoł i nie klupnoł ji, kaj trza... I łąził potem taki borok po cołki wsi i wo-łoł: „Ciaplytko, kaś poszła, pieronizno. Przydź ino, nic ci nie zrobia!”. Genał jom znojdzie... Łogoniaste nie som take ciulate, jako to sie wom tukyj zdo. To som rychtyk mondre zwiryzoki.

I

Izba. Starzik i wnuk, kiery siedzi mu na klinie. Wnuczek cosikej chlipie. Wnuczek rycy, bo bydzie świniobici. Bo tak pedziała Matka do Łojca. Mo przisz ujek Stanik, kiery nie je masorz, yno mulorz, ale babucia umiy klupnonć i srobić z śniego wuszty, preswuszty, leberwuszty, krupnioki i żymloki abo galert – pieronie! Bydzie rychtyk fajer!

WNUCZEK:

Opa, a czy babuć mo dusza?

STARZIK:

No toć, synku. A czymu pytosz?

WNUCZEK:

Bo ujek mo zbijać babucia!

STARZIK:

Padosz?

WNUCZEK:

Ja, opa! Słyszolech, że ujek kce mu srobić krzywda. Kce go ubić, jak na tej wojnie, co to cołki czos ło ni prawicie.

STARZIK:

Dyć to mo być zbijani, a nij zabijani, giździe jedyn!

WNUCZEK:

Nooo... (*w bek*) noooo... ujek tak padali, że tego boncloka, co w chlywie wypasiony loto, źdzybko poźgajom... A dyć babuć mo duszaaaa, łon borok też czuje, że go zeźgaaajoooommm...

STARZIK:

Jeronie, cicho, mały gupieloku... No dyć to prowda, gadzina mo dusza, pra...

WNUCZEK:

Toż czymu ujek musi ubić babuciaaaa...? Dyć to je mój przaaaciel.

STARZIK:

A wuszt ci smakuje pierucha, co? Padej ino, wrzeszczku... Rod byś, pieronku, go zmaszkiecieł, niy?

WNUCZEK:

Opa, mocie recht, jo rod wcinom wuszt, ale niy świnią... Nie poradziłbych... Wyicie, że jo źodnej świni niy ubliżył... Dyć tyn łojców babuć je mój przaciel...

STARZIK:

A wuszt, giździe farnoński, to szczego je? Powiydz mi to, mazoku jedyn!

WNUCZEK:

Jako to wy tego nie wyicie? Z Biedronki dziadku...

STARZIK:

Tyś je rychtyk frechowny synek, Zeflik. Tu mi tujy tak nie drzystej, bo ci powiy jak matka.

ZEFLIK:

Wiyom opa, wiyom: chyć sie za rzić, tam mosz miyso...

II

Starzik juzaś wyłoz na bina, zicnoł se na ryczka. Wyciongo fajfka, klupie niom, nabijo i zaś zaczyno kopcić...

STARZIK:

Dobrzy ludzie, czy wy wyicie, jaki maszkety idzie ze świni zrychtować? Pado cie wuszt, pra... No ale kaj mocie leberwuszt, preswuszt, krupnioki i żymloki? Abo galert! A wyicie, jak sie to rychtowało? Fto to teroski poradzi? Ludzie to by radzi co zmaszkiecieci, wcinali, ale wyłonaczyć taki rarytasy małokiery poradzi, niy? Taki gupi szczewo na leberwuszt abo żymlok. Dyć to trza było do porzondku łumyc. Neprzód łobrócić na lewo strona – toż sie łoło woda. Potem trza było łośzkyrtać, żeby gównem pota nie capiło. A na koniec wrazić do posolonej wody. Czyściło sie tak szczewo, pacharzyna... I żołondek tysz na preswuszt, kiery potem masorz warzył. Ło to zbijani trwało... łod rana. I dopiyro popołedniu szło robić krupnioki, żymloki, preswuszt, leberwuszt... A zresztom, co jo wom to po daremniczy byda prawil... Ida se powieczerać... Baba wyciognie mi konsek krupnioka łod somsiada. A kie ło Chroboka bydom fertig stym zbijanim, możne i Zeflika przyślom i do mie z jakim preswusztem, pra...

Chływik. Ujek Stanik kce klupnonć babucia fardońskim młotkem. Mo babucia miyndzy nogami. Babuć ucieko, wyrwo sie. Ujek sie przewraco, a zamiast maznać babucia w łep, maznoł sie w noga.

UJEK STANIK:

Jeronie, Richat, jako to trzymiesz tego pierona, za łogon?

ŁOJCIEC:

Wyklejzoł mi sie tyn łobyrtok łod babucia.

UJEK STANIK:

Ała, alech sie ciulnoł...

MATKA:

Kaj żeś sie, boroku, trefił...

UJEK STANIK:

A w golyń, pierucha, mie charcnoł cap łoszklivy... Ała.... Teraz byda sie ruszoł jak jaki kulas... Jak jo tego wieprzka dognom...

STARZIK:

Weźcie chyćcie tego babucia, klacnijcie go bez łep, chopy. Larmo robi na pół placu, kieby go ze skóry łobdziyrali. Patrzyć ino, jako skuli tego Zeflik tukyj z be-
byem przyleci...

ŁOJCIEC:

Jezderkusie, jak chyćcie tego pierona? Ufalloł sie, pieruch, ftyj ciaplycie na placu, klejzo mi w rynkach – ani go za ryja, ani za łogon nie capna...

MATKA:

Jesus Mario, łon cheba do tego waszpeka stom parfinom wloz i sie wyciapłoł w ni...

STARZIK:

I tymu Stanikowi wyklejzoł sie spod rzici...

ŁOJCIEC:

A możne dać by mu co wyduldać, jaki keluszek...

MATKA:

Komu? Stanikowi? Dyc sie zaś bydzie kolyboł i zaś kôrmika nie trefi. Cożeś zapo-
mnioł, łońskiego roku jakżeście popili na to zbijani, toście za tym wieprzkiem durch
po placu lotali, cołki dziyń. A we wieczor, jak wieprzek poszeł nynać, daliście go
chcieli zarznąć. Musiałach po Jorga zonś, kieby tu przyszeł i srobił świniobici...

ŁOJCIEC:

Toć Jorg! I zaś wzion kupa piniyndzy! Co to takigo wieprzka ubić, babo! Był
zech w wojsku, to wiy. Ubić to idzie każdego poleku. Ino se trza dać pozor...

MATKA:

Po leku, ale z maszyngiwery mój boroku... Piznonć takigo kôrmika to trza rych-
tyk poradzić...

STARZIK:

Sztukom diobła tłucom, pra.

ŁOJCIEC:

Ale jo kcioł poloć wieprzkowi, a niy Stanikowi. Babuć by nie lotoł jak narwany
po placu, ino by sie leko kolyboł...

UJEK STANIK:

Polyjcie. Mocie recht, bo mie w tej nodze durś ino łomie... Ałła...

STARZIK:

A mosz tu keluszka, boroku... Wieprzkowi nie polyjemy...

UJEK STANIK (*zeszterowany*):

A co wy mie tu łod świiń wyzywocie?

MATKA:

Poczkej synek, nie szteruj sie. Mój chłop kcioł babuciowi poloć...

ŁOJCIEC:

Kieby nie był rychtyk drapki...

UJEK STANIK:

Teroski dom chachorowi rada.

I leci do chlywika. Słyhać ino kwiczyni... Przylatuje Zeflik.

ZEFLIK:

Opa, Opa! Fto babuciowi kce co nawyrzondzać?

STARZIK:

Synku, jo nie wiym... Cheba ujek Stanik...

ZEFLIK:

Jo mu pokoża, tymu łochlapusowi jednemu. Nie wolno prać zwierząt! Tak w telewizorze padajom... I nasz farorz tysz tak skozali łojcu w suchatelnicy...

STARZIK:

Poczkej smyku, poczkej ino...

Słyhać trzaski-praski. Dźwiryzi chlywika sie otwiyrajom do korzon. Wylatuje ujek Stanik, a za nim wnerwiony babuć. Babuć goni ujka. Ujek ucieko i rycy.

UJEK STANIK:

Jezusie Nazaryjski, litości!!! Ratunku! Hilfe! Dyc ta bestyja mie zeżere!

Babuć doganio ujka...

ZEFLIK:

Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie.

Wychodzi Matka, chyto sie za gowa.

MATKA:

Zaś to samo. Ida po Jorga. (*wzdycho*)

Ujek Stanik sie tonko w marasie, babuć go dogonio i wonio [dziynka Bogu onkel nie wonio babuciowi kie trufle]. Ujek borok aże nie dycho. Babuć ryje kole ujka w ciaplycie, chlapie go i ojscywo...

UJEK STANIK (*ryczy*):

Fuuuuuj... Byda fest capił...

ŁOJCIEC do ZEFLIKA:

Coś ty, pierniku, nawyrobioł...

ZEFLIK:

Wyzwoliłech babucia. Tak godali w telewizorze, te Grinpisy... Że trza bronić zwierząt... Tożech łotwar chlywik i pociszech ujka ze zadku. A ujek citoł na babuciu z chlywika jak na korridzie... A potem chnet wstoł i uciekoł kaj pieprz rośnie. A młotek łostoł w chlywiku...

STARZIK:

Synku, babuć nie pońdzie do nieba. Ale ty naisto...

MATKA:

Ino teroski Zeflik bydziesz żar krupy, a niy miyso. A jak bydziesz cosik wynokwioł, to ci to przypomna, i byda padać:
„Chyć sie za rzić, tam mosz miyso”!

III

Starzik gibie sie na ryczce i ćmi kie damfula. Ćmi i ćmi. Yntlich zaczon cosik godać...

STARZIK:

Dobrzy ludzie, a wiycie co nojbarżi smakuje mi ze świni? No ryjek. Tako świńsko lep sie zaros gotowało przy tem zbijaniu, a masorz i ci, kierzy przy niymu robili, te pomagery, to se durch radzi łodkrowali jaki lepsze konski. I wcinali wiela wlezie, pieronie... No cosik tam łostało... Na preswuszt brali łuszy, nerki, wontroba, świński jynzyk. I to, co łostało z tego ryjka. No i jeszcze łogony. Łogony i golonka to mie ruszo. I do tego rychtyk fajnisty browar...

Żaş chlywik, ale za gardinom. Ino słyszeć, kie babuć fest kwiczy. Dre sie wniebogłosy. Ino to słyszeć. Iże se chopy godajom przy tej robocie.

JORG (*tyn, kiery mo ubić tego dupnego kôrmika*):

Staasiek, pieronie, trzymej go, bo zaś łucyknie...

(kwiiiiikk)

UJEK STANIK:

Ała, Jorg, czymu żeś mie ciulnoł tym łobuchem, tegoś babucia mioł trefić...

JORG:

Poczkej, synek, poczkej. A zaprzyjcie sie, pieronie, teros go mazna, bo pieron je durś żywotny. Macho tymi szłapami, kieby sie szaleju nażar. Toż pozor, chopy, byda proł fta pierońsko lep...

ŁOJCIEC:

Jorg, łon musioł zeżryć te medycyny łod dziadka, zdo mi sie...

JORG:

Chopie, tyn babuć był tak diosecko napolony, kieby maciora łoboczył, a niy mie...

ŁOJCIEC:

Tosz padosz, lecioł na cia...

JORG:

Rychtyk boł rozgzukany, kieby viagrom sie nadrzystoł, a niy tabulami na hercklekot!

UJEK STANIK:

Jo ino moga pedzieć, że zech słyszoł, jako starzik padali do sia, kie szli do hażła, że mu sie potraciły... Te medycyny na hercklekot...

MATKA:

Starzik majom pierońsko skleroza, sami nie wiedzom, co, komu i kaj prawiom...

JORG:
A możne tyn bajtel je podsadził i babuciowi ciepnoł do koryta...

UJEK STANIK:
Zeflik? Niyyy, łon je na to za ciulkowaty...

ŁOJCIEC:
I dobrze, bo kieby co spochoł, to krykom w rzić wyrżna.

MATKA:
Zeflik! Jezderkusie, kaj łon je? Nie wiycie?

JORG:
Kaś szeł jakech tu prziloz...

MATKA:
Jezderkusie, kaj tyn chachor zaś poloz? Opaaaa, Opaaa, nie wiycie kaj je Zeflik?
Wychodzi. (zaś kwiikk)

STANIK:
Jorg, pieronie, nie poradzymy. Tyn babuć to s trzy cetnory bydzie leko wozył.
Na cołki chlywik sie ciongnie. Stoisz przy łogonie, a ryja nie widzisz, taki pieron srogi...

ŁOJCIEC:
Jo sie boja, że go nie wciognymy tym rug zugem za szłapy do góry... Za ciynszki je pieron...

JORG:
Nie fulej, chopie, nie fulej. Nie ucz ksiyndza rzykać, jak sie zbijo... I drzystej mi tu zawczasu. Neprzód musimy kôrmika klepnonć.

ŁOJCIEC:
Jeronie, zaś mie nadepnoł tom ratkom, pieruch jedyn... Chopy, pódźcie na jednego... Stracymy sie, babuć sie drzymnie, bo genau połednie, a my wlezymy akuratnie po cichu i go gibko maznymy jak trza, pra?

STANIK:
Mosz synek recht...

JORG:
Mie tota jedno, beleby ino twoja baba nie buczała, Richat... Kie chopy kcecie, to se chlapnymy, bo sztresu przy tym je... Ftoby kcioł słuhać, kie taki babuć kwiczy. Tego nie idzie strzimać... To je farnoński sztres...

ŁOJCIEC:
Tosz pyrisk, ludkowie! Pyrisk!

IV

Starzik juzaś zicnoł na ryczce i krzipie. Klupie fajfkom i wyciongo z kapsy presówka, coby se fajfka zaś nabić. I łosprowio.

STARZIK:
Dobrzy ludzie, wy nie wiycie, jako tyn Zeflik przoł tymu babuciowi... Kiebyście śwyntego Francka łoboczyli... Przoł tymu, bo sie stem babuciem rychtyk

dobrze znali. Dyc to kiejsikuj łon z matkom pojechał na świński targ do Pszczy-
ny kupić małego wieprzka. Długo łogłondali, przebiyrali. Dopiyro jak sie Ze-
flikowi spodobał taki jedyn, najgryfnijwszy, z różowym ryjkiem, to go wziyni.
I z tym prosiokem, kiery był we worku ze słomom, przyjechali autobusem do
dom. Wiela to tam kwicznio było ftem autobusie. Te ludziska, co jechały, to aż
uciecha miały. Bo mały prosiok kwiczoł, a Zeflik mu odpowiadał. I tak se do sia
godali. Zeflik „kwik, kwiiiiik”, prosiok „kwiiiiik, kwiiik”. Toż pota Zeflik rod
go futrowoł i czynstowoł nawet bombonami, tak że matka nie widziała. Bo Ze-
flik fest przoł tymu prosiokowi. Co jo godom – wieprzkowi. Bo łon gibko rósł.
Gibcyj niż Zeflik. A Zeflik niyroz na nim jeździł, jak na kucyku. Nawet go tre-
sował, próbowoł, no ale wieprzek nie szczekoł jak pies, chociaż poradził sie ła-
sić jak kot – ale ino do Zeflika. Łojca sie boł, genau jako Zeflik łoba ze strachu
rzyciami trzynśli. Bo łojciec jak sie wkurzył, to i szpetnie sklonć poradził, a i ze-
prac. Toż kie Zeflik sie zwiedzioł, że chcom jego przaciela ubić, robił wszystko,
żeby tymu zaradzić. A co jeszcze nawynokwioł – łobejrzycie. Teroski wom ino
tela powiyw, że przaciel Zeflika mioł miano Lecykandy – a to skuli tego, że kiejs
matce łuciyk z placu do somsiada, a łojciec – jako go baba pytała – łodpedzioł
ji, że tyn pieron zaś poloz lecykandy. Zeflik to łusłyszoił i tak babucia ochrzcił.
I tak już ostało. I to miano sie babuciowi podobało, bo jak Zeflik do niego pra-
wił, to tyn machoł krytyn łogonem i gryfnie kwiczoł, aże z uciechy podskaki-
woł. Takse Zeflik z babuciem kamratowali.

Matka kaś leci, dopado Starzika, kiery w brylach cosik szkłodzi w bifyju.

MATKA:

Opa nie wydzom, kaj je Zeflik?

STARZIK:

Marika, Jezderkusie, dobrze, zech cie dopot... Nie wysz dziołcha, kaj som te
moji pieroński medycyny? Bo hercklekot mie zaś biere, pieronie...

MATKA:

Opa, we szranku były. Żoden jich nie broł... Opa widzieli Zeflika? Kaj łon sie
zaś smyko, tyn najduch jedyn!

STARZIK:

Zeeeflik? A, Zeflik... Pra, widziołech go, jak szeł... Jezderkusie, kaj łon szeł...
Poczkej, dziołcha, musza se spomnieć... Aaaa... doczkej – cożech se to mioł
spomnieć? Medycyny, kaj łone som? Niy medycyny? A Zeflik! Ja, łon je rych-
tyk fajnisty synek, łon mi łońskiego razu znod te medycyny, co to mi sie kiejsi-
kej potraciły... I kaj, pieronie, łone som? Fto mi je schowoł? Ja, Zeflik... Ka je
Zeflik? Dyc zech ci padoł, że poszeł zdo mi sie do chlywa, bo tymu babuciowi,
kierymu tak przaje, kcom cosik nawyrzondzać... Niby te łujki i jego łojciec...
Tak mie to prawil... A mie sie medycyny straciły! Katać som, nie wysz Mari-
ka?... Te medycyny...

MATKA:

Wiyw, te łod hercklekotu... Znojdom sie, porzykejcie do Antonika. A teroski pie-
rzinem prowcie, kaj je Zeflik, bo w chlywie go nima ani w pażoku! Byłach tam...

STARZIK:

Mie sie niy ino te łony łod tego hercklektu potraciły, ino tysz te łony łod spanio. Wiysz, Marika? I cheba zdo mi sie, wczoraj bez połednie wzionech se na spani, beztoż mie tak fest zmorzyło. Nynołych jak bajtel...

MATKA:

Zeflik kaś polecioł, a jo mom robota przy tym zbijaniu. Chopy praje zamorzyły tego boroka...

STARZIK:

Katać poradzili? Pieronie, podziwej sie... Jo se myśłoł, że to ze dwa tydnie zetrwo. A łoni trocha se duldli i chnet babucia zamorzyli.

MATKA:

Ja, to było wczora, a wos drap wziyna ta drzymota, opa...

STARZIK:

Aaaa, to drugi dziyń idzie to zbijani, pra?

MATKA:

Babuć społ, łoni tysz, bo se chlapli po cichuśku z plaskówki. Ino neprzód to sie s nim fest szarpali, bo łon kieby w niego dioboł wloz, taki pieron siły dostoł... Kieby czuł, że cosik sie świyni...

STARZIK:

Ale to trza gibko, myk do chlywika, kwilka postoć i klup wieprzka w łep. To je ino kwila. A niy robić se korrida w chlywiku. Widzioł fto, żeby na wieprzku jeździć jak na byku? Dyć to ino sztres je do niego, toż pierzyna, jaki bydzie tyn preswusz, te wuszty, szynki s tego babučka, kie łoni go tak szpetnie ściora-jom, glancoki jedne!

MATKA:

Toż mocie recht, opa... Łoni mieli fest w czubie wczora. Leca tam, bo s wieprzka krew spuszcza-jom. Zaroz go bydom łonego wieszac i szkyrtać. Elibyście spikli Zeflika, przywachujcie go!

STARZIK:

Pieronie, kaj som moji medycyny... Jo dom se na niego pozor, jak przidzie!

V

*Starzik zicnoł se na ryczka i dumo. Ludzie czekajom aż cosikej powiy
– a łon nic. Dumo. Yntlich stanoł, szczepoł popioł z galot i pado:*

STARZIK:

Aaa... nic wom już nie powia! Ida na to zbijani. Niy ino powoniać! Co byda po próżnicy tukyj siedzioł i wom drzystoł... Nic mi stego pieronie nie przybydzie...
*Pażok. Babuć wisi na hoku zwiozany. Krzonto sie przy
nim ujek Stanik, patroszy. Wchodzi Matka.*

MATKA (do cery):

A fyrtałaś krew, co jom spuszcza-li, by sie nie skwasila, Hilda? Bo inacy to krupnioki bydom do rzici wrazić.

UJEK STANIK:

Fyrlej, dziółcha, fyrlej, żeby sie żodne śpiki s tej świński krwi nie porobiły. Krew s tego wieprzka mo być jak woda, pamiyntej.

HILDA:

Miyszom, miyszom. Snadnie to nom idzie. Jak ino ujek tego babucia podcion tym dupnym gnypem, zarosmy podstawili waszpek, kieby sie nic tej krwi nie potraciło...

UJEK STANIK:

I stykło go ino fest klupnonć, a niy kiej przodzi my go gonili po chlywiku jako te gizdy faroński...

MATKA:

Ty tam patrz masorz patroszynio, a niy fanzolino... Kieby Jorg go nie klupnoł łobuchem, a ino roz, tobyście sie zaś s nim gonili...

UJEK STANIK:

Marika, tyn wieprzek to nie doś, że teli jak smok, to jeszcze boł taki, wiysz, szustliwy. Zdało sie, że sie pieron na nos ciepnie. Kieby to był pies, toby nos na pewno zeżar...

MATKA:

Wypite żeś mioł, to sie wom zdowało, że wieprzek kce vos zeżrić. Łon ino możne kcioł vos powonioć. Dyc jo żech go niyros futrowała, a łon mi przoł jak kot, łaśił sie do mie... Kwiloł pierzyn mały... No a jo go rychtyk rada futrowała...

ŁOJCIEC (*włoz z flaszkom*):

Futrowała, futrowała i przefutrowała. Pieron tak podrôs, że s chlywika nie umioł wyłyż. Musiołech dźwiczka poszyrzać, boby nie wyłoz sie pociyplac na placu. A wiadomo, że babuć trocha musi sie ruszać, jak to padajom, frajlaufen, miyso musi mieć ruch i luft...

MATKA:

Jo go przefutrowała? Dyc żeś sie ciepół, że mosz za małego babucia w chlywiku. Kozołes mi kole niego lotać, kie kole ciebie...

UJEK STANIK:

Ło pieronie, kciołbych być tym babuciem...

ŁOJCIEC (*polywo*):

To byś jusz tukyj, chopie, wisioł na tym hoku...

MATKA:

I żodnego pożytku by s ciebie nie było... Chuderlok żeś je, Stanik, żodnych żymloków, krupnioków, preswusztu nie szłoby s ciebie wyłonaczyć.

ŁOJCIEC:

Słyszoleś, rychtyk lichy babuć by s ciebie boł Stanik. Ha, ha (*śmnych*).

UJEK STANIK:

Dej ta cyjntla, a nie piernicz. Može i lichy, ale niy taki fetny. Wyście tego wieprzka przefutrowali... Teroski to widza... Za fest. Wyńdzie s niego za tela fetu...

MATKA:

To srobimy wyncyj szmalcu, nic sie zmarnuje. To niy żodno kokocina, a świni-
na, musi być i trocha tego, i tamtego. Ty tam żgej, a my se s tym poradzymy. A jak
łoboczysz, masorzu, tyn piykny werflajsz, to ci sie ślypia łośwyicom... Łobejrzysz!

ŁOJCIEC:

Niy bydź taki nabańturzony na nia, Stanik, baby se muszom potyrkotać, kie taki
pofyrlane szczyrkowki, pra – niy? Nie gorsz sie! Zdrowi, chopie!

MATKA:

Richat, ty mu jusz nie polywej, bo sie bydzie zaros kolyboł... Ty sie bier za te
krupnioki!

ŁOJCIEC:

Stanik, jeszcze po jednym, bo bydzie fajer przy tym świniobiciu!

VI

Włazi Farorz z Najśwyntszym Sakramyntem.

FARORZ:

Dej Ponbóczku pokój tej chałpie i wszystkim, kierzi tu som!
Matka żegno sie i pado na kolana.

MATKA:

Jezderkusie, farorzu... Pochwolony! A łumar fto?

FARORZ:

Piyknie vos witom... Ale tu piyyyknie woniooo... Toż kaj tyn, kiery leży pra-
je umarty.

ŁOJCIEC (*leko sie kolybie*):

Łu Marty Kowolowej chowali swata załońskiego tydnia, kapelonku...

MATKA:

Zawrzij sie dziób, lutrze lagramencki... Tu, farorzu, wszyscy dziynka Bogu
zdrowi... Cheba ze dziadek zaniymóg... Coś tam prawił ło hercklekocie... Hil-
da, szukej starzika.

Hilda wylatuje. Wchodzi Stanik z masarskim gnypem, cały czywiony.

STANIK:

Szczynś Boże kapelonku!

FARORZ:

Jezderkusie, czyś ty Stanik kogoś zabił? Przyznej sie, naszkrobołeś tam cosikej?

STANIK:

Farorzyczku, jo tam był hajok, ale za młodu. Teroski to mi roki i druk przeszły.
Wyżywom sie ino na wieprzkach.

FARORZ:

Aaaa... Wy tu świniobicie mocie...

ŁOJCIEC:

Radzi vos poroczymy... Weźcie se kapka werflajszu, fajniście wonio, pra...

FARORZ:

Rychtyk, rychtyk... Poczkejcie, ino łodstawia Przenajświynsze...
Łojciec biere Przenajświynsze łod Farorza i dowo Matce.

ŁOJCIEC:

Matka, weź to postow to ta na komodzie, kieby tego nasz bajtel nie zachachmyncił.
Matka wychodzi do izby.

STANIK:

Próbujcie, farorzu, to je fajnije. To je mój szpecyjał... Przepis łod moji mutry. Tamte krupnioki kończymy robić, zaroski tysz dostaniecie na fara cosikej do zmaszkieczynio...

FARORZ (*siedzi*):

Rychtyk, rychtyk, maszketne to mocie. Jeeronie...

ŁOJCIEC:

Żeby sie wom dobrze trowiło, farorzu, tu mocie kapka czegosikej na zdrowiczko (*nalywo Farorzowi keluszek*)!

FARORZ:

Bóg wom zapłoń! Bóg wom zapłoń! Dobrzy z wos ludzie. Teroski żodyn już tak osoby duchownej nie przyjmuje... Ludziska som strasznie wysrane... Wyście som rychyk krześcijański duszyczki. Bóg wom piyknje zapłoń!

STANIK:

Łooo, widza, że mocie rychtyk spust, farorzu... Toż dociepną żdzybko, hań tego fajnistego miysa ze świńskiego ryja... To boła bestyja, Jezderkusie...

ŁOJCIEC:

Pra... A wycie, farorzu, jakosikej my długo tego babucia zbijali! Pieron był taki żywotny, tak sie ruszoł, kieby dioboł w niego zstąpił...

FARORZ:

W imię Ojca i Syna, co wy to prawicie, chopy!

STANIK:

Wieprz był pieprznie srogi. To my kcieli pedzieć. I durch s nim robiymy. Łod rana.

I polywo Farorzowi, po czym zaś miyszno w garcu na piecu.

ŁOJCIEC:

A pieron miół ze trzy cetnory, tak go moja baba przefutrowała. Zdało sie, że go nie dźwignymy, jak my go zahoczyli na tyn łoczyk za zadni raciczki.

Przylatuje Matka.

MATKA:

Jezderkusie! Kaj je Hilda? Hiiilda!!!

HILDA (*wlatuje*):

Mamo, mamó, dziadek nie dycho!

MATKA:

Nie dycho? Jeronie! Fto to wykrakoł...

Farorz, leko sie kolybiąc, wstaje łod stoła, mo przekrzywiony biret.

FARORZ (*śpiywo*):

Chwolcie łonki umajone...

ŁOJCIEC:

Faarorzuuuu, to niy na ta intyncyja...

STANIK:

Zdo sie, że trza by coś kole gorzkich żalów zapedzieć...

FARORZ:

Tosz fto tu zemrzył... Bo mi pedzieli, że je leży jakosikej umarty.

MATKA:

Fto wom to pedziół, pieronie? I fto miół umrzyć? Dziadek...

HILDA:

Już nie dycho...

Wlatuje Zeflik.

MATKA:

Kaś pieronie poloz?

ŁOJCIEC:

Kaś poloz? Matka sie szteruje skuli ciebie, pieronie jasny!

FARORZ:

Dyć Zeflik, tyś mi padoł, że mom do wos lecieć, bo ftoś umiyro...

MATKA:

Zeflik, coś ty zaś nawynokwiół, rojbrze jedyn...

ZEFLIK:

Pierona kandego, dejcie mi coś pedzieć...

MATKA:

Słyszoełś łojciec? Twoja krew... Jeszcze mu ino gorzołki polyj, byda miała dwóch śmierdzirobotków w chałpie...

ŁOJCIEC:

Wyerkleruj nom tu, synku, coś tam napochoł! Ale wartko, bo mie zaros hercklekt i pieron weźnie!

ZEFLIK:

Jako naszego opy?

ŁOJCIEC:

Baaarżiiii... Poczujesz to na swoji rzici...

ZEFLIK:

Jeronie... Moja wina, że medycyny dziadkowi sie wysuły, jak zech mu harbaty nalywoł? Pozbiyrołech gibko. Ino nie wiedziołech, kiere do jaki przegródki nazod wrazić. Tymu opa długo społ...

MATKA:

A s tym umiyraniem coś farorzowi nabebłoł?

ZEFLIK:

Nastraszył mie łojciec...

ŁOJCIEC:

Cygon jeden...

MATKA:

Po kim to mo...

ZEFLIK:

...że babucia łobuchem siykiyry klupnom. I bydzie po nim. Toż poleciołech do farorza, że babuc umrzy. Ale neprzód dołech mu trocha medycynów łod dziadka. Ino łone sie pomiyszały i babuc nasamprzód dostał fest nerwów, a potem społ jak reks. Musioł te medycyny łod dziadkowego hercklekotu zeżrić, a potem jeszcze tabule na spani...

MATKA:

Ło ty giździe soroński...

ZEFLIK:

Toż opa jako babuc – nie łumar, ino drzymie... I durch śni ło zbijaniu... Dali zbijać nie bydymy, to je rychtyk koniec.

<i>Babuc</i>	– dobrze utuczona świnia, rodzaju męskiego, w sam raz na świniobicie
<i>Bina</i>	– scena
<i>Chnet</i>	– już
<i>Cyjntla</i>	– setka gorzołki
<i>Damfula</i>	– maszyna parowa
<i>Klacync</i>	– klupnąć, klepnąć
<i>Kôrmik</i>	– wieprz
<i>Lagramencki</i>	– bezecny
<i>Nabańturzony</i>	– obrażony
<i>Naisto</i>	– na pewno
<i>Podwiela</i>	– dopóki
<i>Plaskówka</i>	– piersiówka
<i>Rozgukany</i>	– rozochocony
<i>Snadnie</i>	– prosto, łatwo
<i>Ściorany</i>	– sponiewierany
<i>Szust</i>	– narwaniec, szustliwy – narwany
<i>Poniekery</i>	– niejeden
<i>Ubliżać</i>	– robić krzywdę, krzywdzić
<i>Zbijani</i>	– świniobicie

PIYRSZO WIECERZO

Izolda Czmok-Nowak

POSTACI:

NYŚKA babcia, 75 lat. Rubo. Mo rajmatyka, bolom jom nogi.
 Wiecnie coś mo do roboty

GIYNEK dziadek, 75 lat. Chudy. Niy rod się przemynco.
 Mo ptoka na punkcie rybow, szkata i fusbalu

MISIUREK wnuczka, 20 lat. Sztudyruje psychologia w USA.
 Miyszko tam z mamom

NANDU kamrat Misiurka, 23 lata. Murzin, sztudynt medycyny z USA.
 Niy godo po polsku

CZAS: Wilijo

MIEJSCE: Radzionków

BINA PIYRSZO

*Srogo izba w miyszkaniu dziadkow, połonczono z kuchniom. Miyszkanie
urzondzone po nowymu (żodnych bifyjów!), sofa, stolik, szrank, w izbie
włonczony bez cołki cos telewizor. Dziadek łoblecony wygodnie, po
chałpie, som siedzi przy stole. Na stole galert z ryby, chlyb.*

DZIADEK (*łoglondo bez zainteresuwanio telewizor i woło*):

Nysia, słol!

*Nysia łoblecono w fortuch na knefle, typ „mantlowa”,
przynosi solniczka i siado koło niego.*

NYSIA:

Za wcas żeś go wyciongnoł z lodowki, łon jesse musiołby stwardnonć.

DZIADEK:

A kaj tam. Jest gynał, bardzo dobry galert. A niy momy wyncy łoctu?

Nysia wroca do kuchni, przynosi flaszka łoctu. Siado.

DZIADEK:

Niy chces? Skosztuj sie. (*dowo ji konsek na widelcu*)

NYSIA:

Przeca wiys, że jo rybska niy ciyrpia. (*z łobrzidzeniem*) Fúj.

DZIADEK:

Spotkołzech w Realu „Wafłorza”, jechoł z takim nafoluwanym wozkym, że
z bydom go cis. Jo sie pytom:

Alfrid, na co ci tyła zarcio, tyś jest już i tak ruby. Ciebie niydugo bydzie lepi prze-
skoczyć, jak łobyńś (*śmieje sie pod nosem*).

NYSIA:

Jego baby zech downo niy widziała, musi być choro... jak łon do sklepu łązi.

DZIADEK:

Niy, pado, że kupa roboty majom, bo bydzie miół czinoście ludzi na wiliji. Ło-bie dziółchy z dziećmi przijyzdzajom.

NYSIA:

No ja! Łone tych dzieci majom w ciorty.

DZIADEK:

Ta jedna czy, a drugo teraz cworte urodziła.

NYSIA (*zdziwiono*):

Że łonych tak niy ma gańba, co rok to prorok...

Bez chwila jest cicho...

NYSIA (*ze stropiyniym w gosie*):

Widzis, a my dwa stare grziby same łostały. Ta – gupio do Ameryki pojechała,

jesce z dziółchom. Zawsze musiała wynokwiać. (*przewroco łocami na wiyrch*)

Kaj jo bych tak mama sama na świynta łostawiła! (*po krotki pauzie zacyno ło cym inszskym*) Ciekawoch jes, co łone tam bydom jeś dzisiej... Chces jesce chleba?

BINA DRUGO

W tym samym miejscu. Dziadek udowo, że łoglonda sport w telewizji, ale tak po prowadzie drzemie. Babcia wyciero zol mopem. Sztucho go w noga mopem, żeby sie cofnoł.

NYSIA:

Cofni sie.

DZIADEK:

Po co to wyciyros, i tak zaś sie namarasi.

NYSIA (*niezadowolono*):

Mioł ześ tyn mak zmlyć...

DZIADEK:

Zaroz... Upiykłaś kołoc?

NYSIA:

Dyć.

DZIADEK:

A kaj go mos?

NYSIA (*niy może uwierzić w to, co słyszy*):

Teraz bydzies jesce kołoc zrić? Tyś jest niypoważny! To jest kołoc na świynta!

DZIADEK:

Dzisiaj tyz som świynta, babcia (*przitulo jom i śmieje sie chytrze*).

NYSIA (*trocha udobruchano*):

Ty musis bez przerwy coś łomyłać!

Trocha niyskorzy w kuchni. Łona mieli mak w starodowny maszyncie do miysa, łon je kołoc.

DZIADEK:

Na co to robis, jo bych go zmielol.

NYSIA:

Mhm... Jak wilijo w moju bydzie.

Dzwonek do drzwi.

NYSIA:

A fto sam zaś idzie? Niy lotwiyrej, to na pewno po fechcie.

DZIADEK:

Musa łobejrzyć fto to.

NYSIA:

Ale dej pozór!

Dziadek lotwiero drzwi. W drzwiach modo dziolcha, Misiurek.

MISIUREK:

Dziadek! (*dziolyszka z radościom wiyso mu sie na kark*).

DZIADEK:

Co ty tu robis? Sama ześ przijechała?

Przilazi babcia, rynce wyciyro w uciyracka.

NYSIA:

Niyyy... (*fest zaskocono*) Jo niy wierza! Misiurku! (*cieszom sie, ściskajom*)

MISIUREK:

Chciałam wam zrobić niespodziankę. Cieszycie się?

DZIADEK:

Bardzo!

NYSIA:

Toć! No jo bych se niy myślała, że ty przijedzies... (*trocha wystraszone*) Ale tak przed świyntami... Niy bołaś sie?

MISIUREK:

Nie ma czego babciu, lot był bardzo spokojny. Tak się cieszę, że was widzę!

DZIADEK:

A kaj mama?

MISIUREK:

Musiała zostać, ma teraz bardzo dużo pracy. Ale potem zadzwoni na Skype'a.

NYSIA:

Ta dziolcha sie wykońcy, wiecnie robi!

DZIADEK:

Niy mos żodny tasie?

Zaś ftoś dzwoni do drzwi.

NYSIA:

A fto sam jesce?

W drzwiach stowo Murzyn z rajzyntaszom. Babka i dziadek som w szoku.

MISIUREK:

To jest Nandu. Nandu, it's my grandmother and grandfather.

BINA CZECIO

Kuchnia. Babka i dziadek stojom przy wnuczce i godajom po cichu. Nandu, trocha niywyrażny, siedzi som w srogi izbie.

NYSIA (*znerwuowano*):

No tyś chyba łogupiała!

MISIUREK:

Przepraszam, myślałam, że skoro w wigilię jest zawsze dodatkowe miejsce przy stole, to mogę go zabrać.

NYSIA:

Tak sie ino godo. Kaj to fto widzioł, cudzy bydzie z nami wilijo jod!

DZIADEK:

I jesce Murzin! Tyś chyba z byka spadła!

NYSIA:

Tyś jest tako choby ta twoja mama. (*grozi palcym*) Jo wiedziała, że ty coś wymyśliś. Ino cekałach na jakigo gorola. Ale Murzin?

MISIUREK:

Ale babciu...

NYSIA:

Niy widzioł wos fto aby? Tako gańba! A „Tromba” na pewno w łoknie. (*chyto sie za gowa*) Wiele zaś bydzie godki...

DZIADEK:

Już jest ćma, to można go niy było widać.

NYSIA (*z przerażeniem*):

A można to jest jaki terrorysta?

MISIUREK:

No co wy, to porządny człowiek, też jest katolikiem. I obchodzi święta!

NYSIA:

To niech se łobchodzi, ale u siebie, a niy tu u nos! (*zas sie chyto za gowa*) Tako gańba... Omamka sie w grobie przewroco.

Dziołcha łobrazono, wylazi z kuchnie.

NYSIA (*siedzi markotno, łopiyro gowa na rynce, godo do siebie*):

Jo to cuła, jak rano „Tromba” prziszła bułki pożyczac. Tak jak omamka go dała: piyrzo baba w Wilijo cie nawiedzi, to na łostuda. Kaj to fto widzioł, po ludziach łazić i życać, jesce w Wilijo! A padajom: jako Wilijo taki cołki rok! Jo tego niy szczimia!

BINA CWORTO

Widać srogo izba i kuchnia. W izbie dziadek – paczy na mecz, podjodo kostki z banie. Doś daleko łod niego siedzi Nandu. Naroz łoba stowajom.

DZIADEK:

Ach... pierońskie gizdy... tako akcja zmarnuwać.

NANDU:

Very pity... i like footbal very much.

DZIADEK (z zainteresowaniem i lekkim niedowierzaniem):

Ja? Jo tyz fusbalym sie interesuja. Chces trocha banie? (*dowo mu tytka z baniom, zeby sie wzion trocha*)

Babcia z wnuczkom warzom w kuchni.

NYSIA (*surowo, konkretnie*):

Pokroj ta cebula, ino drobno, bo wiys, ze jo cebulska niy ciyrpia.

MISIUREK (*miynko*):

Nie chciałam was zdenerwować. Przepraszam. On jest naprawdę bardzo miły...
I pracowity, i...

NYSIA (*znerwuвано przerywo*):

Ale Murzin! Dziołcha, niy było tam żodnego lepszego? Twoja mama miała cha-chara, a ty Murzina!

MISIUREK (*ma płacki w łocach*):

On będzie lekarzem. A ty zawsze chciałaś, żebyś studiowała medycynę.

NYSIA (*z wyższościom w gosie*):

Ty to co inkszego.

Do kuchni przyłazi dziadek.

DZIADEK:

Dej no jesse konsek kołoca, niech łon sie tyz skosztuje.

NYSIA (*paczi na niego tak, jakby chciała zabić*):

Tyś jes chyba niypoważny!

Dziadek ukrowo se konsek kołoca i biere go do srogi izby.

MISIUREK:

A nauczysz mnie babciu robić siemieniotka?

NYSIA (*zło*):

Na co? Żeby sie Murzin nazar? (*trocha miynknie i zacyno tuplikuwać*) Downi zech te konopie przeciyrła bez sitko, wiela to boło roboty! Teraz mom mikser... (*wyciongo blender*)

MISIUREK:

Daj, ja to zrobię. (*blynduje konopie*)

NYSIA (*gośno, bo blender larmuje*):

Pamiyntej, coby dać na koniec pomlyte jagły. Niyftorzi dowajom krupy pogańskie, ale jo tego niy ciyrpia.

Do kuchni włazi Nandu z talyrzykiym.

NANDU (*z uznaniem i łoblizuje palce*):

It was de-li-cious! Thank you!

MISIUREK (*fest rada*):

Bardzo mu smakowało, babciu, mówi że nie jadł nic lepszego.

NYSIA (*już trocha do niego przekonano, mruce pod nosym*):

Ja, zachwolać to łon umjy jak gorol. Spytej sie go, cy jesse chce...

BINA PIONTO

Końcom se winszuwać, uściski. Wszyscy siadajom do stołu, dryntwo atmosfera. Nandu żegno sie i rzyko, reszta robi to samo.

NANDU (*schylo sie do Misiurka*):

What's the soup? Interesting taste...

MISIUREK:

It's our traditional dish of cannabis. It is said that at the time of Christshepherds eat it... (*do babci*): Smakuje mu siemieniotka, mówi że nie jadł nic podobnego.

Babcia przewroco łocami. Siedzom cicho i jedzom, słyhać ino brzynkanie byszteku.

DZIADEK (*do Misiurka*):

Dej mu konsek tego sandacza.

MISIUREK (*podowo Nandu ryba*):

My grandfather is a fisherman!

NANDU:

My grandfather also! I like fishing!

MISIUREK (*do dziadka*):

Niesamowite... On też chodzi na ryby.

NYSIA:

Jo tam rybskow niy ciyrpia. Fuj, to śmierdzi.

NANDU (*końcy jeś*):

It was really, really good! The best thing I ate ever! And My grandmother is very good cook.

MISIUREK (*zadowolono*):

Widzisz? Jego babcia uwielbia gotować, ale nie gotuje tak dobrze jak ty.

NYSIA (*jesce trocha markotno, ale juz łagodniejszo*):

Bezto jest taki chudy. A świadcyc to łon poradzi! Wierczo jak wierczo.

MISIUREK (*do Nandu*):

She is happy, she loves to feed everyone!

NANDU:

Your family is very symilar to mine. Very traditional. I like they.

BINA SZÓSTO

Dziadek drzemie. Nandu w kuchni myje po wierczy. Babcia z Misiurkiem siedzom w izbie.

NYSIA:

Fto to widzio! Baby siedzom, a chop myje!

MISIUREK:

On lubi. To niech zmywa.

NYSIA:

A moz racjo dziolcha, niy bydź tako gupio jak jo. Wiernie ino wszystko sama, a łon (*pokazuje gowom na dziadka, ftory akurat charcy*) ani tego niy widzi. Teraz bych już niy była tako gupio.

MISIUREK:

Idziesz babciu z nami na pasterkę?

NYSIA:

Kaj tam sama puda... mie te szłapy bolom, a tyn komona (*zaś pokazuje gowom na dziadka*)... wiys że niy chodzi. A wy tyz kaj tam bydziecie łązić... Zimno mu bydzie.

MISIUREK:

Ubierzemy się ciepło, nic się nie martw, babciu. (*wyłazi z izby*)

NYSIA (*pod nosym*):

Tako gańba...

MISIUREK (*wraca i podaje babci jakąś tubkę*):

Spróbuj babciu, Nandu mówi, że to najlepsze na reumatyzm. Posmaruj nogę, to zobaczysz.

NYSIA (*wonio*):

Fuj! Śmierdzi kociskiem (*smaruje sie z łobrzidzyniym*)

MISIUREK (*uśmiycha sie, całuje z czułościom babcia w gowa*):

To idziemy, babciu.

NYSIA (*zamyślono*):

Ja, ja... Świynta, świynta i po świyntach...

MISIUREK (*łoblyko mantel*):

Babcia, przecież Wigilia się jeszcze nawet nie skończyła!

NYSIA:

No ja, ale wiela to tego jesce łostało... Jak tyn cas leci, jesce niydowno byłaś tako malutka, a teraz... (*robi macha w strona Nandu*).

BINA SIÓDMO

Babcia z dziadkiem zaś siedzom razym w izbie, jak na poczontku.

NYSIA:

Ty wiys, że mie ta szłapa tak choby trocha mni boli...

DZIADEK:

Fajny karlus z tego Nanda, jutro go byda ucoł w szkata grać.

NYSIA:

To zas sam przidzie? Dobrze, zech tego miysa wiyncy kupiyła, to rolady zrobia. A kloski biołe abo corne. (*do siebie*) Lepi biołe... (*ze śmiychem, wyraźnie zadowlono*) A widzioł ześ wiela tych makowek zezar? Czi razy sie dokłodo!

DZIADEK:

Bo ty robis nojlepsze Nyško, Murziny takich niy majom (*śmieje sie i przytulo jom*) Łostało coś jesce aby?

NYSIA (*łoburzono*):

No tyś jes chyba gupi! Teraz bydzies jesce makowki jod? Łostow zyz tymu synkowi na jutro...

ŁOSPROWKI SPOD STOŁA

Bożena Donnerstag

WYSTĘPUJĄ:

DZIOŁSZKA
STARO OMA
UJEK JORG
UJEK ALFONS
UJEK ATUR

SCENA I

Zastawiony stół, za stołem siedzom:

Staro Oma, ujek Jorg, ujek Alfons, ujek Atur. Nakładajom sie na talyrze, nalewajom do kieliszków itp. Pod stołym Dziołszka w skrzyżnym siadzie, lalki, inne zabawki.

DZIOŁSZKA:

Jak świat światym bajtle zowždy lubiyli bawić sie pod stołym... Chopcy robiyli tam bunkier i cylowali w Niymców. A dziołszki normalnie – w dom. Warzoły jedzynie, sztrykowały łoblecynie swoim lalom... Jak to dziołchy. A jo... jo łod zawsze lubioła siedzieć pod stołym i słuchać tego, co jest na wirychu. Bo na wirychu boły nojciekawsze łopowieści. Niych żodyn niy myśli, że to boło pod-słuchiwanie! Wcale niy!!! Jo wiym, że łoni tam na wirychu niy zawsze wiedzie-li, że jo siedza na dole, i godali o tych barzo wielgich sprawach dorosłych. Ło tym, że staro Frisztacko mo wielko rzić... Przeca każdy to wiym... Abo że ta gdo-wa z drugigo pyntra wziona sie trzecigo chopa – ło tym tyż wiym, bo żech przeca kołocz weselny jadła... I że moja mamulka za dłuogo w robocie siedzi to tyż wiym, bez to przeca żech jest u Omy, a niy u nos doma. To niy som żodne tajemnice. Za to jak tak siedzom i godajom, a sie jeszcze trocha gorzołki wlejom, to dopiero jes co słuchać!!! A dzisioj... Dzisioj to dopiero bydzie godka, bo ujek Jorg z Rajchu przijecho! Erbłach tasia maszketów, za to Staro Oma dostała faj-nisty gyszynk: gorzołka w taki flaszcze, co na korku stoi tancerka z balytu i tań-cuje. I jeszcze muzyka gro! Jakie to jes fajne!!! Lepsze niż te moje bombony. Idzie sie dziwować cołki dziyń. Tyn środek mom kajś, ale ta balytnica!!!

Dziołszka przerywo, zaczyno łobyłkać lalka.

STARO OMA:

Toż downo cie, Jorg, niy widziałach. Już ci sie niy chce do dom przyjyżdżać, do matki. Tyś to już jes Niymiec pełnom gymbom...

UJEK JORG:

Ale muter... zaś tak niy możecie godać...

STARO OMA:

Jo swoje wiym... Zrobia tyju, pokreja zista i pogodomy...
Staro Oma wylazi do kuchnie. Ujki siedzom dali za stołym i cicho godajom miyndzy sobom.

SCENA II

DZIOŁSZKA (*ciagle pod stołem*):

Ta Staro Oma... Łona jest niymożliwo! Ledwo widzi, ledwo słyszy, a wszystko wiw! Wszystko! Tata mi godoł, że łona wydała sie, jak miała 16 lot!!! 16!!! A jak miała 24, to boła już gdowom z czwórkom dzieci. To jest niymożliwo! Ale to prowda nojprawdziwszo. Miała Jorga, Alfonsa, Hyjdla i Lyjna. Lyjna to moja oma, mamulka łod mojigo łojca, na kero godom Modo Oma. A ujek Atur to boł łod innego opy, bo tyn piyrszy zginął na piyrszyj wojnie. Staro Oma robiola nawet na grubie! Niy pod ziemiom jak hajer, ale na wyrchu, te wagoniki z wonglem łodczepiała i roz jom trzasło i połomało rynka. No i boło po robocie... Biyda... (*zaczyno chesać kudły łod lalki*) A tyn ujek Jorg... Staro Oma godali, że łon boł przed wojnom mistrzym Polski w boksie!!! To je chyba prowda, bo widziałach medale i takie wielgie blomwazy, do kierych niy dowo sie kwiotków, ino stojom i sie kurzom, a jo to musza pucować. No i ujek Jorg, jak prziszła drugo wojna, to od razu chcioł do Niywców!!! Jo jest za mało, coby to zrozumieć, można mi to kiedyś w szkole wytłumaczom, ale terazki niy wiym. Wołoł być Niywcym, to wołoł. No i jak ta wojna boła, to łon dostał motor i boł wojokiyom na motorze. Ale fajnie mio!!!!

Wraco Staro Oma. Niesie taca z tyjym i pokrojonom zistom. Stawio wszysko na stoł. Rozkłodo w milczyniu, ale ze złościom, głośno.

STARO OMA:

Tak jak zech pedziała – downo cie, Jorg, niy boło...

UJEK JORG:

Ale muter... tak zaś niy możecie godać...

STARO OMA:

Ale muter, ale muter... Juzech to dzisioj słyszała. Pora lot nazod godołeś mamulko, a terazki muter. Tyś to już jest echt Niymiec, pra Alfons? Atur?

UJEK ATUR:

Mamulko, przeca przijechoł... Wiycie jak jes, Niyyce daleko... My som durś... Jo, Atur, Hyjdla i Lyjna, wnuki mocie... i prawniki! (*zagłondo gibko pod tisz-tuch i dźwigo sie*) Tako wielgo familijo. A ino Jorg i Jorg wom w głowie.

UJEK ALFONS:

Prześcieńcie już fanzolić, bo tyj bydzie zimny...

Ale wom ta zista wyszła... mamulko...

Ujek Alfons czynstuje sie zistom.

STARO OMA:

Mosz recht synek. Pijmy i jymy. Jo sie potym pogodom z Jorgiyom na łosobności.

SCENA III

Dziółszka durś siedzi pod stołym. Familijo pije tyj i jy zista. Dziółszka podpiero głowa na rynce, siedzi ze skrzyżowanymi szłapami.

DZIOŁSZKA:

Jak ujek Jorg został tym Niymcem na motorze, to ujek Alfons tyż boł wojok, ale polski. I napisany boł na afiszach, że jest polskim bandytom. A Jorg jeżdżioł na tym swoim motorze i go ściogoł!!! Ale cheba nie chciał go chycić i chycyli go inne Niymce. Wziyni ujka Alfonsa do heresztu, pobiyli fest, a potym zoboczyli, że mo te same nazwisko, co Jorg. No i posłali po niego, łon przijechoł – ja, ja, na tym piyknym motorze, patrzy, a Alfons stoi pobity. To pedzioł tym Niymcom, że Alfons jest młody i gupi, i że tyż bydzie Niymcem, a łon, Jorg, go przipilnuje. I Alfonsa wypuścili, a Jorg kozoł mu sie zapisać do Niymcow. Alfons sie zapisoł, ale gibko im uciykł i zaś poszoł do polskiego wojska... Nic z tego niy rozumia, ale w szkole mi pedzom, jak byda wyynkszo... Wielu jo rzeczy niy wiyw... Ale lubia ujka Alfonsa. Łon niy mo trzech palców! Ustrzelili mu na wojnie!!! Niy wiyw jak idzie ustrzelić dwa palce z jednyj rynki i jedyn z drugi... Tyn Niymiec musioł fest dobrze widzieć! Z tych palców niy wolno sie śmieć, ale ujek som sie z tego śmieje, to jo po kryjomu tyż, coby Staro Oma niy widziała!

STARO OMA (*wstowo, zaczyno zbierać talyrze i szolki*):

To godej, Jorg, co tam u wos? Co u Hyjdwich? Niy chciała przijechać do teściowyj? Boi sie mnie, pra? Wszystkie sie mnie bojom. Wasze tyż! (*wejrzała na Alfonsa i Atura*)

UJEK JORG:

Ja muter, wszystkie sie wos bojom... Ale kogoś trza sie boć! Jo zech sie na wojnie tak niy boł, jak terazki zowždy jak do dom przyjyżdżom.

UJEK ATUR:

Jo sie mamulki niy boja...

UJEK ALFONS:

Ty sie niy boisz, boś jest łod niyj libling. Nojmłodszy, gryfcok, mamulka ci nojbardzi przajom.

UJEK ATUR:

Przestoń, Alfons, mamulka wszyskim tak samo przajom... Jo wiyw, że ty już niy mosz włosów, a jo jeszcze mom, ale żodyn zy mie gryfcok.

UJEK JORG:

Ja, ja, Alfons, mosz recht, každo dziółszka sie za nim łobejrzała!
Śmiejom sie wszyskie.

STARO OMA:

Już spokoj, karlusu, choby małe bajtle, a niy stare chopy! Mieli my sam pogodać ło ważnych rzeczach, a niy moga nic pedzieć, bo durś sie przegadujecie.

UJEK JORG:

Jo zech myśłoł, że mom przijechać, bo zech downo niy boł... Ło czym chcecie mute... mamulko godać?

STARO OMA:

Ło najważniejszym. Ło sprawach łostatecznych...

SCENA IV

Dziolszka pod stołym łoblyko swoja lala. Ujki i Staro Oma siedzom w milczyniu.

DZIOŁSZKA:

Tyn ujek Atur to richtich jest gryfcok. Znodłach kiedyś łod niego zdjyncie w szuflodzie, w łoblecyniu z wojska... Jaki łon boł piykny, jak jakiś aktor, i to amerykańcki. Mom kajś te zdjyncie schowane. A z nim to oma miała ino stropiynie. Bo jak ujki Alfons i Jorg byli już tymi wojokami na wojnie, to Atur boł młody, miał dopiero 18 lot i doł sie złapać Niymcem. I posłali go do kamiyniołomów kajś za granica, do Austrii. I tata padoł, że Staro Oma sie blank nerwła, jak sie dowiedziała, że łon jest w tych kamiyniołomach... Tak sie nerwła... tak sie nerwła... jo by niy chciała być w skorze tych Niymcow. Łona jes wtedy bardzo straszno. A miała somsiada, co robioł u samego Hitlera na kuchnie w Berlinie. Łon chyba dobrze warzoł, że go tam wziyni... Jo sie tak myśla... czy Hitler wołoł wodzionka, czy żur...? No ale tego sie nie dowiyw w szkole. I moja Staro Oma, kero wtedy jeszcze niy boła tak blank staro, napisała list... do Hitlera... Naprowdy! Że łod niyj chop umar za Wilusia na piyrwszyj wojnie, że terozki łod niyj dwa syny som w niymieckim wojsku, a najmłodszy dostoł sie do kamiyniołomów! I posłała tyn list somsiadowi, kery mioł go dać Hitlerowi. Można mu go doł przy śniodaniu do sznity z tustym, abo przy smažonce... Niy wiyw jak to boło. Ale list poszoł. Staro Oma dziynnje czekała, aż tyn Hitler łodpisze. Czekala, czekała, aż prziszoł list... Z gestapo. Te gestapo to chyba niy byli fajne wojoki. Bo jak oma tyn list łotworzoła i poczytała, co tam napisali, siostry łod Atura, Alfonsa i Jorga – Hyjdla i Lyjna – zachoły beczeć, bo w tym liście stoło, że Staro Oma mo pojechać do tego gestapo. Staro Oma jest twardo i sie nikogo niy boi. Ale podobno trocha zbledła. Łoblykła sie w tyn nasz stroj rozbarski – w czorno jakła, czorno kiecka, fortuch w kwiotki, na gowa wsadzioła buda i pojechała. A w doma wszyscy klynczeli pod figurom i rzykali, bo myśleli, że niy przyjedzie nazod...

Dziolszka głošno wzdycha i zamyślo sie.

UJEK JORG:

Mamulko! Jak to ło sprawach łostatecznych? Som żeście krank? Chore?

UJEK ATUR:

Nic żeście niy padali łostatnio, że cosik wom dolygo! Serce? Brzuch? Gowa?

STARO OMA:

Gowa to chyba wom dolygo. To, że chca godać ło sprawach łostatecznych, niy znaczy, żech je choro!!!

UJEK ALFONS:

Jerona, mammo, niy straszcie! Dycki jo ścioł już po farorza lecieć!!!

STARO OMA:

Jo widza, że sie starocie ło moje zdrowie, a nikt niy jest ciekawy, co jo chcia-
ła pedzieć!

UJEK ATUR:

Toż godejcie, mammo. My już somy cicho!

DZIOŁSZKA (*pod stołym*):

No i wom skończa o tym Aturze. Staro Oma łoiblykli sie piyknie, ciotki rzyka-
li doma pod figurom, bo niby jak na gestapo, to oma już niy przyjdom nazod
do dom... Nawet boła godka, co by do kościoła po ostatnie namaszczynie iść.
I Staro Oma pojechali... Na gestapo piyknie jom przywitani, dali koncek papio-
ru i łołówek i kozali napisać ło swoim życiu. A Staro Oma łażioła do niemieckij
szkoły, to piyknym gotykiem napisała im ło tym, że wczas jom wydali za mąż,
że wczas została gdowom, że chowała sama te dzieciska, że chop zginął w Wielgi
Wojnie i że chopcy som teraz tyż na wojnie w niymieckim wojsku, a tyn nojm-
łodszy robi w kamiyniołomach, i że tak niy może być. Te gestapowce to wziyni,
poczytali i pedzieli Omie, że wypuszczom Atura z tych kamiyniołomów!!! Sta-
ro Oma piyknie im podziynkowała. A łoni i pedzieli, żeby nastympnym razem
tyż przysła zarozki do nich, a nie łod razu pisała do firera!!! Znaczoło to, że list
przez kuchnia trefioł do Hitlera! Kuchorz sie piyknie spisoł. A Atura drapko wy-
puścili. Zapisali go łod razu do niymieckiego wojska i posłali pod jakiś Stalin-
grad. Ale niy wiyom co to, na pewno powiedzom mi w szkole...

SCENA V

STARO OMA:

Naleje mi tu kery tyj dobryj gorzołki?

UJEK JORG:

Ja, muter, już wom leja. A smakuje wom aby ta gorzołka z Vaterlandu?

STARO OMA:

Ja... jo wiyom, wszystko z Niyemiec jest nojlepsze. Gorzołka tyż. (*śmieje sie*)

UJEK ATUR:

Toż godejcie terozki ło tych sprawach łostatecznych, bo zech już je niycierpliwy
i nerwowy. I żeście mie blank wystraszyli!!!

STARO OMA:

Jo sie tak pomyślała, że jo już niy je tako modo... Jeszcze pożyja, niy nerwujcie
sie, przeca niy wybiyrom sie na tamtyn świat!

UJEK ALFONS:

Chwałaż Panu Bogu! Godejcie drapko!

STARO OMA:

Jo jeszcze trocha pożyja, ale niy wiyom jak dugo bydzie dobrze z mojom pamiyn-
ciom. Pomyślałach, że musza komuś łopowiedzieć moje cołkie życie... Żeby to
ktoś zapamiyntoł, łopisoł i pedzioł dali jak mnie już niy bydzie...

UJEK JORG:

Jo zech sie już boł... Ale komu to chcecie łopowiedzieć? My już tyż momy swoje lata i pamiyńc niy tako...

STARO OMA:

Beztoż zech wos zawołała, coby pomyśleć ło tym...

UJEK ATUR:

A jo bych miał kogoś do tego...

STARO OMA:

Tak gibko żeś wymyślół?

UJEK ATUR:

Mom kogoś, kogo dobrze znomy, i kto tukej durś jes.

UJEK ALFONS:

No chyba to niy Ponbócek?

UJEK ATUR:

Wejrzyjcie sie wszyscy pod stoł...

Wszyscy schylają sie, dźwigają tisztych i patrzą pod stoł na Dziołszka.

Dziołszka ich niy widzi, ale za chwila łobraco sie do nich.

STARO OMA:

Dziołszka, ty sam dugo już siedzisz pod tym stołym?

DZIOŁSZKA (*lekkó przestraszonym głosym*):

Ja Oma, jak ino ujki przyszli, to jo sam wlażła... Niy gorszcie sie...

STARO OMA:

To wylży ino, chcymy z tobom pogodać.

DZIOŁSZKA:

Ale niy somście złe na mnie?

STARO OMA:

Nic sie niy boj. Jeżeś wybrano, coby wypełnić moja wola.

DZIOŁSZKA:

Jo???

Dziołszka wylazi spod stoła. Ujki i Staro Oma siedzom niyruchomo przy stole. Dziołszka stoi prosto i okazuje sie, że to jest dorosło kobyta.

DZIOŁSZKA:

Łoni przy tym stole już downo niy żyjom... Ale tak zowždy boło, że jo boła pod spodkiym i słuchała zech tyj godki. Tam na wyrchu niy boło ani Nymcow, ani Poloków. To niy boło ważne. Tam na wyrchu przy ziście, tyju i gorzołce siedziała moja familijo. Roz boło ich wiyncyj, roz mnij. Niekere umiyrali, niekere długo żyli. Terozki już te nojstarsze pomarli: Staro Oma, Młodo Oma, ujki, ciotki... Ale som durś tukej... (*pokazuje na głowa*) i tukej... (*pokazuje na serce*).

COŁKI TEN ŚWIOT

Maciej Dziaczko

POSTACI:

DZIADEK (plan lalkowy – drewno)
BABCIA (plan lalkowy – tkanina)
PANI MŁODA
MATKA PANI MŁODEJ
OJCIEC PANI MŁODEJ
MŁODSZA CÓRKA
DZIECI
UJEK
CIOTKA
PAN MŁODY
MATKA PANA MŁODEGO
OJCIEC PANA MŁODEGO
GOŚĆ 1.
GOŚĆ 2.

*Aktorzy w zależności od potrzeb stają się animatorami
lalki Dziadka, Babci, przedmiotów...
Aktorzy w razie potrzeby wcielają się w inne osoby, np. Bab-
cia po założeniu chustki na głowę albo kiecki; animatorzy.*

SCENA 1. WESELE

*Fotografia ślubna – z wszystkimi cechami wspólnymi dla fotografii tego
typu z okresu międzywojennego. Państwo młodzi, rodzina, rodzice, dzieci,
przyjaciele. W centralnym punkcie wyraźnie zaznaczona biała plama, to
suknia ślubna panny młodej, w rękach kwiaty. Scena zaczyna się od ustawienia
do zdjęcia ślubnego; duże zamieszanie, teksty prawie nachodzą na siebie.*

MATKA PANA MŁODEGO:

Te, Trudka, powiedz ino, kaj my wtedy stoły?

MATKA PANI MŁODEJ:

Czekej ino. Czekej! Andrzej, przynieś jeszcze stołki dla mnie i dla Linki, prze-
cież matka pana i pani modej musi se kajś zicnąć.

OJCIEC PANI MŁODEJ:

Te, słyszysz, co matka pedziała? Ruchy, a gibko.

OJCIEC PANA MŁODEGO:

Ty siedziałeś kole Isi. Tako zasada – matka przy synku, a lojciec przy cerze.

MATKA PANA MŁODEGO:

Dyć wiem! Przestoń już... *(do Pana Młodego)*: Weź se ogarnij!

MATKA PANI MŁODEJ:

Goście stali ze zadku! Chodźcie, zapraszom na zadek!

PANI MŁODA:

Podej mi bukiet.

CIOTKA:

Dziecka, wszyscy legać tukej s przodku... Tak jak wtedy – więcej was matka nie miała?

PANI MŁODA:

W naszym rodzinie zawsze było dużo dzieci.

PAN MŁODY:

Ja, no...

MŁODSZA CÓRKA:

Matka, a kaj jest dziadek?

MATKA PANI MŁODEJ:

Te, Janek, kaj siedzioł ułpa? Pamiętosz?

OJCIEC PANI MŁODEJ:

Jo nie wiem...

MŁODSZA CÓRKA:

No właśnie. Kaj siedział dziadek?

*Wszyscy się rozglądają, szukają – nie ma Dziadka;
w tym momencie wyświetlenie fotografii.*

SCENA 2. NIE MA DZIADKA

*Wszyscy rozchodzą się po scenie, szukając Dziadka. Meblują przy okazji pokój.
Jest to dobry moment, żeby pojawiła się lalka Dziadka.*

GOŚĆ 1.:

Gdzie jest dziadek?

MATKA PANI MŁODEJ:

No właśnie... Kaj jest ułpa?

OJCIEC PANI MŁODEJ:

Jakżech go widzioł ostatni roz, to siedzioł na ziclu przy piecu w kuchni i rychtowoł ogień.

MATKA PANA MŁODEGO:

A może jest w izbie i gro na cyji? Łon tak pięknie groł...

MATKA PANI MŁODEJ:

Tam też go nie ma.

PANI MŁODA:

A może jest na plantach i bawi się z dziećmi?

DZIECI:

Na plantach go nie ma!

PAN MŁODY:

Ja, no...

GOŚĆ 2.:

A może siedzi na ławce przed domem?

CIOTKA:

A może właśnie śpi?

OJCIEC PANA MŁODEGO:

A może siedzi w kuchni przy stole i patrzy przez okno?

MATKA PANI MŁODEJ:

Tam też go nie ma.

PAN MŁODY:

Ja, no...

GOŚĆ 1.:

A może słucha radia?

GOŚĆ 2.:

A może ogląda mecz?

DZIECI:

A fotel? A dziadek? Gdzie jest?

PANI MŁODA:

A na tej fotografii gdzie siedział?

PAN MŁODY:

No właśnie – gdzie?

Dobry moment na wprowadzenie lalki Dziadka, która jest przenoszona z miejsca na miejsce: raz na krzesło, raz na ławkę, raz przy stole – w zależności od potrzeb.

OJCIEC PANI MŁODEJ:

Na krzesło?

CIOTKA:

A na krzesło jest!

MATKA PANI MŁODEJ:

Tam też go nie ma.

MATKA PANA MŁODEGO:

A może siedzi za stołem i patrzy przez okno na gruchające gołębie?

MATKA PANI MŁODEJ, MATKA PANA MŁODEGO:

Nie, tam też go nie ma!

PAN MŁODY:

Ja, no...

GOŚĆ 1.:

A może siadł na ławce przed domem?

OJCIEC PANA MŁODEGO:

Ale na ławce kaj? Driny?

GOŚĆ 2.:

A może pod ławką?

PAN MŁODY:

Ja, no...

OJCIEC PANI MŁODEJ:

Nie, tam też go na pewno nie ma!

UJEK:

Kaj on może być, ten stary pieron?

CIOTKA:

Weź no skocz ino... czy nie wszedł rań do sypialni.

PANI MŁODA:

A może śpi?

Dzieci, wnosząc fotel, śpiewają piosenkę:

„Stary niedźwiedź mocno śpi”. Na środku sceny pojawia się fotel bujany lub łóżko, lub niewielka ryczka, na której zwykł siadać Dziadek. Lalka Dziadka jest wspólnie animowana przez wszystkich aktorów (rodzaj lalki bunraku). Sadzając Dziadka, cały czas dzieci śpiewają – coraz ciszej. Rodzice animują ręce i nogi (każdy jedną), ciotka z ujkami – tułów i głowę. Kiedy przystępują do animacji, to robią to tak cicho, żeby nie obudzić Dziadka. Zmienia się klimat i oświetlenie sceny, Dziadek oświetlony jest punktowo. Dziadek budzi się...

SCENA 3. DZIADEK BUDZI SIĘ

DZIADEK (*budząc się stopniowo*):

O, a kto to mnie budzi? Co za gizd pieroński. Kero to godzina momy? Dejcje spać... Moje ryncy i moje nogi som już stare i skrzypią niczym koncek jakiegoś drewna, a już i sił coroz to mniej. To już nie te lata. Ja, no... Kiedyś to... Kiedyś jak jo byłzech młody, biegołzech za dziołszkami, chodowoł gołębie, śpiewoł do rana na weselach, tańcowołzech co sił... A teraz to... coś mi szczyrko w kościach i stają się jakiś taki... melancholijny. Moja lewo noga... i moja prawo noga... zamiast tańcować na weselu mojej wnuczki – leżą i śpią. Moja prawo ręka... zamiast wznosić toasty na zdrowie państwa modych – leży i śpi. Moja prawo ręka – a co tam... Też śpi. A któż to do mnie przyszoł?

WSZYSCY:

To my!

DZIADEK:

Kto wy?

WSZYSCY:

My wszystkie!

DZIADEK:

Aaaaa... Wy... Ha, ha...

MATKA PANI MŁODEJ:

Szukomy cię wszendzie tato.

OJCIEC PANI MŁODEJ:

A ty tukej śpisz.

PANI MŁODA:

Chcieliśmy zrobić sobie z tobą zdjęcie.

PAN MŁODY:

Właśnie, zdjęcie...

DZIECI:

Ale najważniejsze, że dziadek się znalazł.

GOŚĆ 1., GOŚĆ 2.:

I jest cały i zdrowy.

DZIADEK:

No tak! Ale skoro już tu jesteście, też dom wam coś. Ino kaj to jest?

Z szafy pojawia się album ze zdjęciami.

DZIADEK:

Oto mój prezent dla ciebie wnusiu. Album rodzinny.

SCENA 4. ALBUM

Dobrze jakby wszystkie elementy świata były w ciągłym ruchu i w zmienionych proporcjach. Pojawia się skrzynia – trochę na kształt szafy, albo po prostu szafa o połowę mniejsza, z dwojgiem drzwi, animowana przez dwie lub trzy osoby.

Z szafy pojawia się album – szafa znika.

**Tutaj propozycja sceny o charakterze ruchowym: grupa animująca album prezentuje album, który lata po pokoju niczym ptak, za nim grupa animująca lalkę Dziadka, który próbuje uchwycić album; inne przedmioty przyglądają się tej zabawie. Album w rezultacie ląduje na kolanach Dziadka, który znajduje się teraz centralnie na niewielkim krześle na samym środku, tuż przed oczami widza. Dziadek otwiera ciężką okładkę – światło pada na twarze, jakby ktoś zaczął puszczać zajęczki.*

DZIADEK:

Ten stary album dają ci jako prezent i jako taki dosz go swoim wnukom! Tu-kej odnajdziesz cało prawda o naszej rodzinie i o naszym domu, o momentach pierwszych i całkiem nieważnych, o sobie i swoich przodkach, o życiu i śmierci, radości i swadzie.

** Zaczyna wymieniać wszystkich po kolei, którzy zgromadzili się też wokół albumu – przedstawienie postaci.*

DZIADEK:

O matce i łojcu, ło mnie i babci, moim łojcu i jego bracie, i moim bracie, który po wojnie wyjechał do Rajchu. I ujku, co nie wrócił z gruby, i ciotce, co wyszła za nauczyciela, i sąsiada, co choć gorol – to nasz synek. Co? Aha... Jest sam i kupa miejsca zostawiona dla ciebie i twojego męża, szanownych rodziców, i babki i ujka z rodziną... *(pokazując na Gościa 1.):*

A ten to kto? Chyba z Sosnowca przyjechał?

DZIADEK:

W każdym bądź razie siednijcie młodzi tukej koło mnie. Dziecka na ziemi, a do-rosli z tyłu, jak na tych wszystkich zdjęciach sprzed lat.

** Moment na kilka slajdów rodzinnych.*

SCENA 5. DZIECIĄTKO

DZIADEK:

Albo wtedy kiedy przyszło Dzieciątko zaro po wiliji, przed pastyrkom.

PANNA MŁODA:

O, zobaczcie! Babcia wtedy jeszcze żyła. Siedzi i uśmiecha się do nas.

PAN MŁODY:

Ja, no...

MATKA PANA MŁODEGO:

A czekej, czekej! Ktoś siedzi jej na kolanach!

CIOTKA:

A kto?

OJCIEC PANI MŁODEJ:

To chyba ujek Karol?

MATKA PANI MŁODEJ:

Ale ty gupoty godosz! Słyszeliście go! Pado Karol... Tyś chyba całkiem ogupł.

Nie poznajesz?

MŁODSZA CÓRKA:

Tato, przecież to jest mama!

GOŚĆ 1., GOŚĆ 2.:

Tylko wtedy była dzieckiem.

CIOTKA:

A tu z przodu – jo!

OJCIEC PANA MŁODEGO:

A tam z tyłu?

UJEK:

Jest i jo, i ten krojcek z naprzeciwka... Wtedy wszyscy przychodzili na wilija.

*Dzieci (może) zaczynają śpiewać kolędę, aż do końca
monologu – wtedy monolog Matki Pani Młodej.*

MATKA PANI MŁODEJ:

Właśnie śnieg zasypał wszystko, a zima znów zaskoczyła drogowców. Śniegu było tela, że wsypywał się górą do butów i cała rodzina suszyła zoki nad piecem. Na dworze było zimno, że aż trzeba było przez cały czos hajcować. W kuchni już dzień wcześniej wasza babcia przygotowywała pierniki, a my z ciotką i ujkem je lukrowali. Lubiałach zlizywać ten lukier, co z pierników zleciół, ale tylko po kryjomu, bo wasz dziadek, a mój ojciec godali:

DZIADEK:

Przeństwo wyjadać ten lukier, bo dostaniecie pypcia!

UJEK I CIOTKA, MATKA PANI MŁODEJ:

Albo przyjdzie bebok i vos porwie!

MATKA PANI MŁODEJ:

Też to pamiętacie? Babcia wtedy pedziała:

OSOBA, która wcieliła się w babcię z fotografii:

Dej pokój! Nie fandzol! – są święta. Przestoń błaznować! Weź lepiej jakiś filok i zapisz, co trzeba jeszcze kupić na targu.

MATKA PANI MŁODEJ:

I tak dobrze, że my ten nadmiar lukru wyjedli, bo i mniejszy bajzel był po tych piernikach do sprzątanía, a sprząтали my chyba już od tygodnia cały dom. Pamientom, jak mój łojciec, a wasz dziadek, jeszcze jak wszystkie dzieci spały, wstawił rano i szedł na targ po choinka i to, co mu tam babcia podyktowała. A potem wszystkie dzieci pomagały mamie. Jo zawsze glancowała wszystkie talerze i sztucce. A potem, jak już wszystko było gotowe, dzieliliśmy się opłatkami, siadali do stołu i jedli karpie. A potem to już tylko czekaliśmy na Dzieciątko i prezenty.

SCENA 6. STRACIŁEM GŁOWĘ

PANI MŁODA:

Dziadku, a jak poznałaś babcię?

CIOTKA:

Właśnie, nigdy o tym nie opowiadałaś.

** Dobry moment na to, żeby zmienili się animatorzy lalki Dziadka – może w tym zamieszaniu każdy z aktorów, po wcześniejszym przepytaniu rodziców, w jednym zdaniu opowie, jak poznali się jego dziadkowie. (Np. był koniec sierpnia, krótko przed wybuchem wojny, było mało czasu i sytuacja w kraju była bardzo napięta – wszyscy wiedzieli, że będzie wojna. Mój dziadek w niemieckim mundurze ostatni dzień przed wyjazdem na front, w niedzielne popołudnie, tuż przed jej domem pochylił się, żeby ją pocałować, ale ona uciekła). Docelowo może dobrze, żeby przejęli rolę i animowali Dziadka: Ojciec Pana Młodego i Matka Pana Młodego.*

PAN MŁODY:

Ja, no...

DZIADEK:

Och tak! Było to w czasie odpustu, kiedy na plac przyjechały karasole – tam gdzie teraz stoi ten duży sklep.

OJCIEC PANA MŁODEGO:

Kaufland!

MATKA PANA MŁODEGO:

Cicho, słuchej!

DZIADEK:

Całe rodziny w odświętnych ubraniach... Wtynczas każdy, szmaterlok, a nawet największy chachor umieli się łoblyc. Idzie procesja, dzieci sypały kwiaty... Grołech tam wtedy w łorkiestrze górniczej, jak to zwykle wtedy było. I nagle zoboczyłech waszą babcię – niczym anioł wyszła z kościoła z pełnym koszem kwiatów, które dosypywała pierszokomunistom do koszyków. Przez krótko chwila

nasz wzrok spotkał się w jednym punkcie, a serce zadrżało. Ona cała w bieli... „Ale z niej wyrosła piękno dziewa” – pomyśleć. A ja w garniaku z zielonym pióropuszem – takim co to kapelmajstry noszą ze strojem galowym. Od pokoleń wasz pradziadek i jego łojciec, czyli mój starzik, byli hajerami. Wtenczas przyjechały karasole, więc zaraz po łobiedzie poszliśmy na rozpust. O niczym innym żech wtedy nie myślał, ino żeby spotkać tego białego anioła, który zstąpił dzisiaj rano dla mnie z nieba. Wtedy chłopcy strzelali na strzelnicy, żeby dziolchom dać choćby jeden ustrzelony kwiatek i zaprosić na keciok albo wata cukrowa. Nie była to łatwa sprawa, bo gorol, który obsługiwał strzelnicę, krzywił lufy za winklem i strzały szły w bok. Nie wiem, czy to cud, czy tak chciał Pan Bóg, ale za pierwszym razem ustrzeżeliżech kwiatka. I było wiadome dla kogo.

BABCIA:

Mnie już wtedy tam nie było, bo choć zauważyłam tego młodego karlusa na Tubie w czasie odpustu, to był to jedyny dzień, który mogłam spędzić z rodziną, bo następnego dnia rano musiałam wrócić do szkoły w Katowicach, gdzie uczyłam się śpiewu. Znałam go jeszcze ze czasów szkolnych, bo z koleżankami podglądaliśmy chłopców przez łokno na lekcji przyrody, jak grali w futbol na boisku po drugiej stronie ulicy. Świetnie wyglądał w tych czarnych halpkach.

DZIADEK:

I nie wiem, czy to jakieś sztuczki, ale nie pamiętam jak znalazłem się pod jej domem, czy całkiem straciłem głowę?

SCENA 7. STRACIŁEM GŁOWĘ – ZESPÓŁ

Scena zbiorowa, dobry moment na pierwszą zmianę głowy „lali Dziadka” – dopasowanie. Może są przymierzane różne głowy, jak przygotowywanie się przed ważnym wydarzeniem, może oświadczynami w niedzielne popołudnie przez młodego mężczyznę – na pewno jest to rodzaj akcji ruchowej z/wokół Dziadka.

ANIMATORZY (*podział dowolny*):

Stracił głowę! On stracił głowę! Gdzie jest głowa!? Gdzie jest dziadek!? Głowę z czasów młodości dziadka – raz! Nie ta głowa! Może ta? Głowę z czasów młodości dziadka – raz! A może nie ta? (*podobne tego typu, wyjdzie w działaniu*)
O, jest i głowa! Jest i dziadek!

DZIADEK:

Och, tak od razu lepiej się czuję!

SCENA 8. SPOTKANIE W OGRODZIE

** Dziadek opowiada. W czasie opowieści animatorzy mogą ożywić elementy ogrodu, kwiaty. Babcię – białą sukienka.*

DZIADEK:

Stoję przed jej domem. Był to niewielki, jednopiętrowy familok, z wspólną sienią dla dwóch rodzin. Serce wali mi niemiłosiernie. Pamiętam, że nie mogłem się ruszyć, z kuchni dochodziły odgłosy gotowanego obiadu i skrzeczenie papug. Uchyliłem furtkę i wszedłem na podwórko. Wejście do domu było wtedy od strony podwórka. Szedłem cicho – prawie na palcach, choć w tej części ogrodu nikt nie mógł mnie zauważyć. Wzdłuż ściany familoka, po wąskiej, zrobionej z czerwonej cegły ścieżce aż do chlewików. Jeszcze dwa kroki i jeszcze jeden... Szybko wyciągnął żądło, co by poprawić sobie... I nagle przed moimi oczami ukazał się niesamowity obraz. Wśród setki kwiatów, pośrodku skąpanego majowym słońcem ogrodu, niczym motyl tańczyła wasza babcia, raz po raz nachylając się nad kwiatami, grządkami warzyw i krzakami agrestowymi.

BABCIA:

Schowałeś się za jednym z krzaków.

OJCIEC PANI MŁODEJ:

Przecież nie mógł przeszkadzać.

DZIADEK:

Poczułem się jak jakiś podglądacz czy zboczeniec... Musiałem się schować.

MATKA PANI MŁODEJ:

Pewnie wiedziałaś, że patrzy?

BABCIA:

Od razu go zauważyłam.

KOBIETY:

Jak to śmiesznie wyglądało. Schował się jak mały, nieporadny synek. Taki bajtel, w tym swoim szakaciku i chułwaserkach. Pionoński wraźdlok! Ino mu ten pióropusz wystwoił!

MĘŻCZYŹNI:

Akurat! Nie mogłyście go widzieć! Był dobrze schowany. Przecież jakby się wcześniej pokozoł, ona spaliłaby się pewnie ze wstydu!

BABCIA:

I wtedy jak gdyby nigdy nic...

KOBIETY:

Nad ogrodem pojawił się bąk – mały, puszysty bączek, fruujący z kwiotka na kwiotek. Taaki malutki...

MĘŻCZYŹNI:

To był szerszyń. Chopy, to nie był bąk, tylko dupny szerszyń. Widziołech go z bliska, więc chyba wiem.

KOBIETY:

I ten bączek ni z tego ni z owego usiodł se na krzoczku, co by kwiotki powońać... I... nagle wskoczył rań.

DZIADEK:

Aaaaa!...

MĘŻCZYŹNI:

Aaaaa... wcale to tak nie było!

BABCIA:

I wyskoczył wosz dziadek zza krzoka i skokoł – jakby jakiś taniec tańcowo! Te-roz to pewnie nazywałyby się to pogo, czy jakoś tak...

Kobiety w śmiech...

DZIADEK:

Ha, ha, ha!

** Scena fruwanja Dziadka jak bąk i Babci jako sukienka – muzyka – aż do upadku lalki na ziemię, tam lalka zostaje; leży póki co!*

SCENA 8. MOJA BABCIA...

ANIMATORZY (*podział dowolny*):

Moja babcia, jak była młoda, była bardzo piękną kobietą; Moja babcia, jak była młoda, śpiewała w chórze kościelnym; Moja babcia miała trzech braci i jedną siostrę – bracia nie wrócili z wojny, a siostra po wojnie wyjechała do Rajchu; Ja pamiętom! Moja mama opowiadała mi, że jak była mała, to dostawali z Rajchu pakiety od ciotki Hesi, w których dla dzieci były schowane resorówki, albo ubranka dla lalek, dla łojca maszynki Gillette, a dla całej rodziny jedzenie i niemiecki proszek do prania, i puszki z kawą, w której zawsze znalazło się kilka marek; A moja babcia urodziła się już po wojnie; Moja też po wojnie; Moja babcia była bardzo piękną kobietą.

** Zdjęcia z albumów. Lalka Dziadka dźwiga się z ziemi – siada i patrzy przed siebie; jest sama ze swoimi wspomnieniami. Muzyka...
Po chwili zmienia się charakter sceny – pojawia się rytm.*

SCENA 9. BAJKA O DIOBLE [GAME OF WAR]

** Dźwięki – odgłosy bębnow, może wyjąca syrena; animatorzy zakładają na siebie elementy mundurów, marsz; slajdy z żołnierzami; ustawianie się do fotografii.*

** Scena musztry. Mężczyźni między ustawianiem się do fotografii ćwiczą musztrę.*

TEKST 1. – MĘŻCZYŹNI

MĘŻCZYŻNA 1.:

W prawo zwrot – naprzód marsz; lewa, lewa.

MĘŻCZYŻNA 2.:

Halt! Halt! Hende hoch!

MĘŻCZYŻNA 3.:

Padnij!... Powstań!... Padnij!... Powstań!...

MĘŻCZYZNA 4., MĘŻCZYZNA 5.:

Stój! / Стой! Naprzód! / Вперёд! (Wpierjod!) Ognia! / Огонь! (Agon!)

TEKST 2. - MĘŻCZYŻNI

MĘŻCZYZNA 1.:

Pochodzę spod Mikołowa, dostałem się do armii Andersa.

MĘŻCZYZNA 2.:

Mie z Katowic wzięli do Wehrmachtu, jako radiotelegrafistę w ostatniej chwili przetransportowali mnie na front zachodni z oblężenia Moskwy.

MĘŻCZYZNA 3.:

Wcielony do armii niemieckiej w Orzeszu, przeszedł na stronę wroga!

MĘŻCZYZNA 4.:

Krótko w Wehrmachcie, po odniesieniu ran wrócił do Rydułtów.

MĘŻCZYZNA 5.:

Z Armią Czerwoną wrócił na Breslau, dalej do Głajwiz i tukej nazot.

TEKST 3. - KOBIETY

KOBIETA 1.:

Brat mojego pradziadka i dwóch braci dziadka zginęło na froncie wschodnim.

KOBIETA 2.:

Wujek Alojz skończył ledwo 16 lat, jak poszedł do wojska i nie wrócił.

KOBIETA 3.:

Podobno brat babci od strony mamy wracał po wojnie pół roku.

KOBIETA 4.:

Czekamy na naszych dzielnych żołnierzy: mężów, ojców.

KOBIETA 5.:

Wujka Antka nigdy nie poznałam!

KOBIETA 6.:

Zdolny – niezdolny do służby wojskowej! Wpisz: zdolny!

TEKST 4. - KOBIETY

KOBIETA 1.:

A w 1939?

KOBIETA 2.:

A w 44, a w 45, a w 46?

KOBIETA 3.:

A w 1920, a w 1919, a w trzecim powstaniu śląskim?

KOBIETA 4.:

A za komuny na Wujku? A czołgi na skrzyżowaniu w Zawieści? A wojsko w kopalni?

KOBIETA 5.:

A dobrze było za Niemca? A po co nam ta cała wojna? A do Wiednia daleko?

KOBIETA 6.:

A 81?, a 89? A 2010? A teraz wojna jest? Czy jej nie ma?

**Teksty mogą się powtarzać i przenikać.*

DZIADEK:

Ja jestem szeregowym armii!

MĘŻCZYŹNI I KOBIETY:

Bacność!

DZIADEK:

Ja jestem sierżantem! Spocznij! Szeregowy armii!

MĘŻCZYŹNI i KOBIETY:

Spocznij!

DZIADEK:

Szeregowy! Panie sierżancie, proszę udać się do pułkownika!

MĘŻCZYŹNI:

Tak jest!

KOBIETY:

Tak jest!

DZIADEK:

Ja jestem podpułkownikiem spod Mikołowa i służy śląskiej ziemi – tej ziemi!

MĘŻCZYŹNI I KOBIETY:

Tak jest!

DZIADEK:

I nie ma takiego, co by mi się sprzeciwił!

MĘŻCZYŹNI I KOBIETY:

Nie ma, panie pułkowniku!

DZIADEK:

Teroz siedza na klopsztandze i jem kanoldy, ale jeździło się po świecie!

MĘŻCZYŹNI (*do siebie*):

Ano jeździło!

KOBIETY (*do siebie*):

Dobrze, że rychło wrócił.

DZIADEK:

Byłem na froncie wschodnim i zachodnim, na audiencji i w niewoli, na grubie i w lesie, na balu i niedoli. Wśród Hanysów i goroli, gdzie diabeł mówi dobranoc!

MĘŻCZYŹNI I KOBIETY:

Dobranoc!

DZIADEK:

A to co?

MĘŻCZYŻNA 1. I KOBIETA 1.:

To diabeł, panie pułkowniku!

DZIADEK:

Diabeł tutaj?

MĘŻCZYŻNA 2. I KOBIETA 2.:

Tak, tutaj! Panie pułkowniku!

MĘŻCZYŹNI I KOBIETY:

Mówię dobranoc.

DZIADEK:

A skąd tu przyszedłeś?

MĘŻCZYZNA 3.:

Ze wschodu i z północy!

KOBIETA 3.:

Z Sosnowca!

KOBIETA 4.:

Ze stolicy!

MĘŻCZYZNA 4.:

Z telewizji nakręcić film o familokach i głupocie, i brudnych dzieciach ze Śląska!

MĘŻCZYZNA 5.:

Z Borussia Dortmund po Hajto!

KOBIETA 5.:

Z Ministerstwa Spraw Najważniejszych i Ostatecznych!

DZIADEK:

A to co innego.

MĘŻCZYŻNI I KOBIETY:

Przyszli my po ciebie.

DZIADEK:

Aj, to gorzej...

KOBIETA 1.:

Nie bądź taki markotny!

KOBIETA 2.:

Zarozki coś wymyślimy.

KOBIETA 3.:

Diabeł by chciał ino maszkecić.

KOBIETA 4.:

Mom jo pomysł! Baby i chopy razem – puścimy z powietrzem diabła!

DZIADEK:

Okej, diable! Okej!... Ale nim mnie zabierzesz, diable – ostatnie życzenie! Szerogowy, dejcie mi cygareta! Sierżancie... fojercog!

MĘŻCZYZNA 2.:

Proszę.

MĘŻCZYZNA 3.:

Proszę.

DZIADEK:

Dziękują.

** Dziadek dostaje papierosa, zaciąga się raz i drugi, i trzeci,
i dmucha diablówi w oczy, aż ten w końcu znika.*

DZIADEK:

A... fffuuu... A pójdziesz ty, giździe pieroński. Psińco ode mnie dostaniesz.

A... fffuuu... Ani luftbiksy mi nie trza, ze smogiem citniesz stąd nazot.

A... fffuuu...

SCENA OSTATNIA. COŁKI TEN ŚWIOT

Zaczyna grać orkiestra. Myślę, że powinna to być melodia pogrzebowa – druga część „Marszu żałobnego” Chopina. Orkiestra wychodzi na środek sceny – w ruchu marszowym, kiwając się na boki. Aktorzy, jako tłum gapiów, ale też uczestnicy tego pogrzebu, zbierają się wokół. W trakcie sceny przekazują sobie lalkę Dziadka, może czasem przerzucają nad głowami orkiestry. Inni przygotowują skrzynię, w której na koniec zostanie zamknięta wraz z historią Dziadka jego lalka. Kiedy pojawia się lalka na pierwszym planie, rozpoczyna się tekst, wtedy milknie muzyka, lecz muzycy nie przestają maszerować w miejscu, kiwając się na boki. Udają, że grają na instrumentach. Tekst jest wypowiedany przez tę osobę, która ma akurat lalkę (lalkę mogą też mieć dwie i trzy osoby – a teksty mogą pojawiać się symultanicznie – ad libitum ad piacere). Aktor mówi swój fragment tekstu tak jak potrafi najlepiej i zgodnie z umiejętnościami – czyli jeżeli mówię gwarą, to gwarą, a jeżeli nie mówię gwarą, to nie mówię gwarą.

DZIADEK:

Tego dnia – pamiętom... Budza się bardzo wczesnie. Nie pamiętom już, o czym zech śnił, ale był to jeden z tych diabelskich snów, po którym życie wygląda inaczej. Gdzieś z oddali słyhać było, jak idą z pogrzebem. Ja! Grała orkiestra – teraz pamiętom. Jak miał na imię ten kapelmajster?

WSZYSTYCY (*cicho*):

Edward Struna!

DZIADEK:

Edek Struna! Tako pieśń, kero jeszcze mój dziadek zwykł śpiewać nam jako bajtłom do łobiadu w sobota – wtedy jako mały chłopiec pierwszy roz zrozumieł, co to jest śmierć. Jesteś, a potem nagle cie nie ma. Znikosz, a cołki ten świat kręci się dalej.

Następnego ranka mój dziadek Rudolf poszoł jak co niedziela do kościoła na suma i już nie wrócił nazot. Jak leciała ta pieśń?

WSZYSTYCY (*cicho*) + ORKIESTRA:

Już nie będziesz pił konia-aku,

Bo już leżysz na srruża-aku;

Już nie będziesz pił konia-a-a-ku,

Bo ten świat cie wzywo do zdechłaków.

DZIADEK:

Orkiestra właśnie mignęła pod łoknami naszej chałpy. Podszedłech bliżej i odsłoniłech gardina, kero nadawała się już ino do prania, ale święta dopiero za miesiąc. Więc musi jeszcze chwila powisieć. Tako myśl mnie wtedy naszła! Ale co widza? Droga była mokra łod deszczu i właśnie wyszło słońce. Łorkiestra szła pod górka, w kierunku bramy cmentorza, nad którą jak jakiś dupny łuk triumfalny na niebie pojawiała się tęcza. Wychylając się przez łokno, pomyślałem: „Co prawda deszczu już nie ma, ale warto zabrać paryzol. Nigdy nie wiadomo, kiedy zaś zacznie lać. A i gańba biegać po ulicy jak jakoś zmokło gęś”. I w tym właśnie

momencie, nie wiem dokładnie jak, ale moje ciało znalazło się na zewnątrz, tuż obok Edka Struny i jego muzyków.

WSZYSCY (*cicho*) + ORKIESTRA:

*Już nie będziesz pił konia-aku,
Bo już leżysz na srruża-aku;
Już nie będziesz pił konia-a-a-ku,
Bo ten świat cie wzywo do zdechlaków.*

DZIADEK:

I nagle wśród tłumu zoboczyłem znajome mi twarze, kerych nie wiem dlaczego, ale wcześniej nie rozpoznałem. (*do wnuczki*): Byłaś też tam ty, moje drogie dziecko z przyciśniętym do policzka taszentuchem, pod ramię z...

PAN MŁODY:

Ja, no...

DZIADEK:

I zrozumiałem, że mój świat kurczy się i niczym balon staje się mniejszy i mniejszy. Sklepik na rogu, w kerym zawsze kupowali my krepke na tłusty czwartek, już przestoł być tym samym sklepikiem. Kolory jakoś stały się żywsze, a szybki różowe.

MATKA PANI MŁODEJ:

Jak byliście mali, łojciec zawsze czytał wam bajka o szklarzu i różowych szybkach. Pamiętacie?

DZIADEK:

Tam kaj stoł kiedyś nasz łogród, a kaj potem zbudowali bloki, kończyła się tęcza. Na rogu ulicy, tuż przy wejściu na cmentorz, zniknęły tak z chwili na chwilę dwa domy, a jeszcze to było dobre, niemieckie, przedwojenne budownictwo.

DZIADEK:

Obróciłem się za siebie i zobaczyłem, że nic tam nie ma poza bielą, kero wypełniała teraz wszystko dookoła. Uszczypnołem się w policzek... i pomyślełem: „Co ty chopie w ogóle widzisz, gdzie jest ten cołki świat, kery znałeś od dziecka, a kery teraz wymazali ci z przestrzeni jakąś niewidzialną gąbkom. Co ty fandzolisz, bier się za siebie i ruszej naprzód, za dźwiękiem, za Edkiem Struną, za łorkiestrą”.

DZIADEK:

I w tym właśnie momencie łorkiestra znikła, a potem moja lewa noga i prawa noga, i kolana, i galoty, i ta biała koszula, kero nosi się na niedziela, i ręce, i głowa... I powiedz mi: Jak z tym żyć na tym cołkim świecie? No powiedz. I pomyślełem:

WSZYSCY (*w różnym tempie od siebie*):

*Słońce świeci zawsze, a chmury tylko przychodzą i odchodzą...
Teraz aktorzy znowu stają się sobą, przestają grać.*

Krystian Gałuszka

PLAC: stary zapomniany hauptbahnhof – idzie pedzieć, że to bahnhof w Chebziu
PERSONY: Franc, Hans, Rechtōr, Rita, Szac, Cerm, Zgłō

PIYRWSZO BINA
FRANC, HANS

FRANC (*rozglōndo sie po pusty hali bahnhofu*):

Jeżēs pewny, że tukej my sie mieli trefić? Wyglōndo choby epno tōtynhala.

HANS:

Przeca tukej! Na afiszach stoło jak byk: Stary Hauptbahnhof.

FRANC:

No, stary ōn je, ale żeby ōn bōł hauptbahnhof, tobych nie pedziōł. Tak richtich to ōn niy je ani bahnhof.

HANS:

Ja, richtich, trocha zrōmpłowany, ale na sōm piyrw to bōł hauptbahnhof, na kery przyjyżdżali ludzie z Bytōmia, Zobrza, Zaborza, Rudy, Świon. Ha!, bali z Kochłowic, bo tukej bōł bahnhof piyntrowy. Dolny i wyrchni. Kejbyś sie rozejrzōł, to byś to ōboczył. Jo to widza. Ino ty cōłki czos szkamrosz. Może u cia za mało wiary. A może skuli tego, że z imaginacyjōm je u cia cianko.

FRANC:

U mie w gowie wszysko gro. Różawych bryli mi niy trza, bo ōne w gowie robiōm ino auflauf. Jo mōm ōczy choby laser i wszysko widza take jake je, bez boznōw. Bestōż ta pusto hala mie niy sztimuje.

HANS:

Sōm my tu sami, bo mieli my tu być trzi śćwierci na siōdmo.

FRANC:

Chyba śćwierć na siōdmo.

HANS:

Niy. Trzi śćwierci na siōdmo. Dali my sie jedyn śćwiorciok forantu, bo cug na Atlantyda jedzie ō siōdmy. Czytōlech gynau.

FRANC:

No może mosz recht. To co jo gupi sie tak uwijoł?

HANS:

Może skuli tego, co ci laser wysiod. Ale niy, jak widza, jak na mie filujesz, to tuplikuja, że najbardzi skuli rajzyfiber. Jo tyż tak mōm i bestōż jo sie z tobōm niy wadziōł.

FRANC:

Takiś mōndry, ja? To powiydz mi, czamu tukej na tabuli rajzōw niy ma Atlantydy? Sōm Zobrze, Glywice, Ôpole, bali Berlin. Ale niy ma żodny Atlantydy.

HANS:

Niy ma i być niy może. To je tajny cug. Żodyn ô nim niy wiy.

FRANC:

Hans, co ty fulosz? Jaki tajny? Ciebie bez te filmy sajfaj całkiym pomiyszało sie w łepetynie. Prawie na każdym rogu sōm afisze, kaj rubymi literami naszkryflali: Wszyske Atlanty, kere chcōm jechać na Atlantyda, niech sie stawiōm na Hauptbanhofie ô ty a ô ty. Jeszcze stoło tam, co mogymy ze sobōm wziōńć i tyla.

HANS:

No ja. Ino po jakymu to było naszkryflane, co? No po jakymu? Po atlantycku. To mogli spokapic ino Atlanty.

FRANC:

Kiż pierōna, niy dōłech sie pozōr. Przeczytołech se w swoji godce i myśłołech, że inksze tyż przeczytajōm. (*po krōtki pauzie*):
Ale tak po prowdzie myśłołech, że nos bydzie wiyncyj, bo chyba niy ino my potrefymy czytać po atlantycku.

HANS:

Niy nerwyjs. Mōmy jesczca trocha czasu.

FRANC:

Mōmy abo niy. Jak sie wyjyżdzo na Atlantyda, to sie niy przilatuje na banhof na ôstatni driker.

HANS:

No i zaś labiydzisz. Choby tyn Tomas ôd Jezusicka.

FRANC:

Kery Tomas?

HANS:

Jo już sie boł, że sie zapytosz, ôd kerego Jezusicka. (*richtich gryfny blik Franca*) No dobra, przeca wiysz, że to tyn, kery jak niy wsadziōł palcōw do dziury w śwyntym boku, to niy umioł uwierzyć.

FRANC:

Hans, dej sie luza i ôstōw śwyntyech w pokoju. A u mie wiary dość. Kejby jyy niy było, toby mie tukej tyż niy było. Już niy jedyn roz szkryflali, coby chopy ôd nos mieli sie stawić, a to do roboty, a to na wyjazd i snikali ôni potym choby w Trōjkōńcie Bermudzkim. A jak niykere prziszli nazod, to wyglōndali choby umarloki, co to diosecke pierony cołko krew z nich wysnali.

HANS:

No ja, ale po naszymu naszkryflali piyrwszy roz. I pedzieli tam piyrwszy roz, że mogymy jechać do sia. Spokopiosz?! Piyrwszy roz naszkryflali, że mogymy jechać do sia. I ôbocz, niy sōm my już sami. Inne tyż już idōm.

DRUGO BINA
RECHTÖR, RITA, SZAC

RECHTÖR:

Ale richtich gryfny banhof.

RITA:

Ôjciec, przestõń. Tu sie wszystko suje.

RECHTÖR:

Ech, cera. Ty niy widzisz potyncjału. Taki banhof moge być jak portal abo tajmachina Wellsa.

RITA:

Ja, tajmachina do Atlantydy. I jeszcze co? Ôjciec, co my tukej robimy?

RECHTÖR:

Godõlech. Jadymy na Atlantyda.

RITA:

Przeca couki czos godaliście, że Atlantyda je tukej. To kaj teraz mõmy ji szukać?

RECHTÖR:

Widzisz, cera, tak mi sie nojprzõd zdowało. Ale jak tak patrza no to wszystko, to widza, że jakeś dziady jõm zachabiyli. Czy może lepi idzie pedzieć, że my Atlanty jõm straciyli. Jak zwoł, tak zwoł. Atlantydy tukej niy ma. Trza bestõż sztartnońć. Niy mogymy siedzieć. Couki świot na nos patrzy i czeko na nos. Jak to godajõm, trza ciś do roboty.

SZAC:

Tata ma racje.

RECHTÖR:

Chyba recht, synku, i niy godej mi tata. A tak po prawdzie to powiydz mi borku jedyn, po farena ty sie z nami kludzisz? Niy podobo ci sie tukej?

SZAC:

Podobo. Zdaje mi sie, że tu już wszystko idzie ku lepszymu. Gołym ôkiym widać, że mõmy teroski lepsze szychta. Ale myśla, że na Atlantydzie bydzie mi jeszcze lepi. Bo byda tam z wami i waszõm cerõm.

RECHTÖR:

I bez tego krõmu tukej, niy?

RITA:

Ôjciec, przestõń.

SZAC:

Rita, spoko. Powiydm tak – bydzie mi sie cnić za tym krõmym. I niy ino za nim. Ja, śmierdzieć – śmierdzi, niyroz jedzie jak hauskyjza, co to straciyła sie w byfyju. Gupie ryje gupiejõm jak stõnkane ryle. A chachary w biołych kraglach wynokwiajom jeszcze lepi niż te ryje. Ale ôjciec, sõm to mõje chachary, mõje ryje, mõj smrõd i mõj tyn cały krõm. I jeszcze roz powiydm. Bydzie mie tesno. Co tam. Już mi je, choć my sõm jeszcze na tym banhofie. Ale jada z wami, bo kochõm waszo cera i życ bez ni niy moga. A moja Atlantyda je tam kaj Rita. Co tu godać, trza pedzieć do końca, Rita je mojõm Atlantydom.

RECHTÖR:

Rita! Zrobiłaś kawał richtich maszketny roboty. To je recht, baba moge wszystko. No wszystko. Tyn twój szac w kōńcu godo choby prawdziwy Atlant. Ale synek, jak sie pytosz ô Rita, to padôm – ja.

RITA:

Ôjciec, przestōń.

RECHTÖR:

Jake przestōń!? Karlus szwarnie prosi cie ô rynka, a ty ino te swōje „ôjciec, przestōń”. A tu trza coś pedzieć.

RITA:

A co mōm pedzieć?

RECHTÖR:

No jak co? Ja eli niy.

RITA:

No ja.

RECHTÖR:

Te „no ja” godej do twojego absztyfikanta, a niy do mie.

Rita sie ôdwraco i skoko na Szaca i dowo mu kusika, ale tak richtich.

TRZECIO BINA

CERM, ZGŁO

CERM (*chop trocha taki jak po stypie – wiadōmo*):

No i kaj my to sōm? Bahnhof to eli niy banhof?

ZGŁO (*karlus blank kalny i trocha rozmyty – tyż wiadōmo*):

Wiys ze juz niy widza dobrze. Mioł to być richtich wielgi banhof i tyla.

CERM:

No mały niy je. Ale wynkse juzech widzioł.

ZGŁO:

Niy stynkej. Jechali my tu i jechali. Na niy jednym umarłym banhofie cekali my na tyn cug. Nikere by mōgli pedzieć, ze to my byli kejby dych śmiertki, bo cug zowdy znikoł. Wsyndy my slyszeli ô tym sznelcugu. Ale dopiyo tukej widza tela ludziów, kere wachujōm, coby citnōńc stōnd na Atlantyda. Bestōż wszystko mi tu pasencu.

CERM:

Medykujes, ze nos weznōm? Przeca my niy sōm Atlanty.

ZGŁO:

Niy sōm my Atlanty, ale sōm my choby Atlanty. Pedzimy fto my sōm i ze ino my sie ôstali i ôni zorozki sie pobecōm, a potym wyciōngnōm ku nōm rynce. Bo jak niy ôni, to fto?

CERM:

Moze mos recht. Spoziyrej, machajōm do nos.

ZGŁO:
No richtich. Kaj ôni idôm? Co godajôm? Aaa... na wyrchni banhof lezôm.

CERM:
Põć idymy.

ZGŁO:
Cekej. Tych puść najprzõd. Majôm jakeś transparenty. Na nich stojôm jakeś gu-
poty – KS ATLANTYDA RZÕNDZI.

CERM:
No ja. Jesce niy pojechali, a już rzõndzôm.

ZGŁO:
A te druge co rycôm?

CERM:
Poradzimy! Poradzimy!

ZGŁO:
Ja, z tymi mogymy iść. Ino niy wiy, cy ôni forstelujôm sie, ze rajza na Atlan-
tyda, to niy je wander do tanty Cili?

CERM:
No niy wiy, ale kiwajôm, coby my z nimi sie zebrali.

ZGŁO:
No to lecymy, chopie, lecymy.

SZWORTO BINA
FRANC, HANS, RECHTÖR

FRANC:
Co tam za papiör trzimosz w rynce?

HANS:
Dali mi go te chopy, co to wyglõndali jak dwie śmiertki.

FRANC:
I co tam je naszkryflane?

HANS:
Że cug na Atlantyda pojedzie z wyrchniego perõnu.

FRANC:
No to gibko lecymy tam.

HANS:
Ale ludziska, kere stamtõnd idôm, godajôm, że cug wypod.

FRANC:
Jak wypod? Co wypod? Że tyn cug wypod!?! To je unmyjglich!

HANS:
To je myjglich, bo ôni sõm dość nerwyjs. Jedyn to aż kopie w ściana.

FRANC:
Pierona, niy godej mi tak ôszkliwe! Ino niy to! Przeca niy mogõm nos zaś wy-
ciulać, niy? Hans, padej cosik!

HANS:

Co tu godać?

FRANC:

No jak co? Że pōndymy i nazdōmy im, ale tak richtich. A potym zawlekymy ich do gerichtōw.

HANS:

Niy nerwyjs. To niy je piyrwszy cug, co wypōd. I niy momy anongu, fto za tym stoi. A po prowdzie pieron wiy, czy to niy je może lepi.

FRANC:

Co ty fanzolisz? Co niy wiyemy? Jake lepi?

HANS:

Bo wiysz, może za tym wszyskim stoi jakiś modry krzidlaty.

FRANC:

Modry krzidlaty?!

HANS:

No ja. Taki cug, bajszpil mōg po drōdze slenieć z beszōngu do stowu i tyła by nos widzieli. Abo tyż na cugu mogli napisać ATLANTYDA, a cug mōg jechać kajsik indzi.

FRANC:

Niy godej. Kaj indzi?

HANS:

No niy wiy. Australijo.

FRANC:

Do kangurōw? Tyżeś już całkym ōgup?

RECHTÖR (*kery z boku coły czos suchōł*):

Ōn mo recht.

FRANC:

W czym? Że nos mieli do Aborgynōw ciepnōńć? I tak już nos majōm za Indjanerōw.

RECHTÖR:

Langzam, langzam. Jo tyż je trocha nerwyjs. Ale miyni mi sie, że snadno, moge to być i lepi, że nikaj niy jadymy. Zdo mi sie, że niy trza jechać na żodno Atlantyda. Bo przeca idzie jōm wybudować tukej. Tuplikuja, co prawdziwo Atlantyda je tam, kaj sōm Atlanty.

FRANC:

Już roz była tam kaj Atlanty. Ino wyleciała do luftu. Ō tym już szkryfloł stary Platon. A poza tym godajōm, że nos niy ma, to jak Atlantyda mo być tam kaj my sōm?

RECHTÖR:

Te godki ō tym, że nos niy ma, to forszteluja, że to je ta trzecio prowda, ō kery godōł ksiōndz Tischner. A ō to, jak sie mo mianować nowy hajmat, tobych sie niy wadziōł, niych to je, dejmy na to, Nowo Atlantyda.

FRANC:

Nowo, ja? Richtich ciekawe? A kaj niby mieli by my zaczōńć ta budowa tyj Nowy Atlantydy?

RECHTÖR:

Tukej.

HANS:

Kaj tukej?

RECHTÖR:

No tukej, na banhofie. Idzie z niego zrobić biblijotyka. Tako biblijotyka to już sama choby ajnfart do Atlantydy. A jak sie dobrze za to zabieremy, to wyleje sie z ni cołke dobro, bo ôna umi kôzdego przerobić na Atlanta. Jak to godajôm, trza wziôńść sie do roboty.

HANS:

Kto to widziôł, coby z banhofa robić biblijotyka?

RECHTÖR:

Jo widziôł.

FRANC:

No ja, biblijotyka to je cały kosmos, już Borges ô tym godoł. A jak wszystko dobrze poukłôdômy, to bydymy furgać kedy chcymy i kaj chcymy. Choby na Atlantyda i nozôd. Ino jeszcze bydzie musiało sie Atlantom chcieć wlyż do takigo maszketnego ajnfartu.

RECHTÖR:

Yntlich.

ERWIN I PÖNBÓCZEK

Aleksander Lubina

ŌSOBY:

ERWIN, jego baba HYJDLA,
PÖNBÓCZEK,
chöpcy Pönböczkowe: djöbły ANZELM i WIESŁAW
(po prowdzie mianuje sie inakszi, nale to polityczne riziko),
cery Pönböczkowe: anieylice ZOFIJA i GRyjTA,
a tysz PÖNBÖCZKOWO – baba Pönböczka

MIYJSCE:

Erwinöwo izba, ökno, na fynsterbrecie topfy z kaktami, szteresy, förhangi, stöł, na stole kwiötki, przede stöłym zydel, höker, pode hökrym ryczka. We köncie ży-lazne łuszko, nade łuszkiem Śwynto Rodzina, köle łuszka nachtisz, na nim szisla i zbönek, könssek sajfy, po lewyj söm dźwyrza na schody, po prawyj do kuchni.

Do izby włazi Erwin w szlafancugu i ze kibłym w rynce. Stöwio kibel za łuszko i siado na łuszku. Ściöngo lewo fuzekla, wönio jöm i döwo na łuszko, ściöngo prawo fuzekla, wönio jöm i döwo na łuszko. Patrzy na nie, biere do rynki, zwijo i ciepie na höker. Patrzy na prawo nöga, öglöndo i czyści miyndzy paluchami – wönio palec. Patrzy na lewo nöga, öglöndo i czyści miyndzy paluchami – wönio palec. Na wyrchu nad Erwinym durś coś abo wtoś sie trzasko. Erwin patrzy na wyrch. Klasko w rynce, wartko klynko na löjfsze i rzyko po cichu ize öpuszczonom gowöm, rynkami na piyrsi i zawartymi öczyrna... Z rzykaniem je fertig, wali richtig pörzondny znak krziża, lygo do łuszka i ödzywo sie:

ERWIN:

Oj, Pönböczku, Pönböczku. Pönböczku Ty möj! Rzykom, rzykom do cia i rzykom. Kiyj niy rzykom, to tysz rzykom. Ino stana, a zarözki rzykom, we ślypiach jeszcze piöch, a jo już rzykom. Śniadöm, to sie żegnöm, w robocie rzyköm – tysz sie żegnöm, we Aniöł Pański rzyköm, na wieczör rzyköm, na noc rzyköm. A Ty mie niy lubisz, oj niy lubisz! Czamu Ty mie niy mösz röd, Pönböczku Ty möj röztomyły? Żyja w zgodzie z Twöjymi prziközoniami: dwiema prziközoniami miłöści, dwiema prziközoniami natury, dziesiyñciöma prziközoniami Bözymi i piyñciöma prziközoniami köścielnymi. I cö? I cö? I nic! Röbia, jako chcesz i se życzysz, co jo möm wyncyj röbić, cöbyś mi pszöł tako, jako jo Ci pszaja.

Słychać klupanie, fest rumplöwaniny na wyrchu i wtoś z wyrchu ryczy:

PÖNBÖCZEK:

Erwin, co ty tak larmujesz. Mom tego doś. Nerwujesz mie i nerwujesz. Wytrzymöłzech rök, dwa röki, dwa miysönce, dwa tydnie i nöstympných sto bych wytrzymöł, nale dzisiök, dzisiök möm doś. Za wiela tego naröz. Tela mösz tych

przikôżoń, iże jo by sie tysz w tym pōtracił. Tela tych twōich wyrzutōw sumiy-
nia, jakbyś ino ty miōł sumiynie. Tela tego twōjygo labiydzynio, ślintanio, tych
żałōw gōrzkich. Na cōłki familōk by tego stykło. Ida tam do ciebie, utrōpo ty
jedno, bo mōm tyj twoi godki doś i tego twōjego larmōwano.

Piyrońskie klupanie do dźwiryzy. Erwin leci drap w laciach i szlafancugu i ôtwiroy.

Tyn iże wiyrchu słoż do Erwina w laciach i ôwerolu z napisym iże przōdka:

Pszaja Hanysom, iże zadku:

kiej niy labiydzōm. Kiej seblece wiyrch, to na tresku iże przōdka mo:

Hanys to majster, iże zadku:

we fanzolyniu.

ERWIN:

To wy? No paczcie, wyście mie nawiydzili. Niy może być. Niy wierza. Siednij-
cie se. No jo sie inō ôbleka.

PŌNBŌCZEK:

Szlafrok wystarczy, bo tyn szlafancug mōsz tu i tam ubabrany.

ERWIN:

Niy gniywejcje sie. Napijecie sie jednego. Tako okazjō. No dobre, dobre. To chōcia
może tyju. Jo sie ino pytoł.

PŌNBŌCZEK:

Mōsz mōżno jakiego krupnioka abo preswuszt?

ERWIN:

Dyć, dyć, mōm. Zarozki prziniesia ze kuchni.

PŌNBŌCZEK:

No to leć, a gibko.

ERWIN:

Ino wiyecie – piōntek.

PŌNBŌCZEK:

Co piōntek?

ERWIN:

No piōntek.

PŌNBŌCZEK:

A... piōntek. Piōntek, padōsz. Erwin, niy gupiyj, tyś emeryt, jo emeryt, nos to
niy ôbowionzuje – n i y ô b o w i o n z u j e.

*Erwin ciśnie do kuchni. Pōnbōczek przyglondo sie izbie. Wyciongo halba i dwa
kieliszki z nachtiszsa, stōwio na stōle. Erwin przilazuje iże kuchni ze zimnymi
krupniokami i preswusztym, talyrzami, nożami i widelkōma. Stōwio to na
stole. Erwin paczy na halba i nalywo do dwōch kieliszkōw. Do jednego po rant,
do swojego trocha. Pōnbōczek chyto za flaszkã i leje Erwinowi tysz po rant.*

ERWIN:

No to pyrsk. Tako ôkazjo. No to na zgoda. I wiyecie, joch niy labiydziōł, niy la-
biydziōł, niy labiydziōł.

PŌNBŌCZEK:

Te, Erwin, ty sie miarkuj. Wierzysz we mie, to wiysz, że jo sie ôszydzić niy mōgam,
bo wiysz, jo je nieōmylny, nieōmylny. Tyś labiydziōł, tyś labiydziōł niy piyrszy

roz. Kiej tak na ciebie kukōm, to ty mosz te labiydzynie ôd dnia stwōrznia w gynach. Po tym istnym, po tym Hanysie, co ô niym gōdajom Adam. Wiysz, s tom glinom to niy cołkiym prowda. Jakech lepiōł tego Hanyska, to wiysz, tam w tyj glinie bōło niymało marasu.

ERWIN:

Marasu?

PÖNBÓCZEK:

Dyć gōdom – marasu! Marasu! No gōwna.

ERWIN:

Chcecie pedzieć, iże z tym Adamym cyganiōm?

PÖNBÓCZEK:

Zarōzki cyganiōm, cyganiōm! Trocha imie zmiynili – i tyła. Adam eli Hanys, dyć to egal.

ERWIN:

To Wyście nos stwōrzyli...? I po naszymu gōdocie...

PÖNBÓCZEK:

Dyć mie chytōsz, eli niy? Nalech sie w pora pochytōł s tym marasym i babych już niy lepiōł.

ERWIN:

Adam eli Hanys, dyć to egal... No dobra, wybōczom, niych bydzie...

PÖNBÓCZEK:

Niy ma tak, Erwin, niy ma tak – niych bydzie. Niy ch bydzie se pōwiy, niych bydzie. Ty se to tak forsztelujesz: Widza go, widza go, bo je bliżyj, to se mōga pozwolić.

ERWIN:

Kaj tam, kaj tam, to niy tak... Ciynszko Wōm uwierzyć, ciynszko...

PÖNBÓCZEK:

Erwin, Erwin, zaś napoczynosz, mom ci dać znak?

ERWIN:

Niy, niy Pōnbóczku Ty mōj, ino niy to, jużeście dali za tyła – tych znakōw. Mie tysz. Za tyła! Piyknie dziynkuja – nale styknie.

Erwin nalywo do dwóch kieliszków. Do jednego po rant, do swojego trocha. Pōnbóczek chyto za flaszkę i leje Erwinowi tysz po rant.

PÖNBÓCZEK:

Erwin, to bōły jeno prōby, prōby, godōm ci – prōby.

Erwin zakryncę flaszkę i stōwio jōm do szranku.

ERWIN:

To były ino prōby, ino prōby? Godōcie, co to były ino prōby? To mie te Wasze prōby do usranj śmierci styknōm. Ino prōby, ino prōby. A jo to jarzmo, ta ostuda...

PÖNBÓCZEK:

Erwin, jo ci gōdom, przestoń labiydzić.

ERWIN:

Przca jo nijak niy labiydza. A co, niy mōgbych? Co? Tak po prōwdzie niy mōm powodōw? Co, niy?... Joch niy labiydziōł, coch sie tukej rōdziōł, a żić tukej ciynszko. Joch niy labiydziōł po żyniacce, jak moja wata z bistrynhaltra wyciongła

i gybis do szólki na nachtliku wraziła. Takōście mi dali Hyjdla. Jo wiy, Wy wiyce, bo Wyście sōm wszystkowiudzōncy. Dobre, niych Wōm bydzie, niych Wōm bydzie, nale tera jo sie wygōdom, tera jo sie aby roz wygōdom, a potem rōbcie, co chcecie. Jo niy labiydziōł, kiej mōj nōjstōrszy sie ryży urōdziōł. Ryży, ja... ryży! A niby po kim ryży, dyc niy po mie? Co sie tak lachōcie. Dyc wiy, iże mom glaca. Wiktor sie nawet glacaty niy urōdziōł, nawet glacaty niy. Ōn sie ryży urōdziōł... Ryży, a Wy wiyce czamu, wiyce, bo sie gupio śmiyjecie. Cicho, terōzki jo gōdom, jo tu po naszymu rzōndza – chytōcie to, bo jo wiy, czamu Wy sie śmiyjecie, bo Wy musicie wiedziec, co Helmut... Ja, tyn Helmut od Nalasków je ryży. Tyn, co sie potym wyświynciōł.

PÖNBÖCZEK:

Wyświynciōł?

ERWIN:

Wyświynciōł niy wyświynciōł – jakiś tam uniform wdziōł. Sutanna niy sutanna, fojerwerok eli ksiondz – oba ogniy straszōm. Co zaś lepiyj wiyce?

PÖNBÖCZEK:

Erwin, Erwinku ty mōj, gōdej, gōdej, przezywać nawet mōgesz, boch sie dōwno tak niy uśmiōł. Helmut od Nalasków sie wyświynciōł? A do czego mi wyświyncōny ryży? Jo by go do kōnwersji przekonōł. Co to za werbung do mie – ryży ksiōndz.

ERWIN:

Ksiōndz, biskup ? Co to mo do rzeczy?

PÖNBÖCZEK:

Ichnie parafie sōm mōje, parafie ja – plebanie – niy. Ryży Helmut moim wikarym – no Erwin, nawet jo niy pōradza se tego przedstōwić. Niy, ryżych niy mōm. Rōztomaite gizdy na mōje urzyndy sie wcisły, nale ryżych niy mōm. Ryży ksiōndz – mōżno jeszcze z kōziom brōdkōm? Mōżno jeszcze karytōm z bōjki mō wandrōwać na nabōżyństwo? Erwinku, Erwinku, alech sie uśmiōł. Ryży, z capiōm brodom, we bani, jako we halōlyn.

Erwin paczy, a Pōnbōczek drugiego se chlapnōł, tak na eks, a Erwinowi niy polōł.

Kiej sie Pōnbōczek zmiarkowōł, to polōł siebie jeszcze rōz i nale Erwinowi ino pōł.

ERWIN:

To jo pōnda i coś do jydzynia zrōbia...

PÖNBÖCZEK:

Dobrze ô ciebie świadczy. Niy trza, niy trza. Jo pōradza bez jedzynio. Jo wiewa pōradza. Prizdzie twōjo, to cosik na ciepło zrobi, abō jako szałōt, abō co.

ERWIN:

Skōndy wiyce, iże jo je žyniaty?

PÖNBÖCZEK:

Erwin, Erwin...

ERWIN:

Ja, ja, wiy, wiy. Wyście sōm wszzechwiydzōncy. A skond wiyce, iże dobry szałōt robi, przeca niy kōsztōwaliście?

PÖNBÖCZEK:

Erwin!

ERWIN:

To jo poleca.

PÖNBÓCZEK:

Ôd lôtania to jo môm innych. Dyc wiysz. Ty przyniyś jeszcze jakiego žymlôka, na ciepło, na ciepło, môżno i dwa.

ERWIN:

Przekõnalibyście Helmuta do czego, bo niy chytôm?

PÖNBÓCZEK:

No cõby do kõnkuryncji przeszôł.

ERWIN:

Co žeby zrobiôł?

PÖNBÓCZEK:

No, religia abo nawet wiara zmiyniôł.

ERWIN:

A do sie tak?

PÖNBÓCZEK:

Erwin, przypõminôm ci – jo môgam wszystko, wszystko i nawet wiyncyj.

ERWIN:

Ale bych fajrowôł, alebych sie radowôł, jo bych Wom z wdziynczności na sto mszów dôł.

PÖNBÓCZEK:

Niy trzeba, niy trzeba. Przinieś te žymlôki!

ERWIN:

Sõm wiy, iże niy musza ani jednyj. Nale kiej sie tak przedstawia Erwina jako ryżego rabina, to no... To gõdocie, iże on, gõrol jedyn, niy w unifõrmie. To dobrze, to richtig dobrze.

PÖNBÓCZEK:

We unifõrmie, we unifõrmie...

ERWIN (*iże kuchni*):

A jednak, a jednak! I jo mom wierzyć w Waszo dobroć. I jo... Ale Wyście sõm, wiyecie! To niy je w porzõndku.

PÖNBÓCZEK:

W unifõrmie listõnõsza. W unifõrmie listõnõsza.

ERWIN (*iże kuchni*):

Briftryjger, briftryjger, dobre, dobre, a kaj robi? Dejcie pomysleć... Już wiy. Już wiy kaj. Już wiy! We śródmięciu, we śródmięciu.

Erwin nazõt ze kuchni, stõwio talysz na stõle.

PÖNBÓCZEK:

Jako to – wiysz?

ERWIN:

Wy wiyecie, jo wiy, ino te gupie chõpy w cyntrum niy wiedzõm. Helmut, Helmut – no to mi trõcha przeszło. Ale inõ trocha. Bo jo niy labiydziôł. Interessant, jakõbyście Wy gõdali, kiejby Waszym sztajgrym, no Waszym przełõżonym, ôstôł jaki, jaki... dejmy na to jaki bõg z mitów greckich, albo jeszcze gorzyj

– jaki półbożek – i to wcale niy Herkules i niy Achilles. Dejmy na to taki mały Minosik, a nawet niy Minosik, a taki blank malutki Minotaurek, taki malutki, z wiecznie czerwonymi oczami i z wielgimi krzywymi rogami, taki mały Minosik, co mu z gymbi i szlapów jedzie. No ciekawe, co Wy byście na to pedzieli?

PÖNBÖCZEK:

Erwin, co to mo do rzeczy?

ERWIN:

Co to mo do rzeczy, co to mo do rzeczy? A pamiyntöcie łónskiego roku kogoście zrobili moim sztajgrym? Niy gödejcje, iże niy pamiyntöcie! I tak niy uwierz. A skönd to ön boł rodym tyn kurduplowaty sztajger? No tego toście mi mogli oszczyndzić. To niy bōło boskie świństwo. To bōło ajny grōłse szwajneraj. O, i tyła, ajny fest grōłse szwajneraj.

PÖNBÖCZEK:

Erwin, ty do mie po niymiecku, ty do mie po niymiecku! Niy pōzwolej se! Po toś dostōł tako fest piykno gödka do przeziwania, cobyś na mie po naszymu przeziwōł. A ty do mie po szwabsku. Toś se terazki narobiōł. To jo ci udowodnia, jo ci udowodnia. Anzelm, Anzelm, cu mir, cu mir! Zōłfort! Chcesz po dojczu, to bydziesz miōł po dojczu. Bydziesz miōł hōłchdojcz i gyjtedojcz. I ty, Wiesławie, do mnie, do mnie, natychmiast. Niech sie Erwin również w literackim polskim przekona.

W tyjatrze ruch, z kontów za publikôm gnajôm dwa djöbły – no djöbły to za dużo powydziane. Dwa djöbōłki, takie djöbōłki kurdupelki. Je to problem do tyjatury – to djöbły mogôm być ciełśnie ôkazalsze – kosztyl cyynkiyj aluzyji.

WIESŁAW:

Panie, wzywałeś mnie, domysłam się, że nie bez przyczyny. Czy jest jakiś powōd, do kerego nie wymieniasz mego prawdziwego imienia?

ANZELM:

Mein Herr... Pardon, majn her.

PÖNBÖCZEK:

Przestōń mie tu herōwać. Niy ma tukej zōdnego hera ani zōdnij hery. To niy je tragedyo eli opera, ino naszo kōmedyjo istno. To i gödej po naszymu. Suchejcje, jo by wos przy rōbocie niy sztyrōwoł, boch widziōł, coś ty Anzelm za myśli tymu synkowi tam, no tam tymu, co tam na zadku siedzi, podsuwōł – spojrzjy se ino na jego galōty. A ty, Wiesław, zaś żeś pieśni patriotyczne tym dwōm tam z fitnessklubu śpiywōł, co tukej do tyjatury prziszli szpiclować i dōnosić. Wybōczcie, djōski wy mōje, nale sprawa je doś pōważno. Powydzcie temu tu Erwinowi, jak jo mōgam wos użyć, coby taki podciep jak Erwin, taki lewus, doprōwdy richtig labiydzic mōg.

Anzelm, ty piyrwszy, a dawkuj mu. A ty, Erwin, pōlyj, bo ci sie przido. Na trzeźwo to sie ze strachu zesmolisz.

Erwin siyngō po flaszka – a ôna prōžno.

ANZELM:

Erwin, ty sromoto, terazki tysz mosz niyfart. Bydziesz cierpiōł bez zniyczulynia.

PÖNBÓCZEK:

Anzelm, dej sie pokōj z tom didaktikom. To moja robota i Pyjtra, ty mōsz Erwina pōrzondnie nastraszyć, coby juź niy labiydził na swōj los.

ANZELM:

Jawôłł majn her...

PÖNBÓCZEK:

Anzelm!

ANZELM:

Wybōczom, juź gōdom w kulturalnyj gōdce.

PÖNBÓCZEK (z *przekōnsym*):

We etnolekcie! We etnolekcie! Przeca żeś to sztudierowōł na tych naukach politycznych na Usiu, eli niy?

WIESŁAW:

Myśmy to przerabiali kilka razy. Nauczyłem się na pamięć. Teraz przez sen recytuję: „Śląski jest dialektem polskiego. Dobry Ślązak to dobry Polak. Śląska to może być tylko kiełbasa”.

PÖNBÓCZEK:

Wiesław!

WIESŁAW:

No co, też chcę, aby mnie ktoś lubił.

ANZELM:

Richtig, richtig, terōzkich se wspomniōł. To niy je problem. Dobre, dobre – byda straszył po naszymu. Ino to ciupka ciynszkie. Po naszymu leko przeziwać, labiydzić i fanzolić – ciynszko straszyć. Erwin se pomyśli, iże jo mu wice łosprawiom.

WIESŁAW:

To ja cie wesprę!

ANZELM:

Pōnbōczku, może mie Wiesiek wesprzeć?

PÖNBÓCZEK:

Najpiyrw ty, Wiesław potym. Nacznij wreszcie, bo Erwinowi sie ode tego czekanio juź zimno robi.

ANZELM:

Dobre. Siednij se, Erwinku, siednij se. No, dobrze siedzisz. Ôprzi rynce na stōle, nōgi mōcno na ziyimi... Zawrzyj ôczy...

ERWIN:

Anzelm, wy mie za bozna robicie?

ANZELM:

Zawrzyj ôczy! Przeniōs żech cie na ôktōberfest – pijesz biyr, jedyn, drugi, trzeci, chce ci sie – a tu niy ma kaj. Lecisz do ustympu – a tu cwaj ojro!

ERWIN:

Anzelm, ty wieprzku!

Kōle Erwina robi sie mokry flek.

ANZELM:

Gōdōł ci Pōnbōczek, co niy mosz labiydzić, gōdōł ci!

WIESŁAW:

Nie ujdzie ci tak na... łatwo. Teraz ja przeniosę cię na marsz. Postawię ci drabin-
kę i będziesz przemawiał na Krakowskim Przedmieściu po śląsku.

ERWIN:

Niy, ino niy to, ino niy to. Przeca ôni mie zaczasnôm.

WIESŁAW:

A tam zaraz zatrzasną, zatrzasną. Pochylisz się przed nimi i będzie OK.

PÖNBÖCZEK:

Dejcie mu pokôj. Dejcie mu pokôj. A ty, Wiesiek, wspömnij se, jako to kończôm
te, co dwôm panôm suzôm.

Pönböczek wyciąga mobilniok, trzymie chwila przy uchu i na kôniec godo:

PÖNBÖCZEK:

Kero tam? To ty, Zosiu? Kaj jo je? Na dôle. Na dôle, u Erwina. Môm tu sprawa.
Kiedy byda na wyrchu? Jak przida, to byda. A co, starôs sie? Przeca mie sie nic
stać niy mōge. Wy tu mōcie przinść, i to gibko, gibko, bo jo czekôm, a wiysz –
jo mōgam wiecznôść całko czekać, wiek, rok, ale terôzki ani chwili dużyj. Ani
chwili dużyj. Suhej, ino ściöngnijcie krzidła, bōście tam na wyrchu, kiej mie
niy bôło, przed tymi nōwymi kolyzönköma sie asiły waszôm anielskōsiom. Niy?
No patrz, niy. A ty co se myślisz? A ty myślisz, kiej mōj aniöłek cygani, to to niy
je grzych? No niy, aniöły niy grzyszôm... Aleś se fultnyła. Wiysz, coś mie tu niy
gro, nale cie przeca za takie małe cygaństwo z familiji niy wyciepna. Mōgesz to
odkupić. Ściöngnijcie krzidła – ty i Gryjta i lećcie, co jo godom, i idźcie do gy-
szeftu. Tak coby mama niy zmiarkowała. Do gyszeftu po trzy halby. Toż gödom,
ja, trzi. Przinieście je do Erwina. Piyntro niżij. Bo tak na sucho ciynszko z nim
godać, coby pochytoł. No na te wasze szaty coś naciepcie. Wiym, wiym, żeście
bezcielesne. Jo to wiym. Tu sôm chöpy. Öne jak niy widzom, to jeszcze barziyj
grzyszom. W tyjtrze my sôm, tukej trefisz chöpy z wyobraźniom, to jeszcze go-
rzyj. Przeca widza, co w öczach majôm. No to naciepnijcie coś na szaty. Coś ty,
ino niy to! Zakonnice idom po trzy halby? Co by na to Pjyter przy windzie pedzi-
öł? No to by Pjyter miöł używanie. Abo gorzej – jeszcze by sie wprosiöł. A tyn
ślepie, oj, ślepie, aże mu uszami wycieko. A co jo mōga z takim apostöłym, co
jo moga – nic. Trzi halby, no i gölonka. Niy, niy godo sie gölonko. To ino my tak
gödomy. Ajzbajn tysz niy. Jakby to bôł ichni sklep, to niy kupuj halby i ajzbaj-
nu, tylko połöweczkę i göloneczkę – trzy połöweczki, trzy połöweczki i gölo-
neczkę. Takie majom być, jako nōgi tyj jednyj pani ize Wiyjskiej. Te za ladöm
już wiedzom, keryj pani. No a terôzki drapkö. Czekomy na wös. Zaroz bydom.

ERWIN:

Jo Vos niy poznaja.

PÖNBÖCZEK:

Wiysz, tak godosz, kiejbyś mie kiedy poznać chcioł. Tyś ino suchoł o mnie, ob-
razki oglöndoł, a mōje słowo żeś citoł? Tysz niy. Bo ciebie lyn tropi. Mało czy-
tać, wiela godać. Labiydzić i labiydzić. Majom cie zaś postraszyć?

ERWIN:

No niych straszom! Najwyżyj sie jeszcze... A co, niy mōm na co labiydzić? Niy mōm?

ANZELM:

To jo mu pōłōsprawiom, jako to dobrze przede wojnom bōło, abo jaki wic, jako to powstańcy pitali.

WIESŁAW:

To ja też, to ja też. Wyniosę go na hałdę i pokażę mu, jak tu czysto, jakie tu powietrze zdrowe – jak tu będzie jeszcze czyściej i jeszcze zdrowiej, jakie tu zbuduję muzea, jak tu ulice się będą nazywały.

ERWIN:

Suchej tych puloków, suchej! Jako tu żyć? Jako tu żyć?

PÖNBÓCZEK:

A na co byś jeszcze chcioł. Jo te twoje labiydzyne znom na pamiyńc. Przeca ty labiydzisz durś a durś.

ANZELM:

Napoczynom straszyc. Erwin, dej pozór. Przedstow se, iże mosz pić sznapsa.

ERWIN:

Pönbóczku, co sie tyn niymiecki tojfel tak rozochocił.

PÖNBÓCZEK:

Anzelm, dej pokōj. A ty mie, Erwin, niy szantażuj, iże to niymiecki djöböl. Wiysz, djöbły takie eli inne to je moja sprawa. Öne sōm iże mōjego piekła. Z djöblami to jako iże ludziskami. Sōm takie, co wyńdom z familökōw i wyńdom na ludzi. Za ludzi jo ödpowiadom. A sōm i takie, co familöki öpuszczom, a familöki ich niy. Za takich jo niy ödpowiadom. Zawdy östanom soroniami, co w hażliku ryncie myjōm i kōmbinujōm przede sōndym östatecznym, jakby mie ökpić. A to sie niy do. Niy do sie, niy do. Sōm z familökōw, a godajōm, co sōm ze Ślōnska. Udöwoczy je wiyncyj. Weż takiego Pyjtra, wyböczom, Piotra – windziörz, roz je na wyrchu, roz na dole – a wpiyro, iże ön niy mo recht. A ön niy mo ani recht, ani links - ino göra döł, göra döł, göra döł.

ERWIN:

Co do tego mo winda? Co do tego majom familöki?

PÖNBÓCZEK:

Bo wszystko bōło, je abo bydzie iże familökōw. Dyc jo tego piyrszego Hanyśa na hōżzie lepiöł. Co jo za to mōgam, iże jedyn ze familökōw chce być dobrym Pölokiym, drugi chce być dobrym Ślönzokiym, inny Niymcem, a styknie być recht człowiekiym – babōm abo chōpym.

ERWIN:

A jö jaki, jaki jö je?

PÖNBÓCZEK:

Suchej ino, Erwin, byda do ciebie döbry... No tröcha lepszy. Erwin, dom ci szansa. Siednij se. Niy klynkaj tak ciyngiem, siednij se tak köle mie, patrz na mie. No

gōdom ci, siednij se i wejrzyj na mie, tera ci nic niy zrobia. Mōm ino jedno pytanie. Jedno jedyne. Czamu ty im tak bez wazeliny do rzici włazisz?

ERWIN:

Kōmu?

PŌNBŌCZEK:

Erwin, Erwin, przeca wiysz, bo jo wiym, iże ty wiysz.

ERWIN:

Kōmu? A... im.

PŌNBŌCZEK:

Jo je wszecchwiydzōncy, a sie w tym traca, to ty chcesz tak richtig? No, gōdej. No i po co?

ERWIN:

Wiyecie, kiej sie tak pytōcie, to jo Wōm pōwiym, iże po prōwdzie, jako se tak pōmyśla, to sōm niy wiym, czamu im tak do rzici wlazuja. Niy pōradza se tego sōm wytuplikōwać. Wiyecie, niy gnijwejcie sie, nale tak szczyrze to jo Wom tysz... No wiyecie, kaj wlazuja. A wy mi niy pszajecie.

PŌNBŌCZEK:

Suchej ino, Erwin, to niy je tak, co jo ci niy pszaja. Czamu miōłbych ci niy pszōć? Akurat ciebie? Akurat ciebie miōłbych niy pszōć? Toś sie szajsnōł. Toś sie fest szajsnōł. To niy je tak, co jo ci niy pszaja. Zgoda, jo cie rod niy mom. Wiyncyj, jo cie ani trocha niy lubia. Pszōć ci musza, boś ty je mōje stwōrzynie, nale lubić cie niy lubia. Wiyncyj ci powiym, jak by jo miōł rzić, to jo by cie tam miōł. Erwin, jo by cie miōł w rzici. Aże rzici niy mom i pszōć ci musza, to jo cie, Erwin-ku, nōrmalnie niy lubia. Niy lubia cie, bo ty im do rzici wlazujesz.

ERWIN:

Niy pōradza tego pōchytać.

PŌNBŌCZEK:

Erwin, kurde, mie rōbisz we to, co kōń pode brzuchym nosi?!
*Djōbły cōłki czōs żerōm i ślepiōm. Wtoś klupie do dźwiyrzy.
Wiesław ōtwiyro, wlazujom mōdnie ōblecone Zofija i Gryjta
z tasiami iże witajōm sie iże Pōnbōczkiem, iże resztom.*

PŌNBŌCZEK:

Erwinku, dej im tam za ta gorzoła, bo dziōłchy ze swoich zapłaciōły.
Erwin wyciōngo pōrtmanjy i płaci.

GRYJTA:

Pōnbōczku, to my dō nōs do tych halb skoczmy po kieliszki.

ANZELM:

Prziniēście tysz tam iże kilszranku cosik do zagryziynio. Co tak bydziecie lo-
tać po prōznicy.

PŌNBŌCZEK:

Ōstońcie. Erwin pōndzie, to jego kuchnia, jego kilszrank i jego kieliszki. My se tu ō twoim, Erwinie, zbowiyniu pogodać muszmy, bo mie sie zdo, co jo sōm niy poradza, niy poradza.

WIESŁAW:

Ojejku, ojejku, aż tak źle? Tak źle?

Erwin idzie do kuchni.

PÖNBÓCZEK:

Kiej tyn gupek nazõt przidzie, to wy ciście do mie na wyrch. Jo tukej z Erwinym pögödôm o jego grzychach i przida. Pöczkejcie tam tröcha.

Erwin idzie ize kuchni nazõt i niesie resztki krupniökôw, žymłökôw, preswusztu i napoczynty soik ogórkôw.

PÖNBÓCZEK:

Erwin, jo môm do cia sprawa. Anieylicom i djöbłôm nic do tego. No biercie na wyrch, nych wôm to tam moja na ciepło zrobi i wypijcie za nasze zdrowie.

Anieylice i djöbły bierôm wszystko i idôm na wyrch.

PÖNBÓCZEK:

Erwinku, jo ich tröcha pöcyganił, bô jô je trocha zmachany. Jo sie tu trocha drzymna, a ty, Erwinku, weź nece i leć po jakie sztyry halby, bo dugo gödka przede nami.

Erwin wyciongo pörtmanj i liczy kotloki.

ERWIN:

Na sztyry niy styknie, musicie cosik döciepnöć...

PÖNBÓCZEK:

Jo je istota niematerialno – piniyndzy niy môm.

ERWIN:

A žrecie choby mój szwagier ize Lipin na geburstaku. Cöłki tydziyń pości – po tym pöndzie z byzuchym.

PÖNBÓCZEK:

Tysz tego niy pöjmuja, nale jô je niypöjnyty.

ERWIN:

Mom na dwie.

PÖNBÓCZEK:

To pogödömy mynyj o pöł. Pöł grzychôw ôstanie na zaś.

ERWIN:

Po leku, po leku. Jakie grzychy, jakie grzychy? Co zasi ô tym moim labiydzyniu?

PÖNBÓCZEK:

No ja, bo grzyszysz aże grzyszysz tym...

ERWIN:

Niy, niy, jo labiydza? Jo labiydza? Jo labiydza, a Wy tu na tym ôwerolu co macie?

Erwin seblyko Pönbóczkowi bluza i pokazuje tresiek – obroco

Pönbóczkiem, coby każdy mög przeczytać.

ERWIN:

Möndrości, same durnölotne möndrości, szöwinizmy, szöwinizmy.

Pönbóczek siado zmachany. Erwin ciögnie dali.

ERWIN:

Niy, niy, jo labiydza? A fto dôł Legii elwer w dôliczonym czasie? Jo eli Wy?
A fto uznôł Legii tor ize spalônygo w dôliczonym czasie? Jo eli Wy? I to mo być
sprawiydliwość.

PÖNBÖCZEK:

Erwin, my mieli gôdać ô grzychach – ô twoich grzychach!

ERWIN:

Ô moich grzychach? Ô moich grzychach? Jo labiydza? Jo labiydza? A fto gupie
kabarety po naszymu puszczo we telewizorze? A fto same zicpolki po naszymu
puszczo w radioku? Fto we cajtungach pierdoły o nös pöcisko? Jo? Jo eli Wy?

PÖNBÖCZEK:

To sôm demökratyczne instytucje. Niy môm na to wpływu!

ERWIN:

Tako dymökracja to se rôbcie we niybie. Tu mo być möndro dymökracja.

PÖNBÖCZEK:

Toć zech ci szczyrze wyznôł o tym marasie przy lypyniu...

ERWIN:

Kiej wôm sie niy udôł, to go trza bôło wyciepać, wyciepać, dyc wycie, kaj wyciepać.

PÖNBÖCZEK:

Toch te sztyry pierwsze gorsze mödele wyciep.

ERWIN:

Sztyry? Sztyry? To Wy niy poradzicie nic porzöndnie stwörzyć?

PÖNBÖCZEK:

Sztyry. Jednego zech wyciep na west, drugiogo na ost i tak dali.

ERWIN:

Töście naröbieli – my sôm ötoczone! Ötoczone marasym. O kurde.

PÖNBÖCZEK:

Co jö ci na to poradza? Jö to robiöł piyrszy roz!

ERWIN:

Tego sie niy do zrobić po naszymu?

PÖNBÖCZEK:

Kiejby niy bôło po naszymu, to by bôło jeszcze gorzyj. Idż jusz, Erwinku, idż,
boş mi tak dokuczyl, co na sucho ciyszko być bytym wiecznym.

Erwin poszöł. Pönböczek klupie miëtłöm w deka.

Wläzom Gryjta, Zofjta i Pönböczkowo.

PÖNBÖCZEK:

Biercie sie do roboty!

Ödystönajö m ökno, förhangi, szteresy – lecöm stym do publiki i şpiywajöm:

Nic tukej niy ma.

Şciöngajöm topfy z kaktami ize fynsterbretu – lecöm stym do publiki i şpiywajöm:

Tukej niy ma nic.

Şciöngajöm topfy ize kwiötcoma ze stöta – lecöm stym do publiki i şpiywajöm:

Nic tukej niy ma.

Öbröcajöm stöł, zydel, nögami na wiyrch – lecöm stym do publiki i şpiywajöm:

Tukej niy ma nic.

Wyciõngajõm lewo fuzekla, wõniajõm jõm – lecõm stym do publiki i špiywajõm:

Tukej je troszka.

Õbalajõm žylazne łuszko – lecõm stym do publiki i špiywajõm:

Nic tukej niy ma.

Šciõngajõm Šwiynto Rodzina snade łuszka – lecõm stym do publiki i špiywajõm:

Nic tukej niy ma.

Õbrõcajõm hõker, ryczka nõgami na wyrch – lecõm stym do publiki i špiywajõm:

Tukej niy ma nic.

Wyciõngajõm kibel zza łuszka – lecom stym do publiki i špiywajõm:

Tukej je troszka.

Õbrõcajõm nachtisz kõle łuszka – lecom stym do publiki i špiywajõm:

Nic tukej niy ma.

Šciõngajõm szisla i zbõnek, kõnsek sajfy – lecõm stym do publiki i špiywajõm:

Tukej niy ma nic.

Zaglõndajõm za dźwyrza po lewyj – lecõm stym do publiki i špiywajõm:

Nic tukej niy ma.

Zaglõndajõm za dźwyrza po prawyj – lecõm stym do publiki i špiywajõm:

Tukej niy ma nic.

Wyciõngajõm prawo fuzekla, wõniajõm jõm – lecõm stym do publiki i špiywajõm:

Tukej je troszka.

Słyhać kroki na schodach. Goście zacyrajõm ślady. Klucze w zamku. Prziszoł Erwin, włazi bez klupania. W necu mo dwie halby. Stõwio te halby na stõle. Goście dyskretnie wychõdzom. Erwin paczy strapiony na Põnbõczka – paczy za nimi.

ERWIN:

Czamuście Põnbõczka õbudzili? Wybõczcie, iże tak dugo trwało, alech szwagra trefiõł. I õn mo rõbota do mie.

PÕNBÕCZEK:

Szwagier mo rõbota do ciebie?

ERWIN:

Gynał. Mo robota do mie.

Erwin sznupie w szupladzie we nachtyszu i gõdo:

ERWIN:

Przeca tu bõł! Kaj ona go schroniła. Zawdy sie wraźuje z tym sprzõntanym, a põtym nic niy idzie nõłyżć.

Erwin wyciõngo cõtko szuplada i wyciepuje wszystko na łuszko.

Põnbõczek wstõwo õde stõla i paczy, co Erwin wyrõbio.

ERWIN:

No entich je.

PÕNBÕCZEK:

Co tam mosz?

ERWIN:

Paszpõrt! Paszpõrt!

PÖNBÖCZEK:

Paszpört? Do czego ci paszpört?

ERWIN:

Jada do rōboty?

PÖNBÖCZEK:

Z paszpörtym do rōboty?

ERWIN:

Z paszpörtym do rōboty. Gōdōlech przeca – szwagier mi rōbota załatwił. Ōn mo łeba na karku, jo mōm papiōry – jadymy.

PÖNBÖCZEK:

Kaj to jedziecie do rōboty ze paszpörtym?

ERWIN:

Przeca Wy wycie wszystko, to co sie mie pytacie...

PÖNBÖCZEK:

Chca sie upewnić, eli ty wiesz...

ERWIN:

Jadymy do Szwajcarii.

PÖNBÖCZEK:

A do czego te Szwajcary Erwina potrzebujōm?

ERWIN:

A to pierony te Szwajcary, Pōnböczkowi niy pedzieli, do czego Erwina potrzebujōm.

PÖNBÖCZEK:

Pedzieli, pedzieli. Chca sie upewnić, eli ty wiesz...

ERWIN:

Jo jest bardzo dōbry elektryk. Szwajcary to wiedzom, a Wy niy?

PÖNBÖCZEK:

Možno Szwajcary sie ôszydziōły.

ERWIN:

Godaliście, że bydziecie dobre do mie, a tu sie ze mie śmiejecie.

Erwin biere z łuszka papiōr, wymachuje nim Pōnböczkowi przede oczyma i godo:

ERWIN:

Szwajcary potrzebujōm kōpalnianego elektryka. Z doświadczeniem w chōdnikach o rōżnym przekroju i na rōżnych głębokościach – chōdnikach okresōwo zalewanych wōdom. A wycie, jak płacōm, jeronie, jak płacōm! Szwagier bydzie moim handlagrym i na godzina dostanie 70 franków netto. 70 franków netto! To wiewla jo mōga dostać jako fachman? Tego to jo Wom niy pōwiym, bo Wy przeca wszystko wycie.

PÖNBÖCZEK:

70 franków netto do handlagra. Ō kurde, to je 8 godzin po 70... 560, 560 bez piync szychtów 2800, 2800 dejmy na to po 4 złote to je jakie 12 000 na tydzień. Ō kurde!

ERWIN:

No!

PÖNBÖCZEK:

No miyszkanie musisz odciongnonć i jedzynie. Erwin, drōgo tam?

ERWIN:
A skõndy mom wiedzieć – dõwiym sie. Mieszkanie Szwajcary płacõm.

PÕNBÕCZEK:
Coś kminisz, Szwajcary za mieszkanie płacõm... 50 000 do handlagra...? A kaj to niby te Szwajcary majõm gruby?

ERWIN:
A wto gõdoł, co to bydzie na grubie? Alp majõm doś!

PÕNBÕCZEK:
Mõgam jechać z wami?

ERWIN:
To drogi szpas. Niy ma nic za darmo. Szwagier zapłacił kupa piyniyndzy za ta robotã do nos.

PÕNBÕCZEK:
Wielã?

ERWIN:
Po piyńc. Po piyńc. Po piyńc... tysiyncy... Po piyńc tysiyncy ojro.

PÕNBÕCZEK:
Ojro?!

ERWIN:
Ojro, ojro, kupa piyniyndzy, nale sie werci.

PÕNBÕCZEK:
Piyńc tysiyncy ojro?

ERWIN:
Piyńc tysiyncy ojro!

PÕNBÕCZEK:
Piyńc tysiyncy ojro? Leca wartko na wiyrch i wezma õde moji, wielã mo. Reszta pożyca ode Anzelma i Wiesława i od bab, ino im niy moga pedzieć na co. Bo bydom też chcieli jechać.
Põnbõczek leci na wiyrch. Erwin łazi ze ryncami na plecach, ze ryncami za hołzyntryjgrami, łazi, czeko i gwizdo. Põnbõczek wartko je nazõt.

PÕNBÕCZEK:
No mom. Leko niy bõło. Anzelm i Zofija pożyczyli, bo moji niy bõło – na szczyńscie niy bõło.

ERWIN:
Rachujmy. Je piyńc. Dobre. Terozki sie strãćcie, coby moja sie niy põchytãła, iże przez Põnbõczka õstaje.

PÕNBÕCZEK:
Niy ma gupich. Jo tukej czekõm.

ERWIN:
To czekejcie. Nale zarõzki moja bydzie iże roboty. A õna niyrod boznuje.

PÕNBÕCZEK:
Jo tukej czekõm.
Erwin wylazi, Põnbõczek gasi światło, wlazuje põde łuszko.

*Ćma na scynie. Za dźwyrzōma suchać jakiesik szczyrkanie,
rumplōwaniy, klucze we zamku. Wtoś otwiyro. Włazi Hyjdla.*

HYJDLA:

A ty giździe jedyn co tu rōbisz?

PÖNBÓCZEK:

Jo je Pönbóczek. Na Erwina czekōm.

HYJDLA:

Na Erwina czekocie? Pode łuszkiym? To jusz wiym gynał, czamu Erwin mie tu przisłōł, cobych cie, ôchlaptusie, pōgōniōła. Tyś tam pode tym łuszkiym na co czekōł? Tyś je jaki zbōk? A rałz mi stōnd.

PÖNBÓCZEK:

Pönbóczka wyciepujesz, Hyjdla? To sie, Hyjdla, niy godzi.

HYJDLA:

Jo ci dōm Hyjdla. Jo ci dōm Hyjdla! A znom jo cie? Za jedno se powiy. A idź w pierōny, ty cygōnie. Ty sie myślisz, co jo je jako pofifrano. Niydōczekanie twoje.

PÖNBÓCZEK:

Nale, nale, mōje piyniōndze.

HYJDLA:

A idź w djōbły, dziōdzie ty jedyn, ty haderlōku we ôwerolu. Piyniōndze, piyniōndze, piyniōndze! Mosz tu piyńć zōtych na bryna i spieprzaj dziadu! Przeca wiym, co ty na wyrchu miyszkosz. Panbóczek. Panbóczek. Do mie Bóczek i styknie.

Hyjdla wyciepuje Pönbóczka. Hyjdla sprzōnto, zwoni mobilniok. Hyjdla godo:

HYJDLA:

Ja, ja, wycieplach go, wycieplach. Ja, za chwila, zgasza światło i wyleza do antryju. Na placu dōwno światła niy ma, bo wtoś birna potrzaskoł.

Hyjdla sprzōnto dali. Do izby wlazuje Erwin.

HYJDLA:

Wlazuj, schrōń to do nachtisza.

Erwin chroni cosik do nachtisza. Klupanie do dźwiryzy.

HYJDLA:

Fto tam?

GŁOS:

To jo. No jo... Znōcie mie. Sōmsiadka z wyrchu.

HYJDLA:

Z wyrchu. Niy znōm. Na wyrchu durś sie rumplujōm i trzaskajōm. Niy znōm.

Hyjdla pōkazuje Erwinowi, co mo wlyżć pōde łuszko. Erwin sie tam gramoli.

Hyjdla wyciōngo cosik ize nachtisza i wsadzuje do bistynhaltra.

GŁOS:

Znōcie mie. Gōdałach wom „Dziyń dobry”.

HYJDLA:

Gōdałach, gōdałach... Rōz żeście mi pedzieli. I to z łaski. Bōch na wōs srōdze wejrzala.

GŁOS:

Przestōńcie. Mōm sprawa.

HYJDLA:

Jako sprawa?

GŁOS:

Wōsz chōp mōjego chōpa ôbrabōwōł.

HYJDLA:

Mōj chōp waszego ôbrabōwōł? Mōj chōp niy umiy nawet mi z pōrtmanija na cygarety podpier... zabrać. Mōj chōp ôbrabōwōł waszego chōpa? Mōžno go trōcha za bōzna zrobił. A mōžno swōje nazōt wzion, bo mu sie nalyżało?

Hyjdla wyciōngo piyniōndze i rachuje po cichu.

HYJDLA:

To niby wiela mu wyrabōwōł?

GŁOS:

Trōcha.

HYJDLA:

No wiela?

GŁOS:

Piynć tysiyncy ojro.

HYJDLA (*godo do sie*):

Sztimuje.

Terōzki Hyjdla chroni piyniōndze do majt, ôtwiyro dźwiyrza i wpuszczo sōmsiadka do izby. Ta wchodzi i podaje Hyjdli rynka. Hyjdla sie ôciōngo.

GŁOS:

Mōje nazwisko Bōczek, baba tego podciepa Bōczka, co go wasz chōp ôbrabowōł.

HYJDLA:

A... ja, ja, wyście sōm baba tego Bōczka, co nom żymlōki i preswuszt zeżar. Gości do dom naprosiōł, do nos do dom, bajzlu narobili. Niyfajnie, godom wom – niyfajnie!

BŌCZKOWO:

Żymlōki i preswuszt za piynć tysiyncy ojro?

HYJDLA:

Przeca niy wycie, wiela tego zeżarli – a gōrzoły wiela wysłepali, a sprzōntanie po nich. Idźcie se juź do dom. Jak mōj przidzie, to mu powiy. Bo jo nic niy wiy. Nic a nic. Nale ōn tak wartko niy bydzie nazōt, bo z moim bratym robo-ta naleźli. We Szwajcarii. Wycie, we Szwajcarii.

BŌCZKOWO:

Dobre, to jo pońda, miyszkom na wiyrchu – jakby co. A tu mocie moja wizytōwka. Bo wycie – jo niy popuszczu. Chca te piyniōndze nazōt. To boły nasze piyniōndze, mōjego bracika Anzelma i naszjy dziōłchy Zofiji. Ōni tysz sie dajōm. My jusz takie sōm. Jak my wōs niy, to wy nos na pewno niy.

Bōczkowo wylazi. Hyjdla zawiyro dźwiyrza na klucz. Erwin wylazi spōde łuszka. Hyjdla paczy na wizytōwka. Hyjdla czyto:

HYJDLA:

Magister Jadwiga Bōczek – radna miejska.

Erwin siyngo do szuplady. Szuplada je pusto.

ERWIN:

Kaj sôm mōje piyniōndze?

HYJDLA:

No we Szwajcarii.

ERWIN:

Te, Hyjdla...!

HYJDLA:

Kiej tyś je we Szwajcarii, to twōje piyniōndze tysz tam sôm.

ERWIN:

Hyjdla...!

HYJDLA:

Twōje we Szwajcarii, nasze kaj indzi.

ERWIN:

Hyjdla...! Kaj sôm piyniōndze?

HYJDLA:

Sôm w banku.

Hyjdla pōkazuje na... Klupanie do dźwiryzy. Erwin paczy na Hyjdla, Hyjdla pōkazuje mu pod łuszko. Erwin chrōni sie tam.

HYJDLA:

Kto tam?

GŁOS:

Briftryjger.

HYJDLA:

Co chcecie?

Erwin wylazuje spode łuszka.

ERWIN:

Hyjdla...! Dōwej te piyniōndze? Mōžno to i briftryjger, mōžno i niy. Ściōngej majty i dōwej je sam! Briftryjger briftryjgrym, a piyniōndze majōm być sicher.

Hyjdla ściōngo majty, dōwo je ize piyniōndzami Erwinowi.

Ten sie chrōni nazōt pōde łuszko. Słychać fest klupanie.

GŁOS:

To jo, to jo, briftryjger.

HYJDLA:

Co chcecie?

BRIFTRYJGER:

Mōm coś do wōs, ôtwiryrejcie, ôtwiryrejcie. To je za wielgie na sznicloch – w szparrze sie niy mieści.

Hyjdla pōprawio klajd, gapi sie przeze kukloch. Ôtwiryrō i wrzeszczy ize uciechy:

HYJDLA:

To ty, to ty... takōch se myślała. Erwin, wylazuj. Helmut prziszōł. Abo siedź tam, siedź...

Hyjdla ciągnie Helmuta za rynka i sadzo go na hōker.

HYJDLA:

Siednij se na tym hōkrze. Pamiyntōsz go jeszcze, pamiyntōsz? My go jusz mieli, kiej my w centrum miyszkali. Erwina niy ma, je we Szwajcarii. Mo tam kupa piy-niyndzy i musi dać na nie pōzōr. Wiysz, Erwin niy może nikomu pedzieć, kaj je.

Światło gaśnie. Dalszy rozwój akcji uzależniony od wyobraźni reżysera i aktorów oraz tolerancji publiczności.

RÓŻANIEC

Joanna Sodzawiczny

WYSTĘPUJĄ:

FARORZ

BARCZYKOWO

CESEK ROGO CZ

SCENA I

Fara. Farorz siedzi przy stole i rachuje, liczy i przeliczo, ale nic mu niy pasuje...

FARORZ:

Barczykowo!!! Pozawiyrejcie łokna i dzwierz, wiater dzisioj sakramyncki.

BARCZYKOWO:

Pogoda oszkliwo, a wieje tak choby się same zle do dom cisło. A ze łoknami wom nic niy poradza, szpary we fuczinach take, że trzi palce idzie wsadzić... Już deki na fynszterbretach poukłodałach, ale tu by się już nowe zdały... Ale, farorzyczku, podźcie na wieczerso...

FARORZ:

Zaro przyda, yno skończa to rachować...

BARCZYKOWO:

A co to tak rachujecie? Siedzicie sam praje drugo godzina.

FARORZ:

Abo widzicie, dach w kościele trza naprawić, ściany łodmalować, ale piniyndzy ni ma. I tak ciułom, ciułom i tera licza i mi wylazi, że na tyn dach to prawie styknie, ale na malowanie już niy. Najwyży na bezrok zrobimy i sami widzicie, że o nowch łoknach na farze to mogymy yno pogodać...

BARCZYKOWO:

Eh, farorzyczku, wiela wy mocie staranio... Jak bych miała, to bych wom zaro dała... Ale że ni mom, to wom aby jeś dom... Podźcie.

FARORZ:

A co tam dzisioj mocie dobrego?

BARCZYKOWO:

A żodnych specyjałów, piontek, post, toż mocie chlyb, hekele i krajczek syra. A ku tymu to wom tyju czy malckawy naloć?

FARORZ:

A mie to je blank egal...

Słychać klupanie do drzwi... Farorz stowo, żeby otworzyć.

BARCZYKOWO:

Niy łotwyrejcie!!! Jo mom złe przeczucia... Trzy razy mi się dzisiaj sol rozsuła... A po cimoku to nic dobrego się do dom niy ciśnie.

FARORZ:

A dejcie pokoj. Dziepiero łożiyim pizło, modo godzina, a to można jaki parafianin ze sprawom.

BARCZYKOWO:

Parafiony wiedzom, jak kancelario otwarto, a jakby fto umar, toby zadzwonili. A jeszcze w telewizorze padali, że dzisiaj je tyn... No... Helolin.

FARORZ:

Co je?

BARCZYKOWO:

Helolin... Wszystkie złe moce dzisiaj wyłazom i straszom...

FARORZ:

A przestońcie, to jakieś gupoty...

BARCZYKOWO:

Ale to we tefalenie (TVN) godali...

FARORZ:

No toż godom: same gupoty. *(rusza w stronę drzwi)*

BARCZYKOWO:

Czekejcie... Wezna aby jako nudelkula, a wom przyniesia wody świnycony...

Po chwili przylatuje uzbrojono we nudelkula i fyrlok, a Farorzowi do rynki wcisko flaszcza ze wodom świnyconom. Słychać drugie klupanie, Farorz idzie do drzwi i się pyto:

FARORZ:

Fto tam?

CESEK ROGO CZ:

Jo się nazywom Czesław Rogocz, jo niy ma z waszy parafie... Ale mie się auto zepsuło konsek dali. Mie się zdo, że akumulator wysiod, a zima jak w psiarni... A widziołech, że się u wos świyci, toch przyszoł, żeby się trocha łożrzoć. Puście mie?
Barczykowo kiwo łebom, żeby nie.

FARORZ *(po cichu)*:

Niy mogomy zostawić człowieka w potrzebie... Co by Ponboczek pedzioł?

BARCZYKOWO:

Żeby dmuchać na zimne.

Farorz się yno na nia wejrzoł i otworzył drzwi. Na dworze stoł chop niywyróżniający się szczególnie urodą, tak się pokorniućko odzywo cołki czos:

CESEK ROGO CZ:

Dobry na wieczor, moga wlyż?

FARORZ:

Ja, właż... A je ci co potrzebne? Chcesz kaj zadzwonić?

CESEK ROGOCZ:

Niy, dziynki. Juzech dzwonił, żeby fto z chałpy przyjechoł i mie na kable odpo-
lił abo jaki akumulator przywioz. Przyjadom, yno to trocha zetrwo, a tam zima
jak pieron... Moga wlyż?

FARORZ:

Właż, właż, łogrzyj się... Niy sebuwej się, tak właż... A napijesz się co ciepłego?

CESEK ROGOCZ:

Nojlepi gorki herbaty, bo mi grace tak zziębły, że aż sine...

FARORZ:

Dobre, ty podź za mną do izby, wieczerso momy, to tyż co zjysz... A Barczyk-
owo zaro ci tyju narychtuje...

SCENA II

*Farorz z Ceskiym siedzom przy stole, na stole talyrziki, szolki, jaki
zelter... Barczykowo się co chwila przekrynci kole nich coby
zoboczyć, czy wszystko gro. Podejrzliwie patrzy na gościa...*

FARORZ:

Pojod żeś?

CESEK ROGOCZ (*widać, że taki pewniyjszy już*):

Ja pojod i popił, dziynkuja. Ale wy się mną niy przejmuje... Jo se posiedza i po-
czekom, a wy se robcie swoje...

FARORZ:

A co mom do roboty ło ty godzinie... A tyś skond je?

CESEK ROGOCZ:

Z Leszczyn... Niby niydaleko, ale w taki ziąb to się ani psa z kulawom nogom
niy wyganio...

FARORZ:

A skąd to jedziesz?

CESEK ROGOCZ:

Droga żech mioł do Katowic... Dobrze, że mi tam tyn pieroński haszpel niy stanoł...

FARORZ:

Na grubie robisz?

CESEK ROGOCZ:

Niyyyyy...

FARORZ:

A kaj?

CESEK ROGOCZ:

A wiycie, roz tu, roz tam.

BARCZYKOWO (*pod nosem*):

U szwagra, a szwager roboty szuko...

Chwila ciszy... Koždy zaglondo do inkszego konta izby.

FARORZ:

A tyń twój szwager to na pewno przyjedzie? Bo jak co, to jo cie mogą odwiź...

CESEK ROGO CZ (*wystraszony*):

Niy, niy cza, łon przyjedzie na pewno, yno musioł robota skończyć... Można to jeszcze chwila zetrwo... (*rozglondo się po izbie*) Widza, że wy grocie w szachy...

FARORZ:

Ja, no czasami... A ty grosz? Może partyjka?

CESEK ROGO CZ:

Niy, niy. Jo yno w karty... (*nuci*): „Jak jo chodził do szkoły, uczyły mie rehtory, piwo pić, w karty grać i z dziełchami tańcować...”

FARORZ:

Ha, ha, a mie uczyli paciorka i tak mi już zostało...

CESEK ROGO CZ:

Ale to się idzie leko nauczyć... Pokozać wom? (*wyciągo karty z kapsy*)

BARCZYKOWO:

Farorzyczku, w kartach to je diobół zawarty.

FARORZ:

Eh, Barczykowo... Wy i te wasze powiarki... Możecie do dom już iść, jo se sam dom rady... A to w co by my zagrali?

BARCZYKOWO (*po cichu do siebie*):

Ja... Uhhh... Wy se docie rady... Jo se tam we kuchni szkorupy poumywom i poczekom na tego szwagra.

CESEK ROGO CZ:

A we dwóch yno to we szkata niy zagromy... Idzie w tysionca, ale to tyła czasu mieć niy bydymy... (*zastanawio się i naroz pado*): Już wiym, we łączko... To je proste, roz dwa łącznie...

FARORZ:

Dobra, no to dziel...

CESEK ROGO CZ:

To patrzcie... Momy karty od siódymki do asa... Każdo karta mo swoje punkty. Siedym, łozym, dziewińć i cyjna majom tyła punktów wila łączek. Potym figury, dupek mo dwa łączka, dama trzi, a krol sztyry... As mo jedynoscie. I wy musiecie nazbiyrać dwadziścia jedyn łączek. Możecie mieć myni, ale jak mocie wyncy jak te dwadziścia jedyn, to mocie fora.

FARORZ:

No a jak bydom dwa asy?

CESEK ROGO CZ:

To mocie dwadziścia dwa i to się nazywo Perskie Oko. I to wygrywocie. To co, zaczynomy? (*Farorz kiwie, że ja*) Gromy we dwóch, jo je bankier... Wy grocie, jo tasuja i ta piyrso karta spod spodku dowom na wyrch odkryto... Nastypno karta idzie do wos, a ta do mie. I tera wy godocie, czy chcecie jeszcze...

FARORZ (*niepewnie*):

Ja...

CESEK ROGO CZ:

No to macie i policzcie tera se te łoczka.

FARORZ:

Sztyrnośćie...

CESEK ROGO CZ:

Ale tego mi niy godejcie głośno. Liczcie po cichu i mie yno powiedzcie, czy „jeszcze”, czy „styknie”. Tera to jeszcze spróbujemy... Chcecie kolejno karta?

FARORZ:

Ja?

CESEK ROGO CZ:

To wy musicie wiedzieć...

FARORZ (z większą pewnością):

No to ja!

CESEK ROGO CZ:

No to wom dowom... I co tu je... Zibna... Czyli łoczko, dwadziścia jedyn...

FARORZ (z uciechom):

No to wygrołech!

CESEK ROGO CZ:

Jeszcze niy... Bo jak tyn, co gro, mo łoczko, to bankier może zagrać abo pedzieć „pas”. Jak zagro i tyż bydzie mieć łoczko, to wygrywo, bo bankier zawsze wygrywo... Kapujecie? To jo tera zagrom i łobejrzymy... Biera ta karta zakryto i nastympno spod spodku... I co mom?... Dwie cyjny... Dwadziścia... Toście wygrali. Macie szczyńście... Jeszcze roz?

FARORZ:

Ja! Dowejcie, to je fajne!

CESEK ROGO CZ:

Dobre... (*dzieli kartami*) Do vos, do mie i do vos... I co jeszcze... No to macie... I co?

FARORZ:

Dwadziścia siedym.

CESEK ROGO CZ:

No to fora... Pokoźcie te karty... Mielście siedymnośćie i wom cyjna przyszła... Mogliście zostać na tych siedymnostu, można by stykło, a tak to nic... Macie zaś, do vos, do mie, do vos i co?

FARORZ:

Styknie!

CESEK ROGO CZ:

Wiel macie? Dziewiytnośćie! No to tera jo! Cyjna i... łozym! Łozymnośćie. Wygraliście. Dobrze wom idzie, ale nojlepi się uczy, jak się gro ło coś – sztrachcele, piniondze abo coś...

FARORZ:

O piniondze???

CESEK ROGOCZ:

Ale niy jakieś tam rube... Takie kotloki, te miedzioki czy fenole... (*mruga okiem*)
Te do koszyczka ciepim.

FARORZ:

Ale jo ni mom... Jo to wszystko wymiśnił we banku...

CESEK ROGOCZ (*zastanawio się, co zrobić*):

Hmm... toż dejcie kartka i filok, bydymy grać na punkty, a potym się w pinion-
dzach rozliczymy...

FARORZ:

A idzie to tak?

CESEK ROGOCZ:

Jasne że idzie... Dowejcie, dowejcie ta kartka... Ni ma czasu!
*Farorz przynosi kartka i filok, zaczynają grać. Cesek po każdy grze
pisze na kartce. Po dugszym graniu Farorz ciepie kartami i godo:*

FARORZ:

Dobre, styknie tego. Juzech tyła razy przegroł, że już mi się łodechciało grać.

CESEK ROGOCZ:

Może jeszcze jedna raja?

FARORZ:

Zdecydowanie: Niy! Styknie!

CESEK ROGOCZ:

To co, mom to porachować?

FARORZ:

Rachuj, cudów się tam niy spodziywom...

CESEK ROGOCZ:

Piyńc, trzi dali, łoziyom... Razym to je sztyry przecinek sztyry.

FARORZ:

Sztyry sztyrdziści... Ha, to mie stać na przegrano. (*sznupie w kapsie*) Mom sam
piyńciok... Mosz wydać?

CESEK ROGOCZ:

Niy, niy, farorzyczku... To ni ma sztyry sztyrdziści, to je sztyry tysiące sztyrysta!

FARORZ:

Co? Jak to możliwe??? Przeca my grali o drobniki!!!

CESEK ROGOCZ:

No tak to się nazbierało... Tu żeście przegrali (*klupie palcym w kartka*), tukej jo
był bankier, tu żech mioł perskie... A tu cało rajo, jak żeście fora mieli...

FARORZ:

No ale sztyry tysionce to jo ani bez dwa miesionce z ofiary niy mom... Cały rok
żech szporowoł, żeby nowy dach w kościele zrobić.

CESEK ROGOCZ (*z lekceważeniem*):

Z tacom przelecicie roz i drugi, to nazbiyrocie... Płaciec tera czy chcecie się
łodkuć?

FARORZ (*stowo i rynkom zahoczno o szolka, a ta z głośnym klankiem ślatuje na zol*):

Czyś ty chopie blank zgupił?

Wlatuje znerwowano Barczykowo i od proga ryczy:

BARCZYKOWO:

Co się sam wyprawio??? Fto ta szolka szczasko!?! Dyc to je z kafej serwisu, co-ście z kołka różańcowego dostali!!! Łobejrzcie, hynkel ulecioł... Ani na chwila niy idzie wos zostawić? (*do Ceska*):

A wy co sam jeszcze robicie? Niy pojechaliście już do dom? Skond tyn wasz szwager jedzie? Z Rajchu? (*rozglądo się*) I kaj tyn hynkel? (*schyło się i włazi pod stoł, że yno rzić widać, osuwo serweta i szuko*) A sam leży, kole szłapy... (*naroz widzi szłapy od Ceska i po cichu woło*):

O Ponboczku... Dyc to je dioboł!!!

SCENA III

Farorz wystraszony siedzi za stołym. Cesek zadowolony z siebie zbiyro karty, a pod stołem Barczykowo wartko rzyko.

BARCZYKOWO:

Łojczy nasz, Zdrowaś Maryjo... Jezderkusie i co tera??? Dyc łon nos wszystkich na zatracynie pośle... I co tera? I co tera? Dusze nasze weźnie... Ponboczku świnynty, Maryjko kochano i wszyscy świynci, co jo mom zrobić???

(prawie pobeczano, zopaska przycisko do gymby i się hušto w przodek i w zadek. Naroz z kapsy wylatuje różaniec; biere go do rynki, patrzy na niego i już wiy, co mo robić. Drapko po kolanach oblatuje cały stoł, tak że tera je za plecami Ceska, kery jom niy widzi).

CESEK ROGOCZ:

No, farorzyczku, dejcie mi, co mom dostać i się pożegnomy...

Zaczyno stować od stoła, ale naroz Barczykowo hipie mu na plecy, a różaniec zawijo mu naokoło karku.

BARCZYKOWO:

Nic ty niy dostaniesz ani łod farorza, ani łodymie... Jak żeś sam przyszoł, tak se stond pódziesz... Bez żodny dusze...

FARORZ:

Barczykowo, co wy? (*próbuje jom ściągnąć z pleców Ceska, ale łona się go czimie rynkami i nogami, a Cesek się dusi*). Jo mu musza piniondze dać...

BARCZYKOWO:

Co wy mi sam o piniondzach? Jo wasza dusza ratuja!!!

FARORZ:

Jako dusza, jak jo w karty przegroł...

BARCZYKOWO:

Niy dziwota, jakżeście z dziobłym grali...

FARORZ:

Jakim diobłym???

BARCZYKOWO:

No tym tukej... (*wrzeszczy*): I cofcie się łodymie w końcu!!!

*Farorz odskakuje od ni wystrachany, ale jeszcze roz, tym razym
spokojni, próbuje zagodać, coby puściła Ceska...*

FARORZ:

Barczykowo, ale co wy robicie? Czamu tego chopa chcecie udusić?

BARCZYKOWO:

Łobejrzyjcie się jego szłapy... Czarne kopyta... TO JE DIOBOŁ! (*do Ceska*):
Prowda? Jak ja, to pokiwej łebom.

Cesek kiwie, że ja.

FARORZ:

Ale jakim cudym?

BARCZYKOWO:

Niy wiym... Ale byda go czimać tym różańcym, póki nom niy powie, po co naprowdy przyszoł... To je różaniec z Ziymi Świynty, łod tego niy uciecze... No, pieronizno, godej wartko, jak ty się nazywosz...

CESEK ROGO CZ (*charczy*):

Puś... Poluzuj trocha... Jeszcze ciut.

BARCZYKOWO:

Jak się nazywosz?

CESEK ROGO CZ:

Czesław Rogocz...

BARCZYKOWO:

Czesław od czechmona?

CESEK ROGO CZ:

Ja...

FARORZ:

Ale jak żeś sam wlož? Dyć to je poświyncone miejsce...

CESEK ROGO CZ:

Sami żeście mie wpuścili...

FARORZ:

Ale jak? Kedy?

CESEK ROGO CZ:

Przy dzwiach zech się trzi razy pytoł, czy moga wlyż, a wyście trzi razy padałi, że ja...

BARCZYKOWO:

A padałach, coby niy otwiyrać... Po coś sam przylož?

CESEK ROGO CZ:

Bo mi się auto zepsuło... (*Barczykowo zacisko różaniec*)

Ała, ała, ała... Po piniondze...

BARCZYKOWO:

I po dusza?

Cesek milczy, Barczykowo ścisko...

CESEK ROGO CZ:

Ja, ale to niskorzi... jak już piniondze bych wszystkie wybrol... I już mi tak do-
brze szło...

BARCZYKOWO:

Wiele żeście z nim przegrali?

FARORZ:

Gańba godać.

BARCZYKOWO (*ostro*):

Wiele?

FARORZ (*po cichu*):

Prawie sztyry i poł tysionca.

BARCZYKOWO:

Ło pierzinie... (*do Ceska*): Łoddosz to wszystko!

CESEK ROGO CZ:

Ale jo jeszcze nic niy dostał...

BARCZYKOWO:

I co z tego, to cie oduczysz chachmyncić i cyganić... Dowej, a drap!!!

Cesek nic... Barczykowo zaś ścisko za różaniec.

CESEK ROGO CZ:

Ała, ała, już dobra... Już dowom...

Naroz na stole pojawio się kupka z piniondzami, tak na oko sztyry i poł tysionca. Barczykowo patrzy na Farorza, Farorz na Barczykowo, coroz bardzi wystraszyni jedyn z drugim...

BARCZYKOWO:

A tera dowej druge sztyry i poł, coby farorzyczkowi straty moralne wynagrodzić... I żeby farorz mog kościoł łodmalować...

CESEK ROGO CZ:

Ale...

BARCZYKOWO:

Cicho! Dowej piniondze!

Drugo kupka piniyndzy pojawio się na stole.

BARCZYKOWO:

Dobre... A tera dosz trzecio, żeby cie przepadzitości oduczysz...

FARORZ:

Barczykowo, ale styknie tego...

BARCZYKOWO:

Cicho, farorzyczku... Bydzie i na łokna... Dowej a niy kwynkej... (*pojawio się trzecio kupka*) Farorzyczku, weźcie ta flaszka ze wodom świnyconom... Jo go zaro puszcza, ale jakby próbował czego, to go zaro lyjcie...

W jednym momencie Barczykowo puszczo różaniec, ślatuje na ziym i słychać yno czaśniynicie drzwiami. Po Cesku ni ma ani śladu...

FARORZ:

Barczykowo, nic wom ni ma?

BARCZYKOWO:

Niy, a wom?

FARORZ:

Niy. To była wszystko prawda, czy mi się to śniło...

Barczykowo patrzy na stoł, biere do rynki piniondze.

BARCZYKOWO:

Prowda i piniondze tyż som prawdziwe...

FARORZ:

I co my śnimi tera zrobimy?

BARCZYKOWO:

Jak to co? Dach, kościół i łokna...

FARORZ:

Ale że jo był taki gupi... Tak się dać zrobić za Ala...

BARCZYKOWO:

Niy starejcie się, dyć to dioboł, cwano bestia... Dobrze, że jo sam była...

FARORZ:

Ja, Barczykowo, wos to się som dioboł boi...

TRZIDZIESTKA

Wojciech Szwiec

Przecież każde stworzenie ma element widzialny i niewidzialny.

Widzialny jest ten słaby, niewidzialny zaś mocny i pełen życia.

Święta Hildegarda z Bingen (1098–1179) (uznana za świętą od 2012 roku)

Na binie stoi Mody. Za jego plecami na ekranie blyndzom i mrugajom światła osiedla z wielkij płyty. Widać kaś napis „Os. XXX-lecia PRL”. Kolejne postacie pojawiają się jedna po drugij. Oświełtane dupnom blyndom, wygłaszają swoje godki choćby odpowiadały na pytania przed kamerą.

MODY:

Od kiedy pamiętom, mieszkali my we bloku na tym osiedlu. Tatulek, mamulka, Anielka i jo – Bercik. Nazwali me dość gupio i jak lecioł taki film w telewizorze o mamlasowatym Ślázoku, co się z niego wszystkie gorole chichrały, to zy mie tyż się śmioli. Jo nimioł telo szczyńścio co tyn podciep z telewizora. Chocioż moij mamulce się to nawet podobało. To tela... Miałech godać o osiedlu i o moijj familii, a to je duzo godki... Nie urodziłech się tuki, ale we lazarecie jak koždy. Chocioż tyż nie richtik... Bo żech się urodził we lazarecie we Leningradzie – to była tako miejscowość we Rusach. Żodyn na naszym placu nie wiy kaj. No miyszko mi się tu fajnie, mom poru kumpli, z kierymi dość czynsto siadomy przy piaskownicy i pijymy piwo.

Cima. I zaro zaś jasno.

TATULEK:

Jo je Bernat, syn Bernata. Wychowołech się w Dolnych Łaziskach we familii, w kieryj wszystkie chopy robiły przy koniach. Jo tyj roboty nie umioł strzimać, bo mie konie szpetnie woniajom i jak mie taki jedyn istny kopnył, toch się doł pokój i poszłech się uczyć za elektrykorza. Człowiek był mody i gupi i myśłoł, że kopać to moga yno jo, a nie, że bydom durś kopać mie. Nie za dobrze się to kopani skończyło. Tuki kole osiedlo som planty i w tym parku poznołech Ewa. Pieronie, jak łona mie się wtedy podobała. Miyszkała kole żydowskiego cmyntorza. A że my tak czasem piechty łod miasta tuki łazili, to roz za jakiś czas szli my razym. Roz zdech jij kot. I przy takim spacyrze mi pedziała, cobych jij tego ćmoka zakopoł. Tak po prowadzie on som nie zdech, yno go auciska na Wymyślonce przejechały. No i dalej było tak, że poszli my tu sam w krzoki i jo tego plaskatego kota zakopoł. Tak my się z Ewom bliży zapoznali.

Cima. I zaro zaś jasno.

MAMULKA:

Jo je Ewa, cera łod Lidki i Etmunda z Mikołowa. Jak poznałech Bernata, to mi się nie podoboł. Galoty oblykoł takie dziadowskie, choćby mioł woda we piwnicy,

aż kudły na szłapach widać było. Koniami wonioł – owsiok z Łazisk na niego godałach. Ani czystego sznuptucha nimioł, szczewiki zmazane, fuzele to ani nie godom – no mamlas! I się tak przismrodził do mie, kiej na te swoje Dolne piechty łąził. A jo byłach frela z miasta Mikołowa. To było coś. Jo matura u Karola Miarki zdowała. Znaczysie, rozumiecie w ogólnioku. Jo we Wiromecie w zapatrzyniu nojlepszo robota dostałach. A tyn ślimok – dupny elektrykorz, co nie umioł szaltra w antryju naprawić. Ja, ale kiej my razym kota pochowali, zmiyniło się moje podejście. Niy chciałach łośtać zowitkom i gibko wziny my ślub.

Cima. I zaro zaś jasno.

MODY:

To je moje osiedle. Byliście kiedy na „Trzidzieście”? Żodyn? Mocie recht. Som beton. Nie żałujcie. We mojj siyni na każdym sztoku mocie piyńc miyszkań. Roztomaite. Pojedynki, dwójki i takie, kaj som trzi izby, a we niekierych balkon. My momy na trzecim sztoku prawie takie dwie izby. Kiedyś miołech izba ze siostron, ale terozki, kiej Anielki nima, to na jeji leżance śpi fater, a jo na drugij – kole hajconga. Łojciec z mamulkom nie śpi, bo łona durś po nim ryczy, że chrapie. Cołko noc tak fedruje, ale jo już do tego nabadoł. Jak wypija pora piw, to mi to nawet nie zawodzo. Te nasze miyszkanie je wysoko, bo na dole te fajniejsze miyszkania dostowali yno gorole. Tak godo tatulek.

Cima. I zaro zaś jasno.

TATULEK:

Zesmolone gorolstwo, cołki życie musza to scyirpieć. Mie chcieli dać miyszkanie we Sosnowcu. Coby elektrownia Siersza budować. A co jo by tam robił?

Pauza.

TATULEK:

Sroł a drobił... My się w doma we sześciu we trzech izbach gniytli, a miyszkania nom dać nie chcieli. A taki gorol jedyn z drugim sam przyjechoł i zaro dostowoł nojfajniejsze! Na pierwszym sztoku, a my zaś na koniec kolejki! Gorole zesmolone! Znojda to pismo i wom poczytom, co mi powypisywali. Ewa, kaj som moje bryle? Znojdz mi bryle! Jeronie, czy jo zawsze musza wszystkiego w tym bajzlu szukać?

Cima. I zaro zaś jasno.

MAMULKA:

Jo tego słucać nie umia. Durś yno lankor, durś lankor. Koždy winin, ale zowdy nojwinyj winin gorol! A na drugim miejscu jestech winno jo! Kiejby jeszcze Anielka wróciła... Łona by matce pomogała. A tak sama zostałach z tymi darmożadami. Anielka mi się przidarzyła 15 lot po tym smarku Berciku. Bercik podany je na łojca, tak samo zmierzły i lyniwy. Łoba som po jednych piniondach. Jakby nom tego miyszkania nie dali, toby my u moi mamy kaś na górce abo nad garażem musieli miyszkać. To by dopiero było. Abo u niego – kaj na placu gnojok i łod cipów wszyndy nasrane. Idziesz do roboty, wleziesz w gównon, idziesz ze roboty, wleziesz w gównon, idziesz do sklepu – gównon, do kościoła – gównon. Cołki żywot zasrany kurzym i końskim gnojym. Pierońskie bambronie! Yno tyj Anielki żol...

Cima. I zaro zaś jasno.

MODY:

O sobie w kilku słowach? Moga łopedzieć, jak zech się mioł rodzić. Mamulka byli w szóstym miesiącu, no i za bardzo się mnom nie przejmowała. Fyrlała z koleżankami na klachy, do kina nawet, do roboty łaźiła i nadgodziny robiła. Bestuż jestech terozki taki energiczny chyba! Pra? Tak wyrobiła, że jednego dnia wygrała wycieczka w nagroda do Leningradu. Mamulka nikaj nigdy nie była. No można roz na wczasach w Brynnyj abo we Wiśle. To se pedziała – jada! Dali jij paszport, bilet na fliger i poleciała. 10 dni we Rusach. Kule, co to było. Po sztyrech dniach jij się coś podupiło i wziyni jom do lazaretu. Potym przised zech na świat. Musza pedzieć, że ta moja mamulka była trocha gupio. Ale jo się nie gorsza, bo mom po nij charakter, jestech odważny i robotny! Jak znojda robota, to naszporuja i pojada do tego Leningradu łobejrzyć jak to tam wyglądo.

Cima. I zaro zaś jasno.

TATULEK:

Nie lubia tu miyszkać, wszyscy mie tu nerwujom. Naprzeciwko miyszko taki gupi śłazok, nazywo się Myszor, i łon mo blank gupigo psa. Jak idzie do roboty, to tyn pies durś szczeko, ale jo się z nim rozprawia. Z kim? No z jednym i z drugim – noprzód łobsańca skopia, potym jego psa. Jo się im nie dom. Pod nami miyszkajom takie gorole, co durś warzom kapusta i nawet łokien nie idzie łodemknąć, bo tyn smród ci idzie do dom. Niżyj miyszko stary milicjant Budrys. A naprzeciwko tego gizda, jak wleziecie do siyni na piyrszy sztok, tam som takie srogie drzwiryza. Czorne. Od 30 lot nie miyszko tam żodyn. Ale jo wiym, co się tam wyrabio, jo tu mom na każdego łoko!

Cima. I zaro zaś jasno.

MAMULKA:

Siedzom durś w doma i oglądajom we telewizorze programy o ufokach. Jo tego nie strzimia. Każdego obserwujom, godajom, że na „Trzidziestce” żyjom ufoki. Pierzyńskie lebry. Kaj jo miała oczy. Baby, chopy, powiydźcie kaj? Tak mie chyba wtynczas tyn kotek zasmucił. Jo poprosiła Bernata, żeby go zakopoł... Łon był taki plaskaty. Poszli my konsek na planty i tam w tych krzokach... Jeronie...

Cima. I zaro zaś jasno.

KOCIK:

Jo to bardzo dobrze pamiyntom, śląskie koty tyż żyjom pora razy. To było w moim drugim życiu, kiej byłech jeszcz blank gupim sierściuchym. Skąd miołech miarkować, że jak jedzie blaszano Nysa na gruba, to się nie do przed niom pitnąć? Roz się mi udało. I wróciłech do dom. Pani miołech fajno, gryfno, takie łoczka miała, taki nosek. Jakie nóżki, no... I jak wracołech, zwody mie głoskała, chwoliła. Za drugim razem ta zesmolono Nysa jechała gibcij... abo wolnij. Pieron wiy! I mie dupła. A jo się zwyrtnoł roz abo dwa razy wele kółka i łostołech leżyć taki plaskaty.

Dłużyj cima. I zaro zaś jasno.

MODY:

Łojciec pochował kota. Jak byłech bajtlym, to się uwzion na sąsiada, kiery miół psa. Próbowoł gizda zabić. Ja, właśnie tego psa, nie sąsiada, ale nie wyszło. Yno go kopnył pora razy, aż pies na siyni kwiczoł choby wieprzek u masorza.

Mody nie zniko, kole niego we świetle pojawio się Mamulka.

MAMULKA:

Tak się rozpoczyno nieszczynści. Płac i zgrzytani zymbów!

Zaś ekran ze zadku ożywo – widać w zbliżeniach miyszkania choćby podglądane zza gardiny. Wtoś zasłanio łokna, w innym miyszkanu wtoś łazi po izbie, wtoś rychtuje wieczerso w kuchni. Wtoś wiyszno na ścianie świynty łobroz. Życie.

Cisza się kończy, gro muzyka. Ktoś babskim głosym śpiywo:

„Była tu Anielka cicho – Nima tyj Anielki dzisio, może zeżarły jom koty, ludzie wierzą we gupoty. Może zebrały ją psy – Może my, a może wy. Kundel za łogonym goni, może my, a może łoni? Tamta tam tam tam tam tam”.

Cima. Łoroz widzimy stół, przy kierym siedzi Mamulka. Po lewyj zadkiem do widowni siedzi przy komputrze Mody, przy łoknie sparty o parapet łojciec, kaś tam leży kot.

MAMULKA:

Jakoś nie poradzą se tego wyboczyć, wszystko co złe się wtedy zaczyno. Ta rodzina, Anielka, psy, koty, gorole i jo...

KOCIK:

Nima co histeryzować babo.

MODY:

Kocik! Nie godej tak do moij matki, sierściuchu!

Tatulek przodkiem do łokna, wypiynty zadkiem do widzów.

TATULEK:

Znomy winnych! Żodne krzyki i płacze nos nie przekonajom, że czorne je czorne, a biołe je biołe.

MAMULKA:

Eli to było na łopy?

MODY:

Dupicie fleki jak we telewizorze.

Odwraco się przodkiem.

TATULEK:

To nie ło to się rozchodzi. Jo wom godom, że za tymi srogimi drzwirzoma jest jakoś zło moc. Można tam mieszkają agenci KGB – ci sami, kierzy robiom zamachy, można jakieś diobelski moce, pieron wiy. Mie się zdo, że Anielka tam musiała zajrzeć i skuli tego się straciła.

MAMULKA:

Jakiś ty je gupi! Jo je ciekawo, co z twojom teoriom o ufokach?

TATULEK:

Już nie chiolech nic godać, ale tu mosz recht, to je nojbardzij prawdopodobne, że przyleciały ufoki i zebrały nasza frelka!!! Yno ty babo małyj wiary durś nie poradzisz w to uwierzyć! Durś! Durś! Durś!

MODY:

Tatulek majom recht – za tymi drzwiryzami je zło moc, kiero szteruje ufokami!

MAMULKA:

Jeronie...

TATULEK:

Już zech ci tela razy tuplikowoł, jakie som na to dowody! Jak Anielka była na placu, to jo się patrzol bez to łokno. Bez ta szyba na tyn... gynau tyn plac.

Mody stowo kole łojca i stojom łoba na baczność, godajom chórem choćby godali wyznanie wiary w kościele. Obydwa podkreślajom słowo „łoroz”.

TATULEK i MODY:

Tuki na tym naszym placu dnia 10 maja 2012 roku bawiła się nasza siostra i cera, kieryj miano było Aniela. Bawiła się boroka kole klopsztangi z dwiema inszymi dziolszkami. Stoli my przy łoknie i patrzeli się na plac, kiedy łoroz zrobiło się dość cima i wiater ucich. Łoroz bez tyn ćmok. Otwarli my łokna i zaczy ni my wołać, ale gordziele nasze choćby powrozym związane przestały godać. Gały z łepy wyłaziły, ale głosu żodnego dobyć nie szło. Łoroz zrobił się leki szum choćby na stadionie Polonii Łaziska i zaczyno na plac lecieć ostre światło – blyndziło na nasza Anielka. A łona stoła i zaglądała na ta klara. Tela my yno widzieli jak jeji koleżanki popitały za hasiok. Łona łostała, a my łoba stoli choby słu py soli, bez mocy, bez woli. Łoroz zaczon się pisk i insze larmo, światło zrobiło się jeszcze łostrzejsze i jak łodymkli my łoczy, nie było już na placu Anieli i nie było nawet klopsztangi.

MAMULKA (wstowo):

Powtarzocie to każdy dziyń, a tam żodnyj klopsztangi nie było! Jo wiyom dobrze, żeście to wszystko wymyślili i zamiast frelki pilnować, to poszliście na piwo i psinco żeście widzieli!

MODY:

Godom jak jest. Była klopsztanga i zebrały jom ufoki zusammen z naszom Anielkom.

MAMULKA:

Jo się była pytać we spółdzielni i pedzieli mi, że ta klopsztanga zebrali, bo już była zaruściało! Zebrali jom! Dejcje pozór – 27 kwiytnia! No i co, cygany?!

KOCIK:

I tak dziennie ta samo godka. Srogie drzwiryza, ufoki i diobły... zaro zacznom szukać winowajcy.

TATULEK:

Tyś tymu winno – jakbyś tela do roboty nie łaziła, ino z rziciom w doma trocha posiedziała, tobyś wiyncy czasu z cerom mogła łostać!

MAMULKA:

Jeronie, a ty pociuloku mioleś dować na nia pozór bez łokno. Cołki dziyń stoisz i zagładosz, wiysz kiero baba kaj na klachy łązi, a jednyj dziolchy niy upilnujesz?!

MODY:

Już cicho! Nie wadźcie sie!

Łoroz klupani do drzwiryzy. Tatulek kuko bez kuklok.

TATULEK:

Wto tam?

Zza drzwiry:

WTOŚ:

Jo!

TATULEK:

Jaki jo?

WTOŚ:

Eelis!

Łotwiyro gibko drzwiryza i wchodzi melbuks szpetnie łoblyczony, ale dość trzeźwy.

EELIS:

Szukom Jadwiżki.

TATULEK:

*Tu żodnyj Jadwigi nima. Hartwig! (woło po niemiecku Tatulek)
Elis ciśnie się do dom, wchodzi do środka i robi się cima. W tym momencie
w jasnym snopie fest łostryj blyndy stoi na pojsrodku izby Świynto Jadwiga.
W ciymności leko widać abo yno słychać jakiś ruch. Cołko familijo pado na
delówka i gapiom się na Jadwiga. Słychać jęk i głosy nie wiadomo czyje.*

MODY:

Jeronie!

EELIS:

Jadwiżko, patronko Śląska, patronko rodzin...

JADWIŻKA:

Chrześcijańskich!

EELIS:

No dyc!

JADWIŻKA:

Jak ty to do mie godosz? Jo tu żodnyj rodziny chrześcijańskij nie widziała.

EELIS:

Jeronie, Jadwiżko – nie widzisz tych boroków, kierzy łaknom i som spragnini twoigo wstawiennictwa...?

JADWIŻKA:

Jo tu się za żodnym nie byda wstawiać. Kaj jo tu trefiła na som środek szpetnego betonowego osiedla, widza miyszkanie numer łozimnośćie na trzecim szto-ku. Stoja choby jako świynto, godom z pomazanym melbuksym we izbie, kaj jakiś pośmigany chop, co wierzy w ufoków, ryczy po swoi babie, abo łona ryczy po chopie... Ja... i jeszcze tyn miglanc, kierego zrobili w krzokach skuli żalu po rozjechanym kociku... Dejcie pokój... Jo nimoga... Takigo przypadku to jo jeszcze nimiała.

Rozglądo się.

JADWIŻKA:

Ida nazot.

EELIS:

Pani Jadwiżko, łoni potrzebują pomocy, straciła się ich cera.

JADWIŻKA:

Jako cera?

EELIS:

Aniela.

Światło się świecy, wszyscy dookoła rzykajom.

JADWIŻKA:

Zesmolony trzeci sztuk. Jak żech już prziszła, to dejcie się chociaż siednąć.

Mody podsuwo Jadwiżce ryczka.

MODY:

Godejcie!

TATULEK:

Nasza Aniela się straciła. Ufoki, co miyszkajom za srogimi drzwiryzami, jom zebrały.

JADWIŻKA:

Niemożebne!

TATULEK:

Ja. Nima jij od 10 maja 2012.

JADWIŻKA:

A można to i dobrze, bo jak tak na was patrza, to lepiej, że tu nie miyszko.

MODY:

U nos na „Trzidziesiątce” miała się nojlepiej! My jom wszyscy kochali, Jadwiżko!

JADWIŻKA:

Można łona tu cołki czos jest, yno wy jom nie widzicie.

MAMULKA:

Eelis, kogoś ty nom tu przykludził? Cołki dzień pod sklepym piwsko żłopie i się wcisko do nie swoich spraw.

JADWIŻKA:

Dejcie mu pokój! Jak ta wasza dziołszka wyglądała?

MODY:

No miała takie tintki... dość chudo... kichol trocha krzywy, ale oczka piykne... Gryfno była Aniela...

MAMULKA:

Miała modro kecuszka i jasne włoski.

TATULEK:

Dej mi moc, to poleca, wyrwia te srogie drzwiryza i pozabijom ufoków! Dej mi odzyskać moja Aniela!

MAMULKA:

Dej nom nazot Aniela!

Robi się cicho.

JADWIŻKA:

Zoboczycie jom jedyn roz!

Robi się cima, widno i zaś cima. I terazki wszyscy padają na kolana. Robi się widno i z komory za byfyjem wylazi frela kilkunastoletnio, piykno, odziano w paradne szaty, choćby jako świynto. Wszyscy wzdychają:

WSZYSCY:

Anielka!!!

MAMULKA:

Kaś ty była?

JADWIŻKA:

To nima już wasza Anielka, yno nasza!

ANIELKA:

Nie mianuja się Anielka!

TATULEK:

Pojakimu?

ANIELKA:

Bo jo terazki się ucza na śwynto i przibrałach imie moi nowyj patronki pani Hildy.

MODY:

Hildegarda??? To tak jakbyś się mianowała halabarda.

ANIELKA:

Dyć ty ani nie wiysz, co to jest halabarda, gupolu. Zawdy byłeś ćmokiem i mamlasym.

MAMULKA:

Nie szkodzi.

ANIELKA:

Śwynto Hilda – doktor Kościoła, filozof i kompozytor! Jo się terazki od nij ucza muzyki!

JADWIŻKA:

Dość tego, bieremy się nazot, bo z tych widzeń i halucynacji bydzie yno łostuda. Nima żodnyj Anielki i nigdy nie było. Yno geniusz Ponbóczka i śwyntyj Hildegardy niech z wami łostanom! Z Panem Bogiem!

Robi się dupne światło choby wszystko miało zgorzeć. Zarozki cima.

Za chwila cisza się kończy, gro muzyka. Ktoś babskim głosym śpiywo:

„Była tu Anielka cicho, Nima tyj Anielki dzisio, może wziyni jom ufoki, może diobły i beboki. Może wziyni jom do nieba, Może tam jij fest potrzeba.

Na osiedlu kole bloków każdy śwynty mo swój spokój... Tam tam taram tam tam taram. Może poszła sam do nieba, na osiedlu jij nie trzeba...”.

Robi się normalnie widno, wszyscy klęczom na podłodze. Łoroz mara mijo, wszyscy się zrywajom i patrzom po siebie.

TATULEK:

Widziolech Anielka!

MAMULKA:

Jo nie wiym, jo nie wiym...

MODY:

Piykno jak aniołek, jak pryncesa!

EELIS:

I Jadwiżka!

MAMULKA:

To łona zebrała nom cera!

TATULEK:

Ciii...

MAMULKA:

To łona nos wystawio na próba, ta śwynto Jadwiżka z „Trzidziestki”!

TATULEK:

I śwynto Hildegarda z Mikołowa...

MAMULKA:

Jakie ty mosz z nimi sprawki, panie Eelis? Łod czego ty żeś je śwynty? Łod źłopanio piwska, eli łod dupczenia fleków pod konsumym?

EELIS:

Jo nie... jo yno chcioł pomóc... jo mioł takie wizje... jo łod dnia wyświyncynia Hildegardy widzioł Anielka jako cudnieje nad blokiem, co roku ło tyj samyj porze u boku śwyntyj Hildegardy. I mie aż piwo lepij smakowało i zaro w portomelu miołech na cygarety. Cuda... Powiadom wom – cuda! Jak się Anielka ukazowała, wszystko się zarozki ukłodało. Potym ukazowała się na ścianie tego bloku, yno wyście nic nie widzieli. Żodyn nie widzioł! Wyście som ćmoki, nic nie widzicie! Yno szukocie ufoków, a prawda je blisko, tukej na osiedlu. Powiadom wom – prawda je w tym betonie!

MAMULKA:

Ty nom tu wizje pokazujesz, łozyroku?!

TATULEK:

Ty nos bydziesz religii nowyj uczył. Ty bydziesz naszym rektorem? Ty zesrany giździe... Kopnij go, mody, jak tego psa spod hasiokiem!

MODY:

Bier się stąd melbuksie, smrodzie!

TATULEK:

Kopej mu do rzici! Śwynty pijok nos bydzie halucynowoł, a te ufoki i tak dorwiemy!

Na koniec wszyscy kopiom Eelisowi do rzici i wyciepujom go za drzwi! Ze zadku na ekranie widać bloki. W niekierych miyszkaniach poli się światło, w jednym oknie widać śwynto Jadwiżka, za chwila w innym Anielka, kiero robi się coroz wiynkszo i staje się świętom Hildegardom. Kaś tam w tych łoknach może być widać, jak baba wadzi się z chopem, kaś tam migajom telewizory. Za chwila robi się cima.

JEDNOAKTOWKA CESTY

Anna Wojtkowska-Witala

WYSTYMPUJOM:

ACHIM lot tak wele szterdziści, grubiorz
KARLIK lot tyż wele szterdziści, tyż grubiorz
OBERKA lot wele dwadziścia, sztudyntka, kiero dorobio se
 w szynku „U Hynia”
DZIOŁCHA Z KATOWIC lot tyż wele dwadziścia, wyszykowano jak na wesele
BAJTEL łosiym lot
BABA W CUGU tako gynał ślonsko baba, lot wele sześćdziesiont
DZIOŁCHY I KARLUSY w Galerii Cyntrum

BINA PIYRWSZO

Grudziyń 2015. Trzi tydzie przed Wilijom. Sobota. Wele połednia. W szynku „U Hynia” w Mikołowie siedzom Achim i Karlik. Łoba pijom piwo. Oberka, gryfno dziołcha, czyto ceitung. Żodnego wyncyj tam ni ma.

ACHIM:

A wiysz, Karlik, był żech wczora w Katowicach w tyatrze.

KARLIK (*gapi sie na Achima jak na gupigo*):

Kajżeś był?

ACHIM:

W tyatrze. Korez sie nazywo.

KARLIK:

Ciebie sie chyba coś w łepie poprzestawiało. Ty? W tyatrze? I coś tam łoglon-
doł? Romelo i Julia?

ACHIM:

A kaj tam! Tak mi jeszcze niy łodbiło. Jo żech był na gali finałowy konkursu
„Jednoaktowka po ślonsku”.

KARLIK:

Jeronie, nic żeś niy godoł, że szkryflosz!

ACHIM:

Zaroz tam szkryflosz. Wyczytołżech w ceitungu, że taki coś tam je i za wstymp
niy trza bulić. No... że każdy może wlyż, to żech pojechoł.

KARLIK:

Ja? I co?

ACHIM:

Tak żech sie uśmioł! Czytali tam trzi nojlepsze jednoaktowki. I to niy byle fto
czytoł, ino istne szaśzpilerki i szaśzpilerki!

KARLIK:
Niy godej!

ACHIM:
A ty wiysz, że łoni już piynć lot taki coś rychtujom?

KARLIK:
Niy godej!

ACHIM:
To wymyśliły taki dwa chopy. Jedyn nasz, bo mianuje sie Szymczyk.

KARLIK:
Może łod tych Szymczoków z Wymyślunki?

ACHIM:
A kaj tam! Łoni som wszyscy świdraci i ryszawi, a tyn tam szykowny był. Taki gryfny synek, a jaki wysztiglowany. Ale tyn drugi chop niy był nasz.

KARLIK:
Niy?

ACHIM:
Zdowo mi sie, że łon zagraniczny był, ale czytać po naszymu umioł piyknie, i to rychtych z naszym akcyntym!

KARLIK:
To nasz!

ACHIM:
Godom ci, że niy nasz. Łon sie tak mianowoł, jako tak... Wilk, Wilk... Doczkej, ino musza se to prześlabikować... (*ślabikuje na głos*) W-i-l-k-i-s-t. Mom! Wilkist.

KARLIK:
Jako to? Wilk co?

ACHIM:
Widzisz, godołżech ci, że niy nasz. I miano mioł niy nasze. Ingmar mu godali.

KARLIK:
Jo słyszoloł jednym Ingmarze. Coś mi sie zdo, że łon na grubie robił, nawet tak sie na drugi mianowoł, co mu to gynał na gruba pasowało. Doczkej ino... (*dro-pie sie po łepie*) Mom! Łon sie mianowoł Bergman, Ingmar Bergman. Łon krotko robił na dole, potym łostoł kałowcym.

ACHIM:
Czym?

KARLIK:
Ka-łow-cym.

ACHIM:
Aaa...

KARLIK:
Łon mioł grajfka do kryncynia filmow, tyn Ingmar Bergman.

ACHIM:
Rychtych kałowiec. Coś mi sie terozki zdo, że Ingmar to nasze, słonski miano, ino taki mało widziane. (*szepto*) Karlik, ani sie nikomu sam niy przyznowomy, że my niy wiedzieli, że Ingmar to słonski miano, bo bydzie gańba!

KARLIK:

Mosz recht.

ACHIM:

A wiesz, Karlik, łoni tam wczora godali, że te uczestniki tego konkursu to ino szkryflajom ło Ślonsku, co był, a mało wiela ło tym, co je terazki.

KARLIK:

Terozki to je tukej tak pomiyszane, że jo sie już traca, kiery pieron nasz, a kie-ry niy nasz.

ACHIM:

Som widzisz. Łoni godali, coby naszkryflać taki coś, jak by ci to pedzieć... No... Jak tyn nasz Ślonsk sie zmiynio.

KARLIK:

Godosz, że ftoś naszkryflo? Dyc to pierońsko trudne. Jak bych miał ci terazki pedzieć, to niy wiyom... To znaczy wiyom, ale niy wiyom, jak to pedzieć.

ACHIM (*siado na sztram*):

Jo ło tym napisza.

KARLIK:

Co? Ty, Achim?

ACHIM:

A co? Niy poradza? Pamiyntosz, jak żech w siodmy klasie dostał piontka za wiersz? A szostek wtedy rehtory niy dowali.

KARLIK (*zdziwiony*):

Ty? Wiersz? Jakoś mi to z łepy wyleciało.

ACHIM:

To ino słuchej. Jo go do dziś umia.

Achim wstowo, poprawio szaket. Chrzonko. Oberka łodkłodo ceitung i słucho.

ACHIM:

Doczkej ino... Jak to szło?... Pieronie, dyc jo już mom skleroza... Niy pamiyntom, ale naprowda żech ta piontka dostał!

KARLIK:

Niyh ci bydzie, ale jakoś niy widza, żebyś cosik naszkryfloł. Dyc ło tym pi-szom i godajom ino profesory. A jeszcze jednoaktowka! Dyc ty żeś niy jes żo-dyn Szekspirok.

ACHIM:

Niy fandzol! Jo je Ślonzok, jo ło tym naszkryflom, bo to moja ziymia, moja łoj-czyzna, moj dom!

KARLIK:

Amyn.

Oberka przylazi i stawio im po piwie.

ACHIM:

My niy zamawiali.

OBERKA:

Jo stawiom.

ACHIM:

Ale fto to widzioł, żeby baba chopom piwo stawiała?

KARLIK:

Ślonsk sie zmiynio! Terozki baby chopom piwo stawiajom! (*chichro sie*)
Achim i Karlik stukajom sie kuflami i pijom piwo.

KARLIK:

To godosz, że naszkryflosz jednoaktowka.

ACHIM:

Ja. Nawet mom wizyjo. (*zamyko ślypia, wyciongo rynce przed sia*) To bydzie jednoaktowka cesty, znaczy sie po polsku „jednoaktówka drogi”. Som filmy cesty, powieści cesty, to jo napisza jednoaktowka cesty.

KARLIK:

Bydziesz pisoł o kładzyniu asfaltu?

ACHIM:

Tyś je jednak gupi, wiysz, Karlik? Ło jakim kładzyniu asfaltu?!

KARLIK:

To ło czym?

ACHIM:

To je tak, na przykład film. Rajzuje taki, na przykład bohater autym przez ta swojo łojczyzna i taki mu sie roztomajte trefiajom historyje, a przy tym łon poznaje jakoś prowda, ło siebie, ło świecie, w kierym żyje...

KARLIK:

I ty wsiedniesz do swoigo unoka i tyż tak bydziesz rajzowoł?

ACHIM:

Ja, tak se byda rajzowoł, ale niy unokiyom, ino cugiyom, i niy som, ino razym pojadymy, Karlik.

KARLIK:

Jak mie moja puści, to porajzujomy se, ale jak to sie mo do ty twoi jednoaktowki?

ACHIM:

Bydymy badać, jak sie zmiynio Ślonsk. Jaki łon tera je...

*Bez chwila nic niy godajom. Achim zaś zawiyro ślypia. Karlik
pije piwo, a potym szarpie Achima za szaket.*

KARLIK:

To kiedy jadymy?

BINA DRUGO

*Achim i Karlik stojom na banie w Mikołowie. Łoba łobleczyini jak wandrusy,
łoba majom rugzaki. Achim trzimie diktafon i duś wcisko jakiś knefel.*

KARLIK:

Achim, co ty tam trzymiesz w gości?

ACHIM:

Diktafon.

KARLIK:

Po pierona ci łon?

ACHIM:

Byda godoł swoi spostrzeżynio, bo potym z łepy mi to wyleci i niy byda se mog spomnieć, coch chcioł naszkryflać.

KARLIK:

A jo tyż moga mieć swoi spostrzeżyni?

ACHIM:

A dyć po toch cie wzion, żeby to niy było ino po moimu naszkryflane... Jak to sie godo... no...

KARLIK:

Jednostronne?

ACHIM:

Niy...

KARLIK:

Jaki to może być...

ACHIM:

Mom! Subiektywne.

*Słyhać jak cug jedzie po glajzach. Cug stowo. Achim
i Karlik wsiadajom. Cug łodjyżdžo.*

BINO TRZECIO

Bana w Katowicach. Karlik i Achim stojom przy glaszdrzwirzach, bez kiere można wlyż do Galerii Cyntrum. Bez szyba migajom świonteczne lampki na wielim kristbaumie. Karlik szarpie Achima za rynkow.

KARLIK (*wylynkany i znerwowany*):

Pieronie, kaś ty mie wywioz?! Kaj my sam som? We Frankfurcie? Niy! Za krotko my jechali!

ACHIM:

Niy drzi sie tak, jakbys z lasa wyloz. Koždy sie na nos gapi! Dyć my som w Katowicach.

KARLIK:

Kaj? To som Katowice? Cyganisz mie. Dyć my dopiyro co wyleźli z cuga i wejrzli se ino, czy to je katowicko bana?

ACHIM:

Ja, katowicko. A jako?

KARLIK:

A kaj ty widzisz na som przykład te schody, co ta baba z Mikołowa z nich ściepali. Wiysz kiero, ta, co jeji synek dźwigo ciynżary, ta, kiero...

ACHIM (*włazi Karlikowi w godka*):

Karlik, doczkej ino. Kiedyś ty sam był w Katowicach łostatni roz?

KARLIK:

No, jakiś piytnoście lot tymu...

ACHIM:

A telewizora niy łoglondosz? Tam czasym pokazujom Katowice w „Aktualnościach”, godajom, co tam pobudowali, abo przebudowujom. A ło katowicki banie godali niy roz!

KARLIK:

Jo telewizora niy łoglondom, jo se słuchom radyjoka.

ACHIM:

Katać niy łoglondosz?! Przeca żeście se z Anom kupili tako dupno putnia, som żeś mi godoł wiele to mo cali.

KARLIK:

Kupić my kupili, ino moja staro mie niy dopuszczo...

ACHIM:

Niy fandzoł mi tu tera ło kulaniu w łozku. Jo tam niy chca wiedzieć, czy cie dopuszczo, czy niy!

KARLIK:

Do telewizora mie niy dopuszczo. Jo tam niy godom, posprzontane jes, pobiglowane je, łobiod uwarzony. Wszytko na glanc. Ino jo niy wiym, kiedy ta moja Ana to porobi, jak łona duś sie w ta putnia gapi.

ACHIM:

A co łona tam łoglondo? Dyć tam nic ni ma.

KARLIK:

Telenowele. Tureckie. A potym łozprowio mi ło jakimś Sulyjmanie, Achmydzie, Hurajnie...

ACHIM:

Hurrem.

KARLIK:

Hurrem, Kozie...

ACHIM:

Kosem.

KARLIK:

Kosem. Te, Achim, a ty też łoglondosz?

ACHIM:

Jo? A kaj!

KARLIK:

To co mie sam poprawiosz?

ACHIM:

Bo to terazki každo baba łoglondo, te tureckie pierdoły. Moja tyż.

KARLIK:

Mosz recht, a potym jak idom na klachy, to niy tak jak downi. Downi to sie śpiywało, piyrze szkubało, o gupotach rozprowiało, stare dzieje spominało. A terazki? Terazki to ino godajom, kiero se tyn sułtan z tego harymu na noc weźnie,

abo kiero wtory do rzici kopnie, byle sie ino dopchać do tego chopa... Lepi znajom historyjo tych Łosmanow niż naszo, ślonsko historyjo.

ACHIM:

Godosz, że niy znajom naszych dziejow?

KARLIK:

Niy. Zresztom patrz, tam idzie tako jedna (*Karlik pokazuje dziółcha, wyszykowano jak na wesele, idzie ku ni*). Dziółszko, doczkej ino chwila.

DZIOŁCHA Z KATOWIC:

Czamu?

KARLIK:

Jo sie ino chcioł coś spytać!

DZIOŁCHA Z KATOWIC:

Ino gibko, bo ni mom czasu.

KARLIK:

Powiydz mi ino, wiewa było ślonskich powstań?

DZIOŁCHA Z KATOWIC (*chwila szuko w łepie*):

Trzi, a wiewa miało być?

ACHIM (*rod*):

Widzisz, ni ma tak źle.

DZIOŁCHA Z KATOWIC:

Trzi: styczniowe, listopadowe i no... te... no... warszawski.

KARLIK (*żegno sie*):

W imię Łojca i Syna i Ducha Świyntego, Pon Boczku, wybocz i, bo niy wiy co godo.

ACHIM:

Dziółszka, a Achmyda znosz?

DZIOŁCHA Z KATOWIC:

Tego sułtana? Znom.

Dziółcha z Katowic łobracoj sie i idzie dali przed sia, a Karlik i Achim gapiom sie za niom. Nogle slyszom za sobom Bajtla, kiery wyliczo gibko.

BAJTEL:

Powstania były trzi: w tysionc dziewiyńset dziewiytnostym, tysionc dziewiyńset dwadziestym i w tysionc dziewiyńset dwadziestym piyrwszym. W dwadziestym piyrwszym był jeszczje plebiscyt.

Karlik i Achim łobracajom sie i widzom Bajtla, kiery mo tak z łoziyom lot.

KARLIK (*zaś sie żegno*):

W imię Łojca i Syna i Ducha Świyntego! Tyś je naszom łostatniom nadziejom. Patrz, Achim, taki mały, a już tela wiy. Jak ty sie nazywosz?

BAJTEL:

Jo niy moga godać z cudzymi.

ACHIM:

Dyć żeś piyrwszy do nos gymba łotwar.

BAJTEL:

Bo ta dziółcha, coście z niom godali, gupoty łopowiadała.

KARLIK:

A ty skond znosz te daty?

BAJTEL:

Matka mi pedziała. Moj starzik był w trzecim powstaniu. Łona mi duś łospro-
wio ło starych dziejach, ło ślonskich dziejach.

KARLIK:

Być rod, że mosz tako mondro matka.

BAJTEL:

Jo to wiym, ale tera sie już biera, bo jak matka zejrzy, że z wami godom, to mie
łobryczy.

ACHIM:

Ja, idź, ale pamiyntej – z cudzymi niy godej!

*Karlik i Achim nic niy godajom. Idom do Galerii Cyntrum i siadajom na ławkach. Ze
swoich ruzgakow wyciongajom żymyły z kyjzom, termos z tyjym. Jedzom, pijom. Wele
nich świonteczne przyoblyczki, kajś tam puścili kolynda. Co chwila wele nich przelazi
jakiś synek, abo dziółcha i jedzom hamburgery, hot dogi... pijom z szolek z papyndekla...*

KARLIK:

Dyć łoni se nawet śniodania niy umiom ukroć, ino kupujom, ino kupujom...

ACHIM:

Wejrzi ino na nich, pijom z szolek z papyndekla...

BINA CZWORTO

*Karlik i Achim jadom cugiy nazod do Mikołowa. Nic niy godajom.
Nogle do przedziału włazi Baba, tak wele sześćdziesiont lot. Siado
naprzeciw nich. Na klinie stawio krzinka z papyndekla.*

BABA W CUGU:

Do Mikołowa?

ACHIM:

Do Mikołowa.

BABA W CUGU:

A skond?

ACHIM:

Z Katowic.

BABA W CUGU:

Jo tyż z Katowic, ale nojpiyrw z Piekor, a jada do Łazisk.

KARLIK:

Coście tam w Piekarach rzykali?

BABA W CUGU (znerwowano):

Niy, nojpiyrw żech chciała, ale potym godom se tak: jo za tych gizdów rzykać
niy byda!

ACHIM:

Gizdów?

BABA W CUGU:

Moich dziecek.

ACHIM i KARLIK (wroz):

Dziecek?

BABA W CUGU (*do sia*):

Jeronie, pieronie!

ACHIM:

Czamu sie tak nerwujecie?

BABA W CUGU:

Bo jak se tak pomysła, wiela żech sie dzisioj nałaziła, szłapy mie bolom, szcze-wiki cisnom...

Achim i Karlik niy godajom nic. Łoba majom w doma baby, to wiedzom, że terozki łona zacznie godać i wszystkiego sie dowiedzom.

BABA W CUGU:

Ja... s tydziyń nazod, jakżech wygrała. Jo w každo niydzuela na wieczor słuchom radyjoka z Piekor. Tam tak piyknie po naszymu śpiywajom. I tam je taki konkurs. Łoni, te redaktory, godajom cosik po polsku i trza pedzieć, jak to je po naszymu. Ale to ni ma tak leko. Trza wziońć i zadzwonić. Jo już łod łońskiego roku tam dzwonia i dzwonia i duś zajynte. A tydziyń nazod żech sie dodzwoniła. Pedziałach im dwa słowa, ale krzyżowki żech niy łodgodła. Ale i tak żech dostała nagroda. (*pokazuje na krzinka z papyndekla*) Tu jom mom. Kafyserwis. Jak żech ino wygrała, to dzwonia do moich dziecek i godom im, że trza mie zawiyź do Piekor. I łoni mie, te pierony, pedzieli, że ni majom czasu! Wy to rozumiecie? (*pyto sie Achima i Karlika, a łoni kiwiom łepami, że niy rozumiejom. Baba godo dali*) A jo, jak byli mali, dziynnne żech ich kludziła do szkoły, pyski po łobiedzie łobciyrała... (*zaczyno ślimtać*) Piniyondze cołki życie szporowała, wesela wyprawiła, wnuki chowia... roz ino żech chciała, żeby mie kajś zawiyźli, to niy! Niy majom czasu! Dyć matka, łociec to rzecz świynto! Roz żech ino cosik chciała... Podciepy pierońskie... (*ślimto na cołki głoś*)

ACHIM (*siado wele ni*):

Niy ślimtejcie, dyć żeście zajechali do Piekor, kafyserwis mocie. Przijedziecie do dom, zrobicie se kawy, zjycie se jaki maszket...

BABA W CUGU (*już bez wielkiego beku*):

Torta bych zjadła...

ACHIM:

Zjycie se torta w doma.

BABA W CUGU (*zaś zaczyno ślimtać*):

Ni mom w doma torta, nic se niy zjym, a tyn kafyserwis je pierońsko ciynżki.

Achim siado nazod wele Karlika i łoba coś tam godajom po cichu.

Niy słychać co. Baba ślimto. Achim i Karlik siadajom wele Baby, jedyn po lewy, drugi po prawy. Baba kuko na nich wylynkano.

BABA W CUGU:

A wy co? Jo ni mom piniyndzy, ino tyn kafyserwis... Weźcie se go, ino dejcie mi pokoj!

KARLIK:

Co to za gupoty godocie!

ACHIM:

Ja! My nic łod wos niy chcymy.

KARLIK:

My wom kupiymy ta torta.

BABA W CUGU:

Co to godocie?!

KARLIK:

Kupiymy wom torta.

ACHIM:

W Mikołowie.

KARLIK:

Ja! Tam je taki jedyn ciastkorz przy banie, łon mo taki torty... (*zamyko ślypia z rozmarzyniym*)

BABA W CUGU:

Ale bydymy musieć wyłyżć na banie w Mikołowie, a jo jada do Łazisk.

ACHIM:

Dyć wiymy, że do Łazisk, ale zrobimy tak: wy pódziecie z Karlikiym po torta, a jo skocza do dom po moigo unoka i zawieza wos pod sama chałpa. Niy bydziecie musieć taszczyć ty krzinki.

BABA W CUGU (*piyrwszy roz sie uśmiycho*):

Wyście som rychtych jak te angielskie dzyntylmyny. Ale jak już mie pod chałpa mocie zawiyżć, to jak by to było, jakbych wos do dom niy wziyna. Razym se zjymy torta i kawa wypijmy.

KARLIK:

Jak piyknie zaproszocie, to i torta zjymy, i kawa wypijmy.

BABA W CUGU:

Z kafyserwisu z radyjoka.

ACHIM:

Ja, z kafyserwisu z radyjoka.

Chichrajom sie. Cug jedzie dali.

BINA PIONTO

Styczeń 2016. Sobota. Wele połednia. W szynku „U Hynia” w Mikołowie siedzom Achim i Karlik. Pijom piwo. Oberka, gryfno dziolcha, czyto ceitung. Żodnego wyincyj tam ni ma.

ACHIM:

Wejrzi ino, śniegu ni ma. Co to za zima, niy to co downi...

KARLIK:

Nic ni ma jak downi.

Oberka przylazi i stawio im po piwie.

ACHIM:

My niy zamawiali.

OBERKA:

Jo stawiom. Na tyn Nowy Rok!

KARLIK i ACHIM (*wroz*):

Dziynkujymy!

OBERKA (*do Achima*):

Naszkrzylaliście ta jednoaktowka?

ACHIM:

Ja, to ni ma tak leko, jakby sie zdowało...

KARLIK:

Byli my sam w Katowicach. Achim szukoł inspiracji.

OBERKA:

Znodliście jom?

ACHIM:

I ja, i niy...

Chwila żodyn nic niy godo. Karlik pije piwo. Oberka łodsuwo stolek i siado wele Achima i Karlika.

ACHIM:

Jo żech to przemyśłoł. Ja, Ślonsk sie zmiynio. Młodzi niy znajom swoi historyji, familia niy trzimie sie kupy, ino każdy zawre sie w swoi chałpie abo w swoi izbie. Ale Ślonsk piyknieje, czasym aż taki chytajom człowieka hercklekoty z tego wrażynia, jak tu je piyknie... Ale...

OBERKA:

Ale?

ACHIM:

Ale tak po prowdzie to każdy Ślonszok powiniyn se tak siednońc som i zrobić se taki rachunek sumiynio. Spomnieć se jak to bywało, ło czym my już downo przepomnieli... Som se łodpowiedzieć na pytanie, co sie zmiyniło... Niy że tam wyrzchtowali magistrat abo wsadzili w som środek rynku fontanna. Niy! Łodpowiedzieć se, co sie w nos zmiyniło. Ło czym my przepomnieli, a przeca trza ło tym pamiyntać. Ciś dali, ale pamiyntać! (*chwila nic niy godo*)

ACHIM (*wstowo i godo do widowni*):

Pomyście se ło tym.

Achim dowo Oberce tringeld i wylazi z szynku. Oberka i Karlik siedzom przy stoliku. Nic niy godajom.



KATOWICE
dla odmiany

KATOWICE
MIASTO MUZYKI
UNESCO

katowicemusic.eu

WYDAWCY:

IMAGO PUBLIC RELATIONS

IMAGO
PUBLIC RELATIONS

KATOWICE MIASTO OGRODÓW
INSTYTUCJA KULTURY
IM. KRYSZYNY BOCHENEK



KATOWICE
Miasto Ogrodów
Instytucja Kultury im. Krystyny Bochenek

PARTNER KONKURSU



Regionalny
Instytut
Kultury
w Katowicach

PATRONAT MEDIALNY

GAZETA
wyborcza

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY

ISBN 978-83-63304-03-4